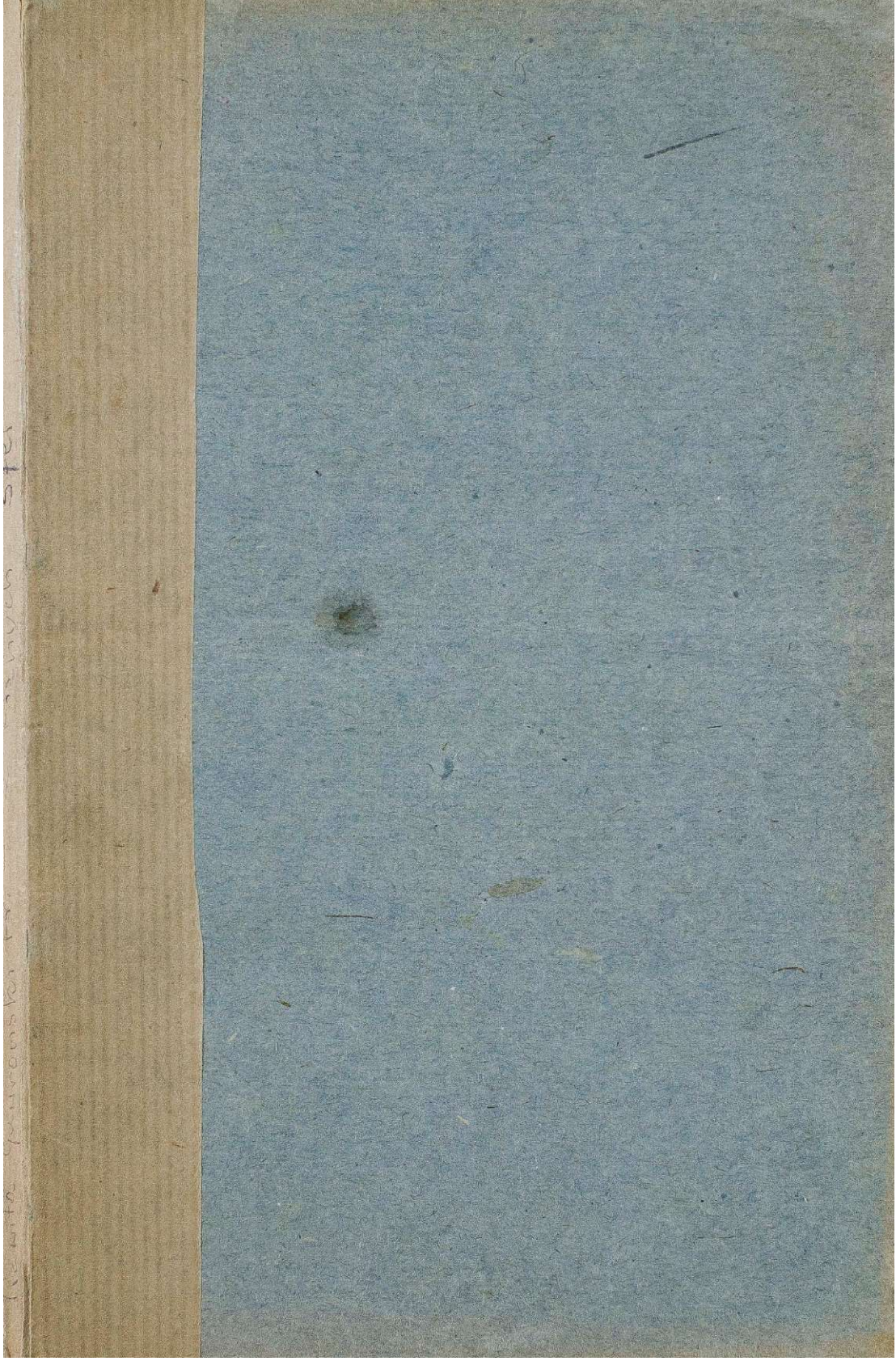
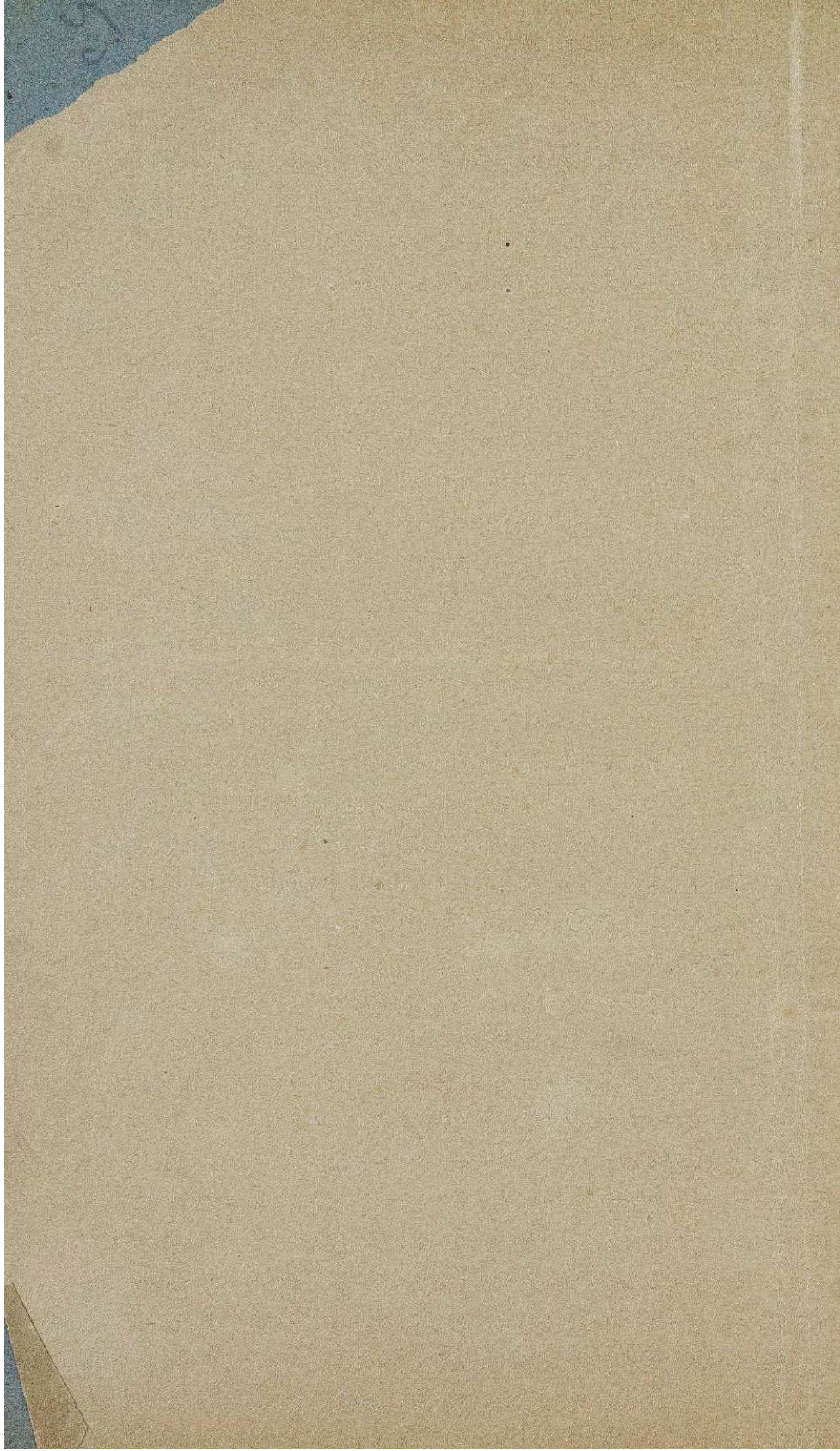






Z RÓŻNYCH SFER.



FR. RAWITA GAWROŃSKI.

Z RÓŻNYCH
:: SFER ::

HISTORJA. SZKICE Z PODRÓŻY.



Lwów 1911. Nakładem »Kurjera Lwowskiego«
Z »Drukarni Polskiej«. ul. Chorążczyzny 1.

[wkanclarii]

Centrum Dokumentacji Kultur Pogranicza
OŚRODEK
POGRANICZE ZTUK KULTUR NARODÓW
ul. Piłsudskiego 37, tel. 189
16-500 SEJN Y
skr. poczt. 15

8406V

Wielkoruska gmina wiejska

w rzeczywistości i historii.

I. Obecne położenie gminy wiejskiej.

Prace naukowe¹⁾ z zakresu badań gminy wiejskiej wielkoruskiej, takich uczonych jak Postnikow, Sokołowski], takich publicystów jak książę Wasilczyków i wielu innych, wytworzyły przekonanie, że ideałem rozwiązania kwestji agrarnej w przyszłości może się stać owa, dziś jeszcze istniejąca w Rosji, gmina wiejska. Dzięki odkryciu przez Haxthausena, który ją dostrzegł wprawdzie, ale ' wytfómaczyć nie umiał, bo ani dziejów, ani życia ludowego w Rosji nie znał, z gminą wiejską wieikorosyjską zapoznała się Europa, a uczeni niektórzy (jak Laveleye), odszukawszy szczątki wspólnego władania niemal na przestrzeni całej Europy, stworzyli teorię dość popularną, że forma ta, niegdyś powszechna, ekonomiczna i racjonalna, idealna

M K. Gołowin: Wiejska gmina w literaturze i rzeczywistości. Petersburg. 1887. Emil de Laveleye: Własność pierwotna Warszawa, 1899.

niemal, zamordowaną została rozwojem kapitalizmu i wybujałością indywidualizmu, przeniesionego na pole pracy ekonomicznej.

I u nas Lelewel podniósł wysoko znaczenie gminowładztwa i gminy, jako jednostki administracyjnej i politycznej, a gminy bartne, które do czasów niedawnych istniały jeszcze na Kurpiach, ocenione z punktu historycznego przez W. A. Maciejowskiego w *Historji włościan*, uważane były i są dotychczas za pozostałości owej prastarej idealnej wspólnoty. Gmina wiejska, rolna, w znaczeniu owej wspólnoty, w historycznej Polsce odszukać się nie dała. Lecz nie o Polskę chodzi nam w tej chwili.

Wychwalanie wielkoruskiej „gminy”¹⁾ póty trwało, póki się nią zajmowali wyłącznie ludzie nauki lub utopiści społeczni, bo oni sądząc i krytykując gminę upatrywali w niej tylko najlepsze strony; najgorszych — ekonomicznych — ocenić dobrze nie mogli, gdyż z praktycznym życiem za mało do czynienia mieli, lub, nieznając go wcale, nadawali fałszywą lub przesadzoną doniosłość wielu bardzo zjawiskom ekonomicznym, życia gminy. Znalazłszy kiucza do swoich sądów w ogólnoludzkim znaczeniu i roli gminy, zeszli łatwo na manowce politycznych i socjologicznych złudzeń.

Dla wytworzenia słusznego i spokojnego poglądu na stan, położenie i prawdziwe znaczenie gminy wielkoruskiej brakowało materiału faktycznego; do niedawna interesowali się nią dyletanci, poeci-historycy lub socjologowie o bardzo szlachetnych ale nadto szerokich poglądach, nie liczący się z rzeczywistością, często z przeszłością, a pragnący dążyć zbyt po-

spiesznie do wymarzonej przyszłości. Nic też dziwnego, że wybitniejsze rysy gminy uderzały ich i, uwagę więziły. Dopiero programy, opracowane w celu zbierania materiałów faktycznych, rozklasyfikowały żądania na drobne szczegóły i zaprzęły do tej roboty mrówczej codziennych robotników, od których wymagało się tylko znajomości dokładnej stosunków lokalnych. Opisy gmin i urządzeń gminnych, zebrane razem, pozwoliły się rozpatrzeć w tym materiale swobodnie, cechy wspólne lub różnice oznaczyć, istnienie gminy ocenić nie według okoliczności fikcyjnych, ale wśród rzeczywistych ekonomicznych warunków naznaczyć jej stanowisko. Jednocześnie badanie źródeł, mało dostępnych przed tem, lub oświetlanych w kierunku tendencyjnym, otworzyło oczy na przeszłość. Gmina wiejska, pozbawiona narodowościowego zabarwienia i mrzonek, zeszła nareszcie na grunt rzeczywistości, ogłoszona z poetycznych ozdóbek.

Używając wyrazu „gmina” (gromada) wspólnota, rozumiemy już w ten sposób pewną wspólność posiadania ziemi, przysługującą wszystkim członkom gminy. Ponieważ równolegle ze wspólnym posiadaniem, jako formą własności, istnieje także własność indywidualna, jako władanie gruntem (kompleks, obejmujący ziemię będącą w posiadaniu indywidualnym) należy przedewszystkiem scharakteryzować jedną i drugą formę, a raczej wykazać, czem się różni wspólne posiadanie od własności indywidualnej.

Powszechnie nazywają „gminą”, wspólnotą taką organizację ekonomiczną, którą głównie mamy na uwadze, gdzie właścicielem ziemi jest gmina, całość.

wspólnota. Takie określenie dostatecznem nie jest. Prawodawstwo rosyjskie, uznając prawo własności gminy w ogóle (*zw dominii*), z tem nawet zastrzeżeniem, że bez wiadomości i zezwolenia „gromady” (*mir*)²⁾ najmniejsza częśćka ziemi, w obrębie gminy leżącej, osobie nie przynależnej do niej, ustąpioną być nie może, do tego stopnia, że gromada dziedziczy pustki po wymarłych liniach — jednocześnie z tem posiadaniem gruntów pozwala władać na zasadzie nieograniczonej własności i przelewać tę własność na inne osoby drogą dziedziczenia.

Taką jest m. w. forma władania ziemią na Ukrainie, gdzie *g r o m a d a* występuje administracyjnie jako posiadicielka całości gminnej ziemi, a pojedynczym jej członkom przysługuje prawo władania indywidualnego i prawo dziedziczości.

Za wybitne więc cechy pospó'nego władania służyć mogą w Rosji:

1. Prawo założenia gospodarstwa rolnego, przysługujące każdemu zdolnemu do roboty i żonatemu członkowi gminy. Prawo to w praktyce wyraża się tem, że robotnik może otrzymać pewną częśćkę gruntu dla utworzenia własnego gospodarstwa.

2. Prawo, przysługujące gromadzie, zmniejszania lub powiększania uposażeń każdego gospodarza, według potrzeby lub innych względów.

3. Prawo przysługujące gromadzie, zarządzania w razie potrzeby, ogólnych przemiarów i tworzenia nowych działów gruntowych, — nareszcie :

³⁾ Posługujemy się tu ukraińskim wyrazem *gromada*, odpowiadającym rosyjskiemu „*mir*”.

4. Poręka wszystkich za jednego i jednego za wszystkich co do podatków i ciężarów państwowych.

Otóż cechy powyższe rozpatrzemy po kolei.

Prawu — nie w znaczeniu jurydycznym — i żądaniu dojrzałego i zdatnego do roboty członka gminy wydzielenia częśćki ziemi, będącej własnością gminną, wtenczas tylko może stać się zadość, jeżeli ktokolwiek z posiadaczy grunt swój zwrócił, pozostawiając go w ten sposób do dyspozycji gminy; lub też, jeżeli niezajętego gruntu niema, gmina wydziela częśćkę z tego, przy którym członek żądający uposażenia dotychczas pracował. Ostatni wypadek wchodzi do tej kategorii, którąby można nazwać działem familijnym. Ciekawą byłoby rzeczą dowiedzieć się przy jakich warunkach i dla czego ukształtowane się nowe gospodarstwo włościańskie? Trzeba jednak przyznać, że ta strona życia ludu najmniej jest wyjaśniona i zbadała. Zwykle spostrzegamy w praktyce, a prawodawstwo wcale temu nie przeszkadza, że każdy pełnoletni i zdatny do pracy członek rodziny może się od niej odłączyć i żądać swojej części majątkowej; ale wiemy jednocześnie, że każdy z nich musi czekać zwykle, dopóki się ktokolwiek posiadanego gruntu nie zrzecze. Z tego możnaby wnioskować, że uformowanie nowej jednostki gospodarskiej nie zawsze zależy od potrzeby wydzielenia się z rodziny i nie zawsze pociąga za sobą podział majątkowy. Jakie ekonomiczne warunki lub poglądy gminy wpływają na to? Prawie nic o tem nie wiemy.

Można zapewne utrzymywać, że ponieważ gromada akceptuje lub odrzuca podział ziemi i majątku, po-

siadanego przez jedną rodzinę a tworzącego całkowitą jednostkę gospodarską, zależy to jedynie od niej. Gdyby nawet tak było, to zawsze nie wiemy dokładnie, jakie kombinacje kierują w danym wypadku gromadą.

Gminie wielkoruskiej przysługują prawa zmniejszania lub powiększania uposażeń pojedynczych posiadaczy i ono to przyczynia się głównie do ciągłej zmienności obszaru posiadanej ziemi. W osnowie jego leży wspólna odpowiedzialność wobec władz za regularność opłacania podatków i odbywania powinności. Ta właśnie odpowiedzialność skłania gromadę do przestrzegania, ażeby siła ekonomiczna każdej jednostki gospodarskiej była, według możliwości, proporcjonalną do posiadanej ziemi, a więc niejako zmusza do odbierania ziemi jednostkom ubogim lub mało silnym, a powiększania udziałów zamożniejszych jednostek. W gruncie rzeczy cała powyższa czynność jest widocznie tylko regulowaniem siły jednostki podatkowej. Żadne inne względy gromadą nie kierują. Pilnuje ona równomiernego uposażenia ziemią dla tego tylko, że z nią związana jest równomierna i łatwa wypłata podatków — w razie bowiem niewypłatności gminy, wszyscy jej członkowie są odpowiedzialni. Odbieranie ziemi od ubogich i oddawanie jej bogatym, t. j. od tych, którzy nie są w stanie płacić całkowicie lub części podatku, przypadającego na nich, i oddawanie tym, którzy płaciłby mogli więcej i bez dodatku ziemi, nie jest chyba ideałem, który warto na przyszłość zalecać.

Kwestja zwiększania i zmniejszania uposażeń staje się bardzo zawiłą i trudną do przeprowadzenia,

ze względu na wartość gleby, jej urodzajność i warunki, więcej lub mniej dogodne warunki ekonomiczne, czyli mówiąc inaczej, od tego zależy czy włościanie więcej lub mniej cenią ziemię. W pierwszym wypadku żądają powiększenia uposażenia, ale niema amatorów do ustąpienia. W drugim wypadku gmina, jak każda inna instytucja wykonawcza, ucieka się do gwałtu: silniejszym jednostkom gospodarskim narzuca grunty odebrane od ubogich, którzy płacić przypadającego na nich podatku nie mogą i zrzekają się całkowicie lub w części uposażeń swoich. W tym czy innym wypadku, zamożniejszych gospodarzy gromada wcale o zgodę i potrzebę nie pyta, ale ziemię i podatki im zwiększa. Taki sposób postępowania przedstawia się jako forma wyzysku i w imię równomierności siły podatkowej, uboży ludność.

Celem zabezpieczenia regularnej wypłaty podatków, gmina ucieka się do trzech sposobów. Wprawdzie są one głównie praktykowane w centralnych guberniach, ale można je uważać za typowe, gdyż z większymi lub mniejszymi zmianami powtarzają się wszędzie w gospodarstwie gminnym.

I-o. Podatek rozkłada się stosownie do ilości „dusz” roboczych w każdym gospodarstwie³⁾. System ten rozkładu wykazuje wprost małą wartość i dochodowość ziemi, która nie może gwarantować wypłaty podatków, tak, iż gwarancję tę potrzeba opierać na roboczej jednostce, zdolnej do zarobkowania.

³⁾ W gub. Moskiewskiej 75% gmin wiejskich trzyma się tego sposobu.

2-o. Rozkład podatku gruntowego normuje się według ilości osób, składających rodzinę i gospodarstwo, ale ściąga się to tylko do osób płci męskiej bez różnicy wieku, — w rachubę wchodzi starcy i dzieci. System powyższy stosuje zaledwie 4% gmin. Wskazuje on względną zamożność jednostki gospodarskiej, a stąd i wartość użytkowa ziemi w takich gminach jest zwykle wyższa : skoro gospodarz-rolnik woli płacić podatek od jednostek nieprodukcyjnych (starcy i dzieci), ale ziemi ustąpić nie chce, to dowodzi, że zysk z ziemi pozwala na utrzymanie wielu jednostek nieprodukcyjnych. Naturalnie stosunkuje się tutaj wysokość podatku, przypadającego jako nadwyżka na jednostkę ekonomiczną, do kosztów utrzymania jednostek nieprodukcyjnych.

3-o. Trzeci system rozkładu podatków możnaby nazwać mieszanym (obejmuje około 23% gmin), według którego, niezależnie od ilości „dusz” wogóle jednostkę ekonomiczną (gospodarstwo) składających, przyjmuje się w rachubę wiek, siłę, zdolność i umiejętność pracy. Widzimy więc, że skala wymiarowa omawianego systemu jest elastyczna i zależna od bardzo wielu okoliczności. System powyższy odpowiada miernej urodzajności ziemi, jako też miernemu położeniu ekonomicznemu włościan.

Już z tych głównych rysów, charakteryzujących rozmaite systemy rozkładu podatków w gminie bez mieszania się władzy państwowej, widzimy wybitną dążność, skierowaną do nadania systemowi rozkładu podatków jak można największej równomierności i

przystosowania się do warunków ekonomicznych gminy, na której owa równomierność się opiera. W praktyce nie przedstawiają się owe systemy wcale idealnemi, gdyż nie wykluczają niesprawiedliwości, jak wszystkie inne czysto fiskalnego charakteru, a co ważniejsza nie wynikają wcale z pobudek samorodne społecznej mądrości gminy, dążącej do zadośćuczynienia zasadzie słuszności, ale z konieczności zapłacenia pewnej sumy podatku, na gminę przypadającego. Zaznaczamy tylko zasadnicze pobudki postępowania gminy, jako jednostki zbiorowej, zastrzegając sobie powrót do tej materii.

Oprócz powyżej wyliczonych systemów rozkładu podatku, które w gminie wielkoruskiej należy uważać za normalne, są jeszcze inne, jak n. p. według ilości jednostek wciągniętych do spisu ludności, przyczem naddziały, nieposiadające gospodarzy, liczą się na reszcie „dusz” czyli na całej gromadzie, która ponosi za nie ciężary. Przedstawia to oczywiście niedogodności dla gminy, a więc gromada stara się naddziały najrychlej osadzić. Do tego prowadzą dwa sposoby : albo zwiększa się ilość gospodarstw, które wtedy nie odpowiadają już ilości popisowych jednostek i stają się mniejszemi, albo wszystka ziemia, należąca do gminy, dzieli się na tyle udziałów jednostkowych, ile się da rozmieścić pośród istniejącą w danej chwili liczbę gospodarzy. Najlepiej to wyjaśni przykład : przypuśćmy, że gmina — nie *irolost'* — otrzymała ogólnego uposażenia na 100 jednostek popisowych 300 dziesięcin ziemi, ale w danej chwili posiada 120 takich jednostek ; z liczby zaś gospodarstw 10 t. j. 30 desiatyn nie mają

gospodarzy. Gromada może obszar jednostkowy uposażenia zmniejszyć t. j. zamiast 3 dziesięcin naznaczyć tylko 2⁸/₁₁; ale wtedy gmina będzie posiadać już nie 100 jednostek gospodarczych ale 109, które między właścicieli gospodarstw podzieli. Gromada może również uchwalić zmniejszenie liczby gospodarstw i ze 100 posiadanych stworzyć tylko 90, a wtedy każda częśćka, odpowiadająca ilości jednostek popisowych, będzie wynosić nie 3 lecz 3¹/₃ des'atyny. Naturalnie powstaje to wtenczas, jeżeli tylko na 90 całkowitych udziałów ziemia gminna da się podzielić.

W jednym i w drugim wypadku bez zupełnego nowego przemiaru i dzielenia obejść się nie można. Ponieważ zwykle włościanie starają się nowych podziałów uniknąć, dla obejścia niedogodności, ilość podatku przypadającego na gminę dzielą na tyle równych części, ilu jest w danej chwili posiadaczy i obciążają ich odpowiednią częścią podatku, zaś ziemia niezajęta wydzierżawia się, albo idzie na wspólny użytek. Uposażenie więc gruntowe, odpowiadające jednostce podatkowej, bez jeneralnego przemiaru i podziału zmienić się nie da i nie zależy od powiększania się lub zmniejszania się ilości robotników w rodzinie. Co zaś do uposażenia według ilości dusz robotnych, czynność ta czy się przeprowadza zgodnie z życzeniem posiadaczy pewnych części, czy też zgodnie z życzeniem gromady, zawsze pociągać za sobą musi prywatne podziały ziemi, powtarzające się w każdej wsi prawie corocznie.

Każdy nowy dział prywatny polega na tem, że od jednego właściciela odcina się pas ziemi, stoso-

wnie do postanowienia gminy, który przechodzi do drugiego posiadacza; dodajmy do tego konieczność drobienia posiadanych działów, wynikłą z powodów familijnych, a łatwo sobie wyobrazimy czysto ekonomiczne szkody, płynące z tego. Zamiast najdogodniejszej ze względów ekonomicznych formy, wynikającej z komasacji parceli, widzimy nadmierne rozstrzelenie ich, i chociaż *de nomine* — w statystyce urzędowej — rozstrzelenie i rozparcelowanie własności gminnej nie istnieje, istnieje *de facto*, bo leży ono nie w interesie ekonomicznym gminy całej, ale w interesie zabezpieczenia regularnej opłaty podatków przez gminę. Oczywiście, im większe rozparcelowanie ziemi, będącej w posiadaniu pewnej jednostki ekonomicznej, tem położenie jej gorsze wskutek dalekich przejazdów, trudności uprawy wąskich pasów, niemożności zastosowania ulepszonych narzędzi i t. d. Z czasem niedogodności te stają się tak przygniatające ni, że zmuszają gminę do przeprowadzenia nowego działu.

Powiedzieliśmy, że do cech charakterystycznych gminy wielkoruskiej należy przysługujące jej prawo robienia działów ziemi, o których dopiero co mówiliśmy. Działy owe bywają dwojakiego rodzaju: z upełny — kiedy się nawet miedze rozorują, zmienia całkowicie formę i wielkość uposażenia i niezupełny czyli losowanie. Przy tym ostatnim sposobie postępowania działły pozostają te same, tylko przechodzą one drogą losowania do innych gospodarzy. Zwolennicy wyidealizowanej gminy upatrują w losowaniu ziemi *non plus ultra* prawa niwelującego nierówności ekonomiczne, o ile one z przyrodzonych

właściwości gleby wynikają, chociaż i tu nie leżą wcale w osnowie żadne niedościgłe dla innych, wysoko-humanitarne lub wysoko-społeczne cele gminy, ale poprostu chęć zadośćuczynienia żądaniom fiskalnym. Z tego zaś, że kwestja nowych działów załatwia się przez głosowanie, na mocy większości głosów, nie należy także wyprowadzać wniosków uludnych, bo na podstawie manifestu i ustawy 19 lutego gminie służy prawo załatwiania w s z y s t k i c h spraw jej dotyczących, większością (%) głosów.

W jaki sposób przeprowadzają się działy ?

Zacniemy od ziemi ornej. Każda z trzech pól (klin), na które ziemia orna gminy jest podzielona, dzieli się oprócz tego jeszcze na kilka pasów (zagon), rozmaicie nazywanych (*kort, jarus, stolb*.) w których każdy gospodarz otrzymuje swoją część. Wielkość jej zależy od ilości „dusz”, składających gospodarstwo; tak więc jednostka ziemi, otrzymana z podziału pasu lub konu, staje się wyobrazicielką j e d n o s t k i o s o b o w e j . Podział włościanie uskuteczniają za pomocą żerdzi i sznurów zupełnie zadowalniająco. Przyczyną zasadniczą, wywołującą podział pola¹⁾ na zagony lub kony, jest różnorodność gatunku gleby i rozmaita odległość udziałów od wsi jako centrum gminy. Pojedyncze parcele, przypadające wskutek takiego działu na każdą duszę, stanowią razem pewną całość większą lub mniejszą, stosownie do ilości dusz. Ponieważ

⁴⁾ Fole v. ręka, wyraz używany przez rolników, oznacza pewną część gruntu, objętą systemem gospodarstwa potoowego. W trzypólówce pole oznacza trzecią część ujętej w system, w czteropolówce — czwartą część.

pole, czyli jak na Ukrainie mówią ręką, nie składa się z jednolitego kawałka gruntu, co do dobroci i oddalenia, podział każdego konu lub zagonu, według ilości dusz, pozwala w części uczynić zadość słuszności i sprawiedliwości, ze strony wyłącznie ekonomicznej.

Dział na zagony lub kony praktykuje się głównie we wsiach niewielkich, liczących około 30 gospodarstw (chat, dworów). Wielkie gminy postępują inaczej : cała gromada dzieli się na kilka grup gospodarzy, równych co do liczby. Grupy te (*osmaki*), których członkowie nazywają się „szabrami” — wyraz, dla którego odpowiedniego w polskim języku nie znajduję¹⁾ — przy nowem dzieleniu ciągną losy, a potem „szabrowie” dzielą nrędy sobą część zagona porówno. Część taka otrzymuje nazwę losu, udziału (*dola, ośmah, ośminnik*). Z początku wylosowane części zadawalniają mniej więcej wszystkich i przedstawiają pewną całość, z czasem jednak, wskutek następujących działów familijnych, zamiany części losów i nareszcie skutkiem przymusowego zmniejszania lub powiększania działów (*skidka i nakidka dusz*), o którym mówiliśmy poprzednio, niepodobieństwem jest uniknąć chaosu i ekonomicznych niedogodności, zaznaczonych wyżej. Wprawdzie gospodarze starają się zmniejszyć niedogodności nową zamianą, poprzecznem odcinaniem części, wreszcie wydzielaniem nowych na końcach lub klinach, — są to jednak środki niezupełnie

¹⁾ Jest wprawdzie stary wyraz „siabr”, używany dotąd na Litwie, ale znaczenie jego nieco inne. — Przedmiotowi temu poświęciliśmy osobną rozprawkę.

zapobiegające, bo nieusuwanie radykalnie złego, a więc po upływie pewnej liczby lat znowu podział staje się koniecznością, na którą wszyscy godzić się muszą.

Orłów¹⁾, bardzo sumienny badacz stosunków gminy wielkorosyjskiej, utrzymuje, że im więcej pewna gmina posiada słabych ekonomicznie jednostek i więcej działów pustkujących, tem epoki jeneralnych działów są bardziej zbliżone do siebie. W pierwszym razie, gromada, ażeby zadość uczynić żądaniu regularnej opłaty podatków zmuszona jest uciekać się do zwiększania lub zmniejszania działów, a więc w rezultacie sama niekiedy wywołuje drobnienie uposażeń. Co zaś do działów pustkujących, me trzeba chyba dowodzić o ile one są szkodliwe dla gminy. Pomijam już to, że gmina z nich nie ma żadnego pożytku, ale pustosząc stają się rozsądnymi chwastów i owadów szkodliwych, — złe następstwa, płynące z tego dotyczą wszystkich i wytwarzają łącznie z inrtemi przyczynami pobudkę do częstszych działów²⁾. Gminy miernej zamożności, w których między gospodarzami niema wybitnych różnic w ekonomicznym położeniu, lub gdzie opłata podatków odbywa się regularnie, przez bardzo długi czas nie robią nowych działów. W gminach zaś, w których różnice majątkowe gospodarzy są znaczne, gdzie obok zamożnych i bogatych są bardzo ubodzy, nowe działły wcale prawie nie powtarzają się. Z jednej strony nawet bogaci nie chcą ustąpić ubogim swoich działów dobrze uprawianych, a

¹⁾ Formy posiadania ziemi, rozdz. 6.

²⁾ Gołowin: wiejska gmina str. 44.

wziąć zapuszczonych; z drugiej - przy ubóstwie gminy niema amatorów na niezajęte grunta, gromada staje się obojętną na niedopłaty podatkowe na tej zasadzie, że „goły nie boi się złodzieja”.

W takich wypadkach, kiedy podział nie jest spowodowany potrzebą zwiększenia lub zmniejszenia jednostki ziemi, a więc kiedy uposażenia jednostki roboczej (dusza) mogą pozostać bez zmiany, gmina nie ucieka się zwykle do działów zupełnych, połączonych z przeoraniem miedz granicznych, zdaje się głównie z tego powodu, że zniszczenie miedz, jako wąskich stwardniałych pasów ziemi wymagałoby wiele pracy i zachodu. Tak sądzi Gołowin. Daleko słuszniej jednak będzie przypuścić, że gmina taka posiada jednolitą glebę pod względem geo-chemicznym i fizycznym, a więc nowy dział zupełny nie jest dyktowany żadną ekonomiczną koniecznością; w takim razie utrzymanie dawnych miedz staje się logicznem, bo nienaruszając w niczem równości gromadzkiej, usuwa niepotrzebną pracę i nakład. Tylko takimi pobudkami da się wytłómaczyć fakt dokonywania zamiany części posiadanych bez działu jeneralnego, za pomocą jedynie losowania.

Dział przez losowanie polega na tem, że na-przód oblicza się ile jest ednostek roboczych całkowitych i częściowych, przypadających na każde gospodarstwo (osada wiejska, *dwór*), a następnie wszyscy gospodarze ciągną losy, oznaczające porządek władania w pewnym zagonie. Jeżeli zachodzi konieczna potrzeba zmiany ilości jednostek roboczych, w zwiększającym się lub zmniejszającym się stosunku.

n. p. kiedy gmina od zasady działu według dusz popisowych przechodzi do zasady według jednostek roboczych lub według siły pociągowej, wtedy dział jeneralny całej ziemi gminnej staje się niezbędnym.

Ziemia sadybna wbrew rawu także działowi ulega, jednocześnie z ziemią orną a niekiedy oddzielnie. W gminach, gdzie nawet działu zdarzają się co 3—6 lat, ziemia sadybna pozostaje dłużej we władaniu i dzieleniu podlega w większych odstępach, dla tego, że każdy włościanin bardzo ją ceni.

Ziemia sadybna składa się, jak wiadomo, z dwóch kategorii: właściwej sadyby i ogrodu. Sadyba (dwór) — używamy tu wyrazu rusińskiego — mocą ustawy gminnej wyjęta jest z kategorii własności gminnej, — podlega prawu dziedzicznej własności i opłaca podatek według innej skali. Mimo to do ziemi sadybnej stosuje się władza gminy tak samo jak i do ziemi ornej: ogrody włościańskie ulegają także działom i prawu gminy zwiększania lub zmniejszania jednostek robotniczych ze względów podatkowych. Podział ziemi ogrodowej w widokach familijnych — n. p. przy oddzieleniu się jednego z członków celem założenia odrębnego gospodarstwa — wytwarza już nietylko nadmierne rozkawałkowanie ziemi, ale pociąga za sobą częste zakładanie nowej sadyby na otrzymanym kawałku. Nie potrzeba chyba mówić o tem, jak podobne skupienie budynków z drzewa i słomy szkodliwym jest dla bezpieczeństwa ogólnego (pożary). Ostatnimi czasy „ziemstwa” wmieszały się w atrybucje gminne i zabroniły siedlenia się na tej samej sadybie, obowiązując natomiast każdego nowego go-

spodarza do budowania się za wsią. Tu znowu nastrocza się trudność z ogrodem, gdyż ziemie na nowej sadybie nie zawsze są na ogród przydatne. W celu zaradzenia niedogodności, dla nowej sadyby odcina się część ogrodu sąsiada i w takiej samej proporcji u każdego następnego w całej linii. W ten sposób czyni się niby zadość sprawiedliwości.

Łąki bardzo rzadko pozostają we władaniu tegoż samego gospodarza w okresie między dwoma działaniami; wyjątkowo stosuje się to tylko do zamkniętych kawałków lub pąsów. Zwyczajnie dzielą się zapomocą losowania corocznie, przyczem bierze się w rachubę nie tylko przestrzeń, ale i gatunek trawy. Zdarza się niekiedy napotykać dokonywany wspólnymi siłami zbiór trawy i dzielenie się dopiero sianem (w naturze).

Wygony pozostają zawsze w posiadaniu wspólnem. Z lasów gmina wielkoruska użytkuje w sposób dwojaki: albo wydzielają się parcele do użytku każdego gospodarza, albo też pozwala się corocznie wyrąbać pewną ilość drzewa opałowego, bierwion, żerdzi i t. p. Pierwszy sposób prowadzi gospodarstwo leśne do ruiny, bo każdy stara się na swoim działku nic nie pozostawić; drugi — nie jest najlepszy, ale oszczędniejszy. Chrust dzieli się między gospodarzy na pniu, a każdy rąbie go sam dla siebie.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć o wzajemnej poręce. W znaczeniu odpowiedzialności majątkowej jednego członka gminy za niewypłatność drugiego nie wykonywa się ona prawie nigdy. W praktyce sądowej wzajemna poręka zalicza się niemal do fikcji,

w codziennem życiu włościańskim zaś jest tylko owym mieczem Damoklesa, wiszącym nad majątnością każdego akuratnego i zamożnego gospodarza. Ona daje prawo gminie odebrać ziemię od zalegającego w opłacie podatków (w działalności gminy ten jeden motyw do akcji występuje zawsze), część lub nawet cały dział i dzięki tylko temu prawu gmina nie dźwiga na sobie ciężaru i następstw wzajemnej poręki. W znacznej więc mierze występuje ona jako pierwotna przyczyna częściowych i jeneralnych działań w gminie i staje się przeszkodą do organizowania się trwałej własności indywidualnej najbardziej odpowiadającej, przy teraźniejszym stanie kultury, wymaganiom ekonomicznym, intelektualnym i społecznym człowieka. Ona to stanowi zasadniczą cechę, różniącą własność pospólną od własności indywidualnej. Usunąć wzajemną porękę, przyznać obowiązkową odpowiedzialność indywidualną za regularność opłat podatkowych każdego gospodarza, usunąć podziały ziemi gminnej, o których mówiliśmy — a wnet owa idealna powszechność, rujnująca ekonomicznie włościan, istnieć przestanie.

Zanim przejdziemy do skreślenia innych właściwości życia gminy wielkoruskiej, musimy jeszcze zastanowić się nad znaczeniem wyrazu „dusza”, którego kilkakrotnie użyliśmy. Zdawać-by się mogło, że przez „duszę” rozumieć należy każdą jednostkę do pracy zdatną albo też jednostkę, posiadającą pewne uposażenia gruntowe. Wcale nie. Dusza nie tylko nie odpowiada nadziałowi ziemią, często nie prowadzi własnego gospodarstwa, ale nieraz nie stoi w żadnym

stosunku do ilości zdatnych do roboty mężczyzn w gminie. Jest to więc nomenklatura fikcyjna, pojęcie oderwane, reprezentujące pewną opodatkowaną jednostkę ziemi. W ten sposób, w gminie, dusza nie jest robotnikiem ani nawet istotą żywą, ale wyobraża gospodarstwo włościańskie (osada, *dwo-r*), na czele którego stoi jeden człowiek — gospodarz — dysponujący robotą i majątkiem ludzi osiadłych na tem gospodarstwie.¹⁾

Stojąc więc na czele swego gospodarstwa, wypełnia wszystkie powinności, płaci podatki, pilnuje nienaruszalności posiadanych gruntów — słowem, zachowuje się tak jak właściciel indywidualnej własności, od którego różni się tylko tem, że gmina może mu część a nawet cały grunt odebrać, ażeby stworzyć nową jednostkę ekonomiczną, a na wypadek śmierci nie wie czy całe _ego gospodarstwo, a raczej ilość posiadanego gruntu na dzieci przejdzie.

Panuje przekonanie, że organizacja rodziny w życiu wielkoruskich włościan była jakoby podobna do organizacji gminnej wspólnoty i w ten sposób odpowiadała harmonii życia ekonomicznego. Jestto przekonanie błędne. Rodzina wielkoruska opiera się na podwładności majątkowej i indywidualnej wszystkich jej członków, aż do najdalszych rozgałęzień, głowie rodziny. Tworzy więc, jak łatwo zrozumieć, całość jednolitą, zamkniętą i niepodzielną przynajmniej za życia tej głowy. Członkowie rodziny mogą opuścić go, mogą tworzyć własne gospodarstwo na ziemi pust-

¹⁾ Gołowin, rozdz. III.

kującej, ale żądać wydziału majątkowego nie mogą. Tak się działo w Rosji od bardzo dawna, a owi niezadowoleni, opuszczający rodzinne gniazdo, wytwarzali zgraje włóczęgów, rozbójniczyli lub też na kresach państwa jako „wolnica” i „kozacy” bawili się grabieżą. I dziś porzucają oni rodziny tak samo jak dawniej, szukając rozmaitego zarobku daleko od gniazda. Owe niby podobieństwo rodziny i gminy polega na nieuznawaniu przez obie instytucje indywidualnego prawa majątkowego. Ale w rodzinie niepodzielność majątkowa wypływa z pokrewieństwa i każde usiłowanie podziału jest jednocześnie usiłowaniem zrujnowania rodziny. W gminie dzieje się odwrotnie: pokrewieństwo między jej członkami nie istnieje, a zwierzchnicze prawo na własność wspólną nie wyraża się nieograniczonym wspólnym władaniem, ale w ydzieleniu każdemu jej członkowi proporcjonalnej części tej własności. Zasadnicze podstawy gminy i rodziny nie tylko nie są identycznymi, ale przeciwnie stają często ze sobą w kolizji: gmina musi łagodzić spory wynikłe skutkiem podziałów rodzinnych, a więc często wewnętrzny ustrój rodziny naruszać.

Przejdźmy teraz do drugorzędnych, mniej typowych stron życia gminy wielkoruskiej.

Jeżeli gmina ta jest nie tylko formą władania ziemią, związaną ściśle z systemem opodatkowania, jeżeli ona oprócz tego jest, jak utrzymują odbiciem narodowego ducha (na co się Laveleye godzi), to mianowicie w życiu wielkoruskiego włościaństwa powinny być uwidocznione rysy i cechy, świadczące o sile

i żywotności gminy. Przedewszystkiem powinny się one ujawnić w formie pracy. W rzeczywistości zaś tego nie widzimy. W żadnej z gałęzi gospodarstwa wiejskiego nie spostrzegamy pracy kolektywnej. Prawda, dowiadujemy się, że w kilku głuchych zakątkach guberni Wiackiej i Nowogrodzkiej rolnicy prowadzą wspólne gospodarstwo polowe — i oto wszystko. Orka wspólnymi siłami uskuteczniła niegdyś pod posiewy, przeznaczone dla magazynów gromadzkich w majątnościach ministerjum dóbr, obecnie zaniedbana zupełnie, a gdzie jeszcze istnieje, to nie z inicjatywy włościan, ale administratorów lub ziemstwa. Zresztą nie słychać nic o tem, ażeby wspólna uprawa roli świetne dawała rezultaty. Wogóle jako regułę, można utrzymywać, iż włościanie niechętnie podejmują się kolektywnej pracy wtenczas nawet, kiedy ona jest korzystną i łatwą (n. p. zbiór zboża, siana, orka i t. p.), lecz dzielą pole na kawałki i każdy na swoim pracuje. Pochodzi to stąd, że każdy obawia się zrobić więcej niż potrzeba, stąd wynika, że robota kolektywna pod względem szybkości i wartości odpowiadać może nie najlepszym ale najgorszym robotnikom.

Publicyści lubią bardzo podnosić dwa zjawiska z życia gminy wielkoruskiej: opiekę i pomoc gminy. Opieka ma polegać na niedopuszczeniu takiej metody kultury, któraby stanowiła przeszkodę dla wspólnego pastwiska lub też groziła wycieńczeniem gruntu. Ażeby zadośćuczynić pierwszemu żądaniu, gromada nie pozwala wprowadzenia innego systemu oprócz trzypółwki, która w ten sposób staje się obowiązującą dla wszystkich. Taką samą opiekę rozciąga nad

członkami gminy i gromada ukraińska. Jest to, można powiedzieć, macosza opieka, opieka polegająca na wspólnej ciemnocie i ociążałości członków, opieka rujnująca gospodarstwa włościańskie, jak to mieliśmy sposobność wykazać na innym miejscu¹⁾. Gospodarstwa włościańskie, w gminie wielkoruskiej, uprawiają len po lnie przez wiele lat bez obornika, a obornik sprzedają: w tych wypadkach gmina nie opiekuje się, nie troszczy się o gospodarstwo, więc na czemże opieka polega?

Co do wspólnej pomocy — nie należy w niej upatrywać również ideału solidarności gminnej, przeciwnie da się ona sprowadzić do granic bardzo szczupłych. Gromadzka pomoc przybiera dwie formy. Gdy włościanie zabudowują się na nowo, n. p. po pożarze, pomoc polega na tem, że drzewo budulcowe zwożą wszyscy lub kto może; wdowom lub sierotom sąsiedzi pomagają żąć zboże, wozić, kosić siano. Dzieje się to na całym świecie, u wszystkich narodów, we wszystkich państwach jest charakterem nie gminy wyłącznie, ale raczej natury ludzkiej. Zresztą, jeżeli już o to chodzi, to trzeba dodać, że owa pomoc nie jest bezinteresowna — niosą ją za częstunek, który nieraz wartość pracy przenosi. Tyle da się powiedzieć o wzajemnym stosunku włościan w gminie.

Wypada jeszcze podnieść jeden akt, który zwykle bywa fałszywie oświetlany. Wykazy banku włościańskiego świadczą, że najczęściej (przeszło 52%)

¹⁾ O położeniu małej własności ziemskiej i robotników wiejskich na Ukrainie, Podolu i Wołyniu Dodatek miesięczny „Przeg. Tyg.” N. 4 i 5. 1887.

ziemię kupują gminy, następnie idą stowarzyszenia włościańskie (około 47%), a w końcu dopiero własność indywidualna (około 1%), — ma to być najlepszym dowodem żywotności gminy, jej racji bytu w przyszłości i niesympatycznej, jakoby, ludowi formy indywidualnego władania. Jeżeli to dowodzi czego, to chyba uprzedzenia obrońców gminy, gdyż zjawisko samo przez się poprostu zastrzeżone jest statutami banku, który, trzeba to przyznać, włościanie wielkoruscy lepiej rozumieją, niż ich obrońcy. Włościanie nabywający ziemię przy pomocy banku, jeżeli nabywają gminą całą, dopłacają tylko 9%, przy nabywaniu towarzystwami (grupami) dopłacają 14%, a kupując na własność indywidualną dopłacają 50%. W ten tylko sposób stało się możebnem dla włościan z gminy kupno wielkich obszarów, niedostępnych dla własności indywidualnej (*dwór*), która ma zakreśloną maksymalną pożyczkę do 500 rs. Statut banku włościańskiego miał wprowadzić na uwadze głównie interes włościan, ale zagwarantował sobie najwięcej bezpieczeństwa i spokoju, a dając pierwszeństwo w nabyciu ziemi gminie, zabezpieczył w ten sposób wypłatność regularną podatków i rat pożyczkowych. Jest to jednak jeszcze bardzo niepewną szansą, czy gminy, nabywszy ziemię, zechcą utrzymać ją we władaniu wspólnem, tembardziej, że większość kupna wypada na gubernie, w których indywidualna własność przeważa; mieliśmy zaś sposobność widzieć, że zasadniczo indywidualne władanie godzi się ze wspólnością gminy — może i kompromis łatwo się znajdzie.

Jeszcze słówko o przejściu od władania zbioro-

wego do indywidualnego. Przejścia te, o ile wiadomo, odbywają się bardzo powoli, a z tego faktu obrońcy wspólności gminnej chcą wnosić o wrzekomem przywiązaniu włościan do tej formy. Z tego, cośmy mówili, wnosić można o ile podobny domysł jest uludny. Jeżeli może być mowa o przywiązaniu z konieczności — w takim razie uwaga nie pozbawiona jest słuszności, a koniecznością tą jest podatek na gminę nakładany. Skasować system pobierania podatków, obecnie istniejący ze wspólną odpowiedzialnością na czele — a gmina w znaczeniu kolektywnem istnieć prędzej lub później przestanie, gdyż gmina wielkoruska nie jest wcale związkiem ludzi, połączonych ze sobą świadomie, celem wspólnego władania ziemią, lecz garstką zlepioną cementem fiskalnym. Ponieważ niema świadomej przyczyny, wiążącej tę garstkę, dla tego też nie może być świadomej kolektywnej gminy, tak samo jak niema bezwarunkowo indywidualnej własności włościańskiej. Obie formy władania ziemią posiadają bardzo wiele cech wspólnych, które dopiero przy bliższem badaniu spostrzedz się dają.

Wbrew twierdzeniu Laveleye'a, że we własności pierwotnej góruje pierwiastek społeczny, w gminie wielkoruskiej śladu tego pierwiastku doszukać się nie można, przeciwnie zaś nicią przewodnią całej organizacji jest troska o podział i regularną opłatę podatków, często z zupełnem pominięciem praw i potrzeb społecznych jednostek, gminę składających.

II. Skąd i jak powstała gmina wielkorosyjska.

W gminie wogóle upatrują pierwotną formę organizacji agrarnej; opinia ta ustaliła się do pewnego stopnia w nauce powagą Layeleye¹⁾ i Maurera²⁾, który początek gminy widział w kolektywnem wzięciu w posiadanie pewnej przestrzeni ziemi przez ród. Do powag powyższych uczonych uciekano się zbyt może często w celu wyjaśnienia początków powstania gminy wielkorosyjskiej, dostrzegając w niej prastarą formę władania ziemią, niegdyś jakoby istniejącą w całej Europie, obecnie zatraconą niemal zupełnie wszędzie prawie, z wyjątkiem Rosji.

Istotnie w Rosji istnieje, jak widzieliśmy, gmina, posiadająca swoje wybitne cechy i charakter, które staraliśmy się naszkicować poprzednio, istnieje bardzo szeroko rozgałęziona. Już sam fakt istnienia dowodzi racji bytu z tej lub innej przyczyny; lecz jaki jest początek tej gminy? Pytanie to nie ma żadnego praktycznego znaczenia, ale niepozbawione interesu histo-

¹⁾ De la propriete et ses formes primitives. Korzystam z polskiego przekładu z 4-o wydania.

²⁾ Geschichte der Dorfgemeinde.

rycznego. naukowego. Dotychczasowi uczeni rosyjscy, śladem których poszedł Laveleye zapatrywali się na gminę bardzo jednostronnie. Przyjmując za punkt wyjścia poglądy zachodnio-europejskich badaczy (przeważnie Haxthausena) o początku gminy, wysnuwali z tego całe feorie, nie zawsze dość ściśle sformułowane, o ile one nadawały się do usprawiedliwienia lub uzasadnienia naprzód sformułowanych zapatrywań na gminę, w której wszelkimi sposobami szukano najdoskonalszej formy władania ziemią, mającej posłużyć w przyszłości do reformy agrarnej. Dopiero ściślejsze badania źródeł dziejowych i polemika naukowa wyjaśniły kwestję do pewnego stopnia, a raczej ją zebrane, dotyczące ekonomicznej organizacji gminy, pozwoliły wyrobić na nią poglądy bardziej jasne, a nawet pozbawione zupełnie mgły idealnej, jaką otoczyli ją Sokołowski, Postnikow i wielu innych.

Z tego względu dzieło Gołowina ma niezaprzeczoną wartość naukową, bo chociaż jak każda praca ludzka, nie jest wolne od usterek, wprowadza kwestję na nowe tory badań. Istniejącą gminę przedstawia on bez fantastycznych obłonek, a początku jej szuka w dokumentach i źródłach historycznych nie zaś w problematycznych wnioskach, opartych na nie zawsze uzasadnionem rozumowaniu.

W źródłach historycznych rosyjskich, dotyczących władania ziemią i agrarnych stosunków, spotykamy ciągle wyrazy *sielo*, *dierewnia*, *wołosH* i tp., dziś mające zupełnie inne znaczenie niż miały ongi. Pomimo to, zdarza się aż nazbyt często, że badacze nowożytni nadają im znaczenie dzisiejsze, wskutek

czego powstaje nieraz chaos pojęć nie do rozplątania. Z jednego wyrazu, z jednej nazwy pewnej instytucji starano się odszukać istnienie faktu lub instytucji w pojęciu dzisiejszem; stąd też pewna epoka czy chwila przeszłości oświećta się zupełnie dowolnie, przybiera zupełnie odrębne rysy charakterystyczne, różne od rzeczywiście istniejących w owe czasy. Przejdźmy do szczegółów.

Weźmy wyraz wieś (*dierewnia*). Dziś jest to pewna liczba domów, przeważnie włościańskich, zbudowanych na pewnej przestrzeni; jednym słowem wyobraża ona pewną jednostkę administracyjną. W XII. do XVI. w. pod tą nazwą rozumiano przysiółek (*posioloł*), składający się z kilku domów, do których okoliczne ziemie przylegały. Właścicielem osady mógł być człowiek do każdej pozycji społecznej należący, — a więc *bojaryn*, swobodny rolnik lub nawet mały właściciel, siedzący na własnej ziemi (*czernososznyj kreśfjanm*)¹⁾

Kilka takich przysiółków zgrupowanych koło cerkwi otrzymywało nazwę *s i e d l i s k a* (*sieło*) a niekiedy *w ł o ś c i* (*wołosti*). Tak się działo na północy przynajmniej, w ogóle w wielkim księstwie Moskiewskim. Przez „*icołost*” rozumiano pewną jednostkę terytorjalną różną od „*pogostu*” (parafii), reprezentującą większe lub mniejsze centrum administracyjne, w którym skupiały się różne sprawy i interesy. W rozmaitych epokach i okolicach *uwłosf* miała nieco odmienne znaczenie. Na północy, wśród bardzo nielicznej

¹⁾ Pod wyrazem *czernososznyj* Gołowin rozumie rolników osiadłych na własnej ziemi, którzy później weszli do kategorii włościan państwowych (str. 85/

ludności, przeważnie włościańskiej, do której należała naturalnie ziemia, *wotostią* nazywano grupę osad, przysiółków (*dereti im*) w sąsiedztwie leżących. W południowych powiatach (*Jiatiny*) krainy Nowogrodzkiej przez *wołostf* rozumiano zarówno włościańskie jak i bojarskie siedliska. Wielkość, obszar zajęty przez *wołost'* zależał od gęstości zaludnienia: im ludność była liczniejsza tem przestrzeń zajmowana przez *wołostf* bywała mniejszą. Bliżej ku Moskwie *wołost'* była większą a niekiedy, jak świadczą księgi popisowe, obejmowała 700—800 przysiółków.

W XIV i XV. wieku *wołosti* w. k. Moskiewskiego nie posiadały jeszcze charakteru mniej więcej autonomicznych jednostek włościańskich; w skład ich terytorjalny wchodziły ziemie bojarskie, klasztorne i włościańskie, a zarządzili nimi nie urzędnicy wybieralni lecz mianowani z ramienia wielkiego księcia, bojarów lub klasztorów, stosownie do tego, czy *wołost'* należała do księcia, bojara lub monasteru. W *Sudiebniku*¹⁾ Iwana III. rządca *wołosti* (*wołostid*) i namiestnik uważani są jednakowo. Obaj oni byli urzędnikami. a tem się tylko różnili od siebie, że pierwszy zarządzał gminą wiejską (*wołost'*) a drugi gminą miejską (*gorodskaja* i *posadskaja obszczina*). Włościański charakter *wołost'* przybrała dopiero od czasów Iwana Groźnego, kiedy poraż pierwszy włościanie pańszczyźniani i wolni, którzy później należeli wyłącznie do kategorii włościan państwowych, osiedliwszy się na ziemiach bojarskich, książęcych lub monasterskich, u-

tworzyli odrębną warstwę społeczną posiadającą swój samorząd i sąd.

Do Iwana IV. nazwisko *wołosti* nadawanem było nie tylko pewnej zorganizowanej grupie włościan, ale każdemu zaludnionemu okręgowi terytorjalnemu. Innej organizacji, w którejby się skupiało ówczesne życie włościan nie było wcale. Mówiąc inaczej, dawna *wołost'* odpowiadała zupełnie prawie temu pojęciu, które za naszych czasów przystosowano do gminy. W грамотach wielkich książąt Moskiewskich, w umowach, wreszcie w ustawach (*Sudiebnik*) zawsze ile razy jest mowa o wspólnym interesie włościan, zasiedlających pewien okręg, jest mowa jednocześnie o *wołosti*, jako punkcie ześrodkowującym te interesy. W najstarszym jednak pomniku prawodawstwa, *Ruskiej Prawdzie*, o *wołosti* nie ma wcale wzmianki, jako też o gminie; natomiast używa się wyraz „*wienć*” (w dosłownym terazniejszym znaczeniu *powrót* = *wie-rowlca*).

Wprawdzie Czyczerin¹⁾ utrzymywał, że przed przyjściem Warego-Russów miała istnieć w Rosji gmina patryarchalna, rodowa; a dopiero po dokonaniu zdobyczy Rusi przez Ruryka i Olega i rozdaniu ziemi „drużynie” znikła i odrodziła się nowo za czasów Piotra Wielkiego. Jest to hipoteza, niezbyt prawdopodobna, przede wszystkim z tego względu, że w najbliższych pomnikach historycznych tego czasu nie znajdujemy nawet wyrazu „*obszczina*”. Nie zapisał go ani Nestor, który nie tylko znał swoje stosunki zna-

¹⁾ Oчерки из истории русскаго права.

Z różnych sfer.

komicie, ale opowiadania niektóre zapisywał wprost z ust żywych ludzi, niepodobna więc prawie, ażeby nie wspomniał o tem tak ważnem zdarzeniu jak usiłowanie zastąpienia jednej formy władania przez drugą. Lud wiejski, przywiązany do pewnych form własności, nie pozbywa się ich ani łatwo, ani prędko, a często upornie walczy o nie. Niszczenie więc patriarchalnej gminy i rozdawanie jej ziemi drużynie nie mogłoby przejść w dziejach spokojnie. Nie wspomina o „obszczynie” ani słówkiem *Russka prawda*, zajmująca się bardzo szczegółowo stosunkami agrarnymi Rusi. Przedstawia się przeto następujący dylemat do rozwiązania: albo gmina w znaczeniu teraźniejszym w dawnej Rusi nie istniała wcale, albo istniała na północy pod formą identycznej z nią *u-ołosti* lub też żadnego gwałtu ze strony Warego-Rusów nie było. Gminę — jeżeli istniała — pozostawiono w spokoju, a „drużynie” rozdawano ziemie puste, jak to się działo w Polsce już za naszych historycznych czasów. W takim razie milczenie *Russkiej prawdy* i *Nestora* da się usprawiedliwić: ponieważ w ustroju gminy — mniejsza o to jak ją nazwiemy — nie zaszło żadnej zmiany, między rządem gminy a rządem wielkich książąt nie było żadnych nieporozumień, kronikarze nie mieli powodu pisania o niej.

O tem jakie formy władania istniały na Rusi przed przyjściem Waregów, nic prawie nie wiadomo. Nestor zapisał wprawdzie: „żyli każdy ze swoim rodem i na swoich miejscach, władając każdy rodem swoim” — a na podstawie tej krótkiej wzmianki osnuło całą teorię o istnieniu na Rusi formy rodowego

władania : jest to teoria w wielu razach słuszna i prawdopodobna. Teorii tej hołdują także dwaj badacze staro-rosyjskiej gminy, Czyczerin i Bielajew, z tą tylko różnicą, że pierwszy utrzymuje jakoby najście Warągów zniszczyło resztki rodowego bytu, a drugi, że gmina rodowa przekształciła się z czasem w teraźniejszą gminę wiejską. Trzeci badacz gminy — Sokołowski¹⁾, szukający jej bądź co bądź na północy, utrzymuje, że władanie ziemią w Nowogrodzkim kraju rozpoczęło się od kolektywnego, gdzie posiadaczką ziemi zjawia się rodzina. Istnienia powyższej formy dowodzi jednak nie faktami i dokumentami, bo takowe jeżeli są, to nieopracowane krytycznie, ale, jak się zbyt często zdarza, powagą innych autorów ; otóż i Sokołowski zasłania się płaszczem Laveleye'a, Maurera i in.

Domysły powyższe, nie oparte dość mocno, skierowane są do tego, ażeby w początkach historycznego życia Rusi znaleźć wspólne władanie ziemią w jakiejbądź formie — rodzinnej lub rodowej. Cały wywód, niby historyczny, autora opiera się na wyrazie *ród*, użytym przez latopisca, a więc na znaczeniu wyrazu bardzo chwiejnym, bo *ród* może tak dobrze oznaczać rodzinę, związaną pewną wspólnością krwi i interesów, która dziś do pewnego stopnia włada całością gospodarstwa, jak *ród* starogermański, instytucją napół wojskową, której patryarchalny naczelnik bierze władzę prawem spadku i sprawuje ją nad całym rodem. O istnieniu na Rusi, a później w Rosji

takich rodów i naczelników ani w podaniach ani: w dokumentach historycznych śladu nie pozostało. Przynajmniej w XI w. t. j. jak daleko sięga najstarszy pomnik jurydyczny, *Russka prawda*, rodowej organizacji już nie było a ród oznaczał rodzinę. Widać to z pierwszego artykułu kodeksu, w którym są wyliczeni krewni, mający prawa do krwawej zemsty za śmierć zabitego członka rodziny: prawo to na braciach się kończy. Synowie Jarosława i tę formę krwawej rodowej zemsty zamienili na zapłatę głów szczyzny (*icira*), którą miała płacić *wierw* pod wspólną odpowiedzialnością. Czem była owa *wierw* — obaczmy niżej.

Szukanie początku gminy w rodowej organizacji — jest echem teorii Maurera i Laveley'a twierdzących, że aż do wieków średnich wszystkie narody szczepu germańskiego trzymały się formy wspólnego władania ziemią. Laveley utrzymuje, że tam gdzie ziemi jest podstatkiem, a więc nie ma ona żadnej wartości, rolnicy chętnie uprawną rolę mieniają na nowinę. Jest to teoria rolniczo-ekonomiczna zastosowana bardzo śmiało ale nieprawdziwie, bo rola od dotknięcia się do niej piewszego narzędzia powiększa wartość i ten, co w nią pracę włożył, już ją uważa za swą własność. Laveley w tym wypadku widocznie identyfikuje władanie wspólne z gospodarstwem odłogowym lub wypalającym, w których porzucanie wyczerpanej lub zużytkowanej roli dla nowin miało rzeczywiście miejsce, i stosuje się jeszcze obecnie w pewnych mniej lub więcej określonych odstępach czasu. Gdzie zaś ceną ziemi jest praca w nią włożona, tam,

nawet przy obfitości ornego gruntu, nie może być wspólnego władania.

Własność wspólna nie mogła więc powstać kiedy ziemi było za wiele, lecz odwrotnie — kiedy ilość jej poczęła się już zmniejszać, a ludność powiększać. Wtedy ziemia, nienależąca dawniej do nikogo — *res nullius* — jak pastwiska, łąki, lasy, stykać się poczyną granicami z sąsiednimi siedzibami ludzkimi i zjawia się potrzeba rozgraniczenia się. Wtenczas ziemia wolna, niczyja, staje się wspólną t. j. sfera używalności gminy określa się ściśle. Tak według przyrodzonych praw ekonomicznych mogła powstać pod formą gminy — zjednoczenia się osiadłej ludności — pierwotna zawięź państwowa w krajach, gdzie pasterstwo przeszło w rolnictwo. Z łączeniem się gmin w ogniska administracyjne powstają wspólne potrzeby państwowe — stąd podatki i wzajemna poręka w regularnem składaniu ich, właściwe nie tylko gminie wielkorosyjskiej, ale każdemu organicznemu zaczątkowi państwa. Następstwa wspólnej odpowiedzialności wszędzie były jednakowe: pociągały za sobą pewną wspólność majątkową. Gdzie prawa jednostki i jej pracę indywidualną poczęto wcześniej szanować, gdzie sprężystość administracyjna lub lepsze warunki wcześniej zatarły wspólną odpowiedzialność, tam przejście do zupełnej własności indywidualnej odbyło się prędzej, jak np. w Niemczech; w Rosji działo się odwrotnie, tu, jak obaczmy, tworzone sztuczną gminę w celach czysto fiskalnych i taka gmina przetrwała do dziś z temi samymi cechami.

Rosyjskim publicystom i historykom dawna Ruś

przedstawia się jako ekonomiczny raj z nieco chaotyczną i nie dość ściśle określoną gminą-wspólnotą; jako *tabula rasa*, po której ludzie, spacerując, jak mrówki, wybierają ulubione miejsce i zakładają wspólnotę taką, jaka zrodziła się w pojęciu księcia Wasilczykowa lub Sokołowskiego, nie troszcząc się wcale o to, że ich idealna gmina jest całością ekonomiczną na zasadach fiskalnych opartą, zamkniętą w sobie, o pewnych stałych formach; jednostki zaś ekonomiczne nie kształtują się od razu, lecz powoli przystosowując się do warunków orograficznych, geograficznych, ekonomicznych, administracyjnych i t. p.

Nie ulega wątpliwości, że oprócz gmin na wspólności opartych, powstałych na zasadzie ekonomicznej ewolucji, naszkicowanej nieco wyżej, już ku końcowi X. w. na Rusi Nowogrodzkiej istniała własność indywidualna i klasy społeczne. Nestor mówi, że daninę pobierano „*od dyma i rala*” t. j. od osady i od sochy. Charakter tego podatku zachował się w Polsce aż do ostatnich prawie czasów jako „podymne i poradlne”. Ten sam latopisiec, mówiąc o poselstwie Drewlan do Olgi, pisze: „i posłasza Drewlanie *Łiszczii muzi, iże derzachu Derewskuju ziemi*”. Można się w tem dopatrzyć śladów władania państwowego, ale natomiast niepodobna doszukać się władania wspólnego.

Busska prawda zajmuje się regulowaniem spadków na korzyść rozmaitych klas owoczesnego społeczeństwa. Gdyby gmina wspólna istniała, *Busska prawda* nie miałaby potrzeby mówić o spadkach, gdyż w takim razie regulowałyby się one sądem gminnym.

Natomiast i latopisiec i *B. p.* używają ciągle wyrazu *dwór* (sadyba), z czego możemy wnioskować o istnieniu własności indywidualnej (*podwornoje wladienije*) mniej lub więcej zupełnej. Większość ziemi należała już wtedy do bojarów i kniazia, słowem istniała pewna forma, dziś nie dająca się ściśle określić, nawet własności wielkiej: pozwala nam wnioskować o tem z istnienia urzędu *tiuna* (starosty, sędziego) nie tylko wiejskiego (*sielski*) ale kniażego, bojarskiego a nawet ogniszczańskiego i tatajnego, a więc czegoś podobnego do odrębnego sądu dla każdej warstwy posiadaczy ziemi. Może nawet *Busska prawda* stopniowała je według pojęć owoczesnych, bo za zabójstwo *tiuna* kniażego i ogniszczańskiego opłacano głów szczyzny 80 grzywien, a sielskiego i ratajnego tylko 12 grzywien.

Zresztą, najlepszym może dowodem, że na Rusi przeważała forma indywidualnego władania, świadczą ustępy *Russkiej prawdy*, według których płacono grzywny za rozoranie miedzy, za niszczenie znaków rozgraniczających (n. p. na dębach; wogóie za usuwanie miedz bartnych, polowych (*rolejnych*) i sadybnych (*dwornych*)). Istnienia własności indywidualnej, jako powszechnej formy władania, możnaby jeszcze dowieść krytycznem rozpatrzeniem praw rozmaitych klas i warstw społecznych, gdyby to nie powiększało nadmiernie naszego referatu.

Mówiąc o gminie, na wspólności opartej, mamy ciągle na uwadze Ruś północną, t. j. taką, która do połowy XII. w. skupiała się koło Nowogrodu, a potem W. Księstwa Moskiewskiego; południową Ruś wykluczamy zupełnie z rozprawy, gdyż ustalenie się

tam własności indywidualnej nie podlega żadnej wątpliwości.

Do rozjaśnienia kwestji powstania gminy wielkorozyjskiej w takiej formie, jaką dzisiaj widzimy i jaką staraliśmy się w poprzednim artykule scharakteryzować, przyczynia się wielce bardzo ciekawe studjum pani Jefimienko¹⁾, charakteryzującej formę władania ziemią włościan Oboniejskiej piatyny (gub. Archangielska i Ołonecka). Jest to studjum tem ciekawsze, że przedstawia kraj położony nad Dźwiną północną t. j. właśnie tę część państwa, w której według ks. Wasilczykowa i Sokołowskiego, miała się wrzekomo swobodnie rozwijać gmina wiejska, około Moskwy tamowana jakoby w rozwoju przez władzę książęcą i wielką własność (*pomieszcziki*).

Dokumenty, znalezione przez panią Jefimienko u włościan powiatów Chołmogorskiego i Archangielskiego, jako też w archiwach miejscowych klasztorów, cerkwi i urzędów, pozwoliły jej określić formę i charakter władania ziemią na północy, już począwszy od XV. w. Kraj na Dźwiną zasiedlił się wychodźcami z Nowogrodu, którzy zakolonizowali wyłącznie prawie brzegi morza i brzegi wielkich rzek, pierwsze dla rybołówstwa, drugie dla rolnictwa. Wąskie nadbrzeżne pasy lasów przydatne do kultury rolnej przeszkadzały rozwojowi rolnictwa, gdyż rolnik z wielkim wysiłkiem zdołał karczować je i zdobyć trochę ziemi. Las jak był, tak i pozostał n i c z y m ; zajęcie w posiadanie

¹⁾ Izsliedowanija narodnoj žizni; artykuł: Krestjanskoje ziemlewładienije na krajniem siewierie.

kawałka lasu i wykarczowanie służyło za dowód własności, a dokumenty urzędowe dotyczyły tylko ziemi ornej i łąk. Od najdawniejszych czasów widać tu dwa typy władania ziemią: ludność osiadłą stale na roli i trudniącą się gospodarstwem zbożowym i ludność przemysłową, osiadłą w lasach dla polowania i z konieczności zajętą zdobywaniem ornego pola. Jednocześnie z własnością włościańską występuje większa boarska, — bojarowie kolonizują brzegi morskie dla rybołówstwa i rolnictwa i gospodarują bądź sami, bądź prawa i ziemię wydzierżawiają. Tak samo postępuje własność monasterska.

Osadnicy zasiedlają kraj regularnie. Już w XIV w. znajdujemy tam typ osady i gospodarstwa podobny do południowo-słowiańskiej *zadrugi*: jest to wielka rodzina, osiadła zupełnie samodzielnie od innych, zamieszkująca jeden lub kilka *dworów* i władająca pewnym kawałem ziemi. Owo wspólnorodzinne władanie nosiło nazwę *ogniska* (*pieczyszcze*, *ogniszcze*). Taką była forma władania ziemią na Północy i taką pozostała: włościanie Archangielskiej gub. mieszkają osadami, z kilku dworów składającymi się, oddalonymi o wiorstę lub więcej od siebie i tworzą obecnie gminę (*obszczestwo*) jak niegdyś tworzyli *wołost*. Z czasem owa gmino-rodzina rozrastając się, drobiła ziemię (*pieczyszcze*, *ogniszcze*), dzieląc ją między członków stosownie do stopnia pokrewieństwa. Że działo się tak w rzeczywistości, świadczą najlepiej księgi wiejskie, w których zapisywano uposażenia. Prawo do tych części, uposażeń, było można powiedzieć nominalnem, określało pewną ilość przypadającej ziemi,

faktycznie zaś ognisko zostawało niepodzielnym, posiadacz zaś otrzymywał w każdej ręce odpowiedni pas. Czynność nazywano wydzielaniem uposażenia (*wierirfenije*), księgi zaś nosiły nazwę ksiąg uposażeń (*wierionnyja knigi*).

W takiej więc osadzie tkwiło jądro późniejszej gminy, chociaż posiadała ona cechy, wyróżniające ją od gminy: 1-o mieszkańcy jej złączeni byli jednością krwi, 2-o składały się z kilku domów, gospodarstw (*chwor*) i wreszcie 3-o każdy posiadacz miał prawo swoją nominalną część zastawić lub nawet sprzedać.

Prawo sprzedaży pociągnęło za sobą wciskanie się do gminy północnej obcych przybyszów, co z czasem wywołało rozczłonkowanie gminy-rodziny, wytwarzanie się własności indywidualnej pod formą osad i tworzenie się wybitnych nierówności ekonomicznych, tj. własności większej, mniejszej i nareszcie wyzucie się z ziemi.

Taki jest wykład faktyczny pani Jefimienko. Mimo woli wypada zapytać: skądże znowu z formy władania indywidualnego, stwierdzonego dokumentami, powstała forma nowa, oraz odmienna — dzisiejszej gminy? Żadne ekonomiczne, a tembardziej społeczne przyczyny nie działały tu wcale — jedynie tylko przyczyny fiskalne. Rząd Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, pragnąc ułatwić sobie pobór podatków i wedle możliwości zrównoważyć je, a napotkawszy trudność w nadmiernej rozciągłości krajów podbitych (okręg Dźwiny należał niegdyś do rzeczypospolitej Nowogrodzkiej), przy małym ich zaludnieniu, ściągał podatek nie z każdej osady (*dierewnia*) osobno,

ale z okręgu pewnego (*wołosti*) i w ten sposób *wołost* stawszy się środowiskiem fiskalnym i administracyjnym, będąc niejako odpowiedzialną wobec rządu, już przez to samo jednała sobie wpływ na włościan, z czasem poczęła się organizować tak, aby łatwiej obowiązkom swoim względem państwa podołać mogła. W ten sposób miała niejako prawo wtrącać się coraz bardziej w sprawy włościan, dotyczące władania ziemią, biorąc sobie za punkt wychodni podatek i regularną jego opłatę.

Cios indywidualnej własności w Okręgu Dźwiny Północnej, zadany został dopiero w połowie XVIII w. przez tak zwane instrukcje graniczne (*mieżywyje instrukcii*) z lat 1754 i 1761. Po zdobyciu Nowogrodu, wszystkie ziemie okręgu Dźwiny, z wyjątkiem należących do klasztorów, uznane zostały za rządowe. W ten sposób osady włościańskie, będące we władaniu indywidualnym, przestały należeć do dawnych właścicieli, a stały się własnością państwa. Takie upaństwowienie ziemi dopiero uregulowało się ostatecznie w r. 1830, gdy wzbroniono włościanom sprzedawać ziemię i *n a k a z a n o* skutecznie działać według ilości „dusz”. Pomimo oporu, porządek ten wprowadzono i forma wspólnego władania, istniejąca w dzisiejszej gminie, ustaliła się powoli. Gminę zatem w formie dzisiejszej wspólnoty stworzył sam rząd za pośrednictwem swego ustawodawstwa.

Teraz należałoby rozwiązać pytanie, o ile streszczone tu fakty, dotyczące kształtowania się własności ziemskiej na północy, dadzą się rozszerzyć na inne części państwa rosyjskiego? Jedni (jak Bielajew), okręg

Dźwiny północnej uważali za kraj, w którym władanie ziemią nosiło charakter wyjątkowości, drudzy, a między nimi książę Wasilczyków, dostrzegają tam zupełny rozwój samorodnej gminy. Było to dowodem, że pierwszy z nich znał gruntownie źródła dziejowe, drugi — bardzo powierzchownie. Wogóle zaś posiadając tyle materiału co do krainy naddźwińskiej, można utrzymywać, iż forma władania ziemią na północy, może być uważana, jak zobaczymy, za typową dla reszty Rosyi, z wyjątkiem naturalnie tych jej części, gdzie istniała już dawniej forma władania indywidualna.

Wobec tego upadają wszelkie domysły o istnieniu na północy gminy rodowej, gdzie była raczej, jak widzieliśmy, gmino-rodzina, i nie ma żadnego znaczenia twierdzenie Sokołowskiego, jakoby ludność rolnicza na północy tworzyła rodzaj wspólnoty, stowarzyszenia, kolonizowała się wsiami — nie w znaczeniu osady (*diereimia*), którą staraliśmy się wyjaśnić, — ale w znaczeniu nowoczesnem. Miało to dowodzić skłonności kolonistów rosyjskich do życia wspólnego (*obszczinnoj zizni*). Autor ten jednak jest w sprzeczności sam z sobą, bo przytacza źródło historyczne, świadczące o rozkolonizowaniu się dworami" (*podwor-noje sielenije*), a nawet utrzymuje, że jednostką w owe czasy było nie „ciągło" lub „dusza" ale dwór. Jakże to pogodzić z istnieniem gminy o wspólnem władaniu ziemią? Oczywiście, taka idealna gmina nie istniała. Wprawdzie w wieku XVI obok kilkodorowych osad były i wsie ludne, liczące 20—40—60 i więcej chat., ale takich wsi według świadectwa ksiąg ziemskich (*piscewyje knigi*) było niewiele, a powtóre, istnienie

ich nie dowodziło jeszcze wcale istnienia gmin i wspólnego władania. Przeciwnie — Czyczerin szeregiem dokumentów dowiódł, że wsie owoczesne przechodziły darowizną do monasterów, zmieniały właściciela drogą sprzedaży, wydzierżawiały się włościanom, od włościan przechodziły do innych właścicieli, bojarów lub monastyrów. Wsie należały nie tylko do księcia, bojarów, monastyrów, alei do włościan. Tak samo jak całość przechodziły do innych właścicieli i części. Włościanie osiadali na nich bez żadnych przeszkód lub też odstępowali na pewien przeciąg czasu innym włościanom. Taka częśćka ziemi nazywała się *losem* (*zerebjem*), *pasem* (*połosa*) lub niekiedy wielkość jej ograniczała się nazwą: ćwierć pługa lub. socha, *obża*, pół obży i t. d.³⁾

Było to więc prawie takie same ognisko (*pie-czyszczce*), z jakim zapoznaliśmy się na północy. Trudno wspólne władanie upatrywać tam, gdzie większość osad składa się z jednej, dwóch lub kilku chat, a takimi właśnie była większość wsi Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Źródła przytoczone przez Czyczerina, nie pozwalają wątpić, że do połowy prawie XVII. w. w W. Ks. Moskiewskiem forma władania ziemią była indywidualną, a nie widać z nich wcale, ażeby ilość posiadanej ziemi zależna była od ilości „dusz", jak dziś; przeciwnie, widzimy podział włościan na zupełnych i niezupełnych gospodarzy, (ciągłych i półciągłych), podział, jaki istniał w całych

³⁾ Opyty po istorji ruskawo prawa.

³⁾ *Obża* — jeżeli jeden jednym koniem orze, jeżeli jeden trzema końmi — nazywało się to *socha*.

Niemczech średniowiecznych i przechował się dotychczas w południowo-zachodnich prowincjach Cesarstwa w czasach pańszczyźnianych pod nazwą „konnych i pieszych dworów”.

Wprawdzie formy władania u włościan zależą także od tego, czem się włada. „Podworne” władanie ziemią orną i łąkami godzi się w zupełności ze wspólnym władaniem wygonów, lasów i pustek; dowody na to nietylko znajdujemy wszędzie u nas, ale nawet na Zachodzie Europy. Wspólnem zaś władanie tylko wtedy być może, jeżeli do gminy, do gromady, należą ziemie orne i łąki, a oprócz tego podlegają nowym działom w pewnych odstępach czasu. Kilka zaś wsi mogło wspólnie władać lasem, stepem lub pustkami, dzielić się sianem lub chrustem, a mimo to łąkami i ziemią orną władać na prawie własności indywidualnej.

Bieg wypadków, kształtujących pewne formy władania, a w danym razie gminę, skupiał się w ekonomicznych przyczynach, w interesie poprostu, najprzód państwa, a potem jego członków, lecz nie kierował się żadnymi idealnymi celami społecznymi, i myli się Sokołowski, przypuszczając, że wrzekome ideały ocalały, niby jaka świętość i niepokalane materializmem naszego wieku, przechowały się także, jako rozsądek na przyszłość, u k o z a k ó w u r a l s k i c h pod formą gminy kolektywnej. Już nie mówię o fałszywym punkcie wyjścia autora, lecz widocznie miesza on dwa pojęcia jurydyczne: gminę wiejską tj. władanie wspólne z władaniem wojskowem kozaków. Państwo odstąpiło ziemię kozakom uralskim, z warun-

kiem, ażeby oprócz ich potomków nikt inny tą ziemią nie władał. Kolektywne władanie na podobnej podstawie nie usuwa wcale prawa władania dożywotniego. Coś podobnego działo się nietylko przy kolonizowaniu przy-uralskiego kraju, ale Noworosji (gub. Chersońska) i Charkowskiej gub. (*Słobocka Ukraina*). Władanie więc wspólne — temat, na który fantazjuje Sokołowski — jest, obok innych przyczyn, następstwem także obfitości ziemi.

Według mniemania Sokołowskiego, gmina (*wofast'*), poczęła się rozkładać pod wpływem państwowego ustroju księstwa Moskiewskiego w XV w., jako też rozdawania ziemi klasztorom i prywatnym osobom, w prastarej zaś formie przechowała się na północy i wschodzie, dokąd jakoby nie sięgała władza państwowa. Już z tego, cośmy dotychczas powiedzieli, można łatwo wnosić, że działo się prawie odwrotnie: pochod odbywał się za czasów historycznych od indywidualnej własności do wspólnego władania. Co się działo przed przyjściem Waregów, o tem nie wiemy, ale wkrótce po przyjściu, widzimy już istnienie własności indywidualnej. Przynajmniej *Busska prawda* nic o gminie nie mówi, a wszystko świadczy na korzyść własności indywidualnej. Wprawdzie możnaby wyraz *wierw* utożsamić z gminą (*wotost'*), tembardziej, że w obrębie prastarej *wierwi* istniała wspólna odpowiedzialność, a etymologiczne znaczenie wyrazu i czynność stąd pochodząca (*wierwlenije*), oznaczająca pomiar gruntów, była podobną do późniejszych działów, zaś w ogóle *wierw* identyfikowała się z gminą. Tekst jednak *Russkiej prawdy* przeczy temu. *Wira*,

czyli główszczyzna, naznaczała się za śmierć jednego z członków gminy, prawdopodobnie dotyczyć tylko musiała rodzinę zabójcy. Wniosek taki stąd da się wyprowadzić, że główszczyzna ustanowiona została przez synów Jarosława, po skasowaniu krwawej zemsty, a ponieważ prawo do zemsty posiadali najbliżsi krewni, nie byłoby więc powodu do rozciągania tego prawa na całą gminę. Można by więc przypuścić, że *ii-ierw* była związkiem rodzinnym.

Tak sądzi Gołowin. Wbrew atoli domysłom jego, przypuścić jednak można, że główszczyzna dotykała całą gminę, mniejsza o jej formę, gdyż w ten sposób rząd pragnął niejako zabezpieczyć się od ukrywania przez gminę zabójcy lub utrudnić je przynajmniej. Był to środek administracyjny, policyjny — nic więcej, i z władaniem ziemi żadnej wspólności nie miał.

Tak czy inaczej, *wierw* byłaby nie czem innem jeno gminą, taką samą, jaką widzieliśmy na północy, podobną do owego ogniska (*pieczyzscze*), które członkom swoim wydzielalo ziemię do władania (*dolewoje wladjemje*), a stąd zachodziła potrzeba pomiaru. Tak więc pewne formy władania ziemią, kształtujące się lub ukształtowane na północy, można do pewnego stopnia przyznać za typowe dla całego W. K. Moskiewskiego XV do XVI w.; różnica tkwiła w większym lub mniejszym zaludnieniu gmin. Jeżeli więc nigdzie nie znajdujemy śladów gminy, na wspólności opartej, na całej przestrzeni średniowiekowej Rosji, gminy w takiej formie, w jakiej dziś istnieje — skąd więc i jakim sposobem zrodziła się? Jaką drogą dokonała się ta wybitna rewolucja ekonomiczna? Takie pytanie

postawił sobie do rozwiązania i książę Wasilczyków. Lecz wydaje mu się nieprawdopodobną możebność istnienia przed gminą innego ekonomicznego ładu, na tej podstawie, że nigdzie, jakoby nie pozostało śladu rozpieczchłych osad, władających ziemią indywidualnie, jest to dowód słaby — śladów takich nikt nie szukał systematycznie, lecz one istnieją i każdy je napotykał. Nieraz pośród ziem ornych, a nawet lasów spotkać można niewielkie podwyższenia, ślady rozwalonych dawnych budowli, kawałki cegły, resztki pieców. Pośród ludu przechowało się także mnóstwo nazwisk, dotyczących pewnych uroczysk, pewnych kawałków pól, nazwisk, pochodzących nieraz od imion własnych, od rozmaitych gospodarskich narzędzi i sprzętów. Otóż uroczyska te niczem innym nie są — według Gołowina — jak resztkami wspomnień o istniejących niegdyś przysiółkach, osadach, wsiach, które zniszczone zostały lub utworzyły wieś w znaczeniu nowoczesnym, wieś uorganizowaną w gminę. Jest to jednak teza, którą łatwiej postawić, niż dowieść.

Przejdźmy teraz do drugiego pytania: kiedy i jaką drogą ustawodawczą zadany został cios indywidualnemu władaniu włościan? Czyczeryn początek zmiany zaszłej we władaniu ziemią, odnosi do reformy podatkowej t. j. łączy ją ściśle z pierwszym popisem prawidłowym (*rewizyq*). Zdaje się jednak, że jedna przyczyna nie mogła pociągnąć za sobą tak doniosłego przewrotu ekonomicznego i że rozkładowe siły poczęły działać znacznie wcześniej. Przedewszystkiem zwrócić uwagę wypada na to, że żaden z badaczy historycznych rosyjskich nie zanotował związku

Z różnych sfer.

istniejącego między upoddaniem włościan a utrwaleniem się gminy. Z początku włościanom przysługiwało prawo wolnego sadowienia się na ziemi i wolnego opuszczania dotychczasowych osad, później ograniczono swobodę, przejścia do jesieni (*Jurjew dzień*), a następnie ukazem 1590—1592 nastąpiło przymusowe osiedlenie na tych gruntach, na których ukaz włościan zastał. Ukaz objął wszystkich posiadaczy. Celem ukazu nie było wcale wzmocnienie innej klasy posiadaczy (*pomieszcików*), jak sądzą zwykle, ale zaprowadzenie ładu w stosunkach agrarnych — cel więc był bezwarunkowo fiskalny tylko. Prawo poddaństwa wytworzyło się już jako następstwo ukazu, Łatwo wyobrazić sobie jakie były skutki ukazu i jaką to zmianę wywołało we wzajemnych stosunkach. Dawniej posiadacz ziemi mógł sobie wybrać inny grunt, a zajmowany porzucić lub ustąpić innemu, — ukaz przywiązał go do gleby. W ten sposób włościanin nie mógł już być z gleby ruszonym, lecz nie mógł również zmieniać siedziby, gdyż wzbraniało mu prawo. Ponieważ powinności i dawniej leżały na całej gromadzie, nic dziwnego, że z chwilą unieruchomienia niejako chłopą, przybicia go do gleby, wpływ gromady na jednostkę zwiększyć się musiał. Tymczasem ludność wzrastała, ilość ziemi zdatnej do uprawy pozostawała wprawdzie ściśle oznaczoną, ale w tej samej wsi nawet nie była ona jednakowego gatunku: wszyscy płacili podatek, ale nieproporcjonalnie korzystali z ziemi — stąd zaszła potrzeba zamiany działów i przemiarów. Nie stało się to jednak odrazu, w jednej chwili dziejowej. Ukaz Fiodora Iwanowicza objął tyl-

ko posiadaczy dworów, reszta pozostała wolna, a do włościan państwowych (*czernososzných*) ukaz zastosowany został dopiero w r. 1649.

Wprowadzenie spisów ludności (*rewizji*) przez Piotra Wielkiego przyniosło nowy cios władaniu indywidualnemu. Popis (*podusznyj okład*) zamknął włościan we wsi, gdzie z narastaniem młodego pokolenia coraz było ciasniej i wytworzyły się nareszcie wszystkie owe cechy, charakteryzujące władanie gminne: działy rodzinne, prawa do ziemi zajętej i dzielenie ziemi stosownie do potrzeb i ilości płaconego podatku. Instrukcje graniczne Katarzyny II. zrobiły resztę, polecając w zasadzie proporcjonalny podział (*rawnienije ziemli*) już wytworzony skutkiem wspólnej odpowiedzialności gromady. Instrukcje owe były tylko nowością dla północy; w innych częściach państwa nadały piętno prawomocne stosunkom już przedtem istniejącym, dla tego też więcej pozostało śladów istnienia własności indywidualnej n. p. w okręgu Dźwiny północntj niż w centrum w. ks. Moskiewskiego.

Pomimo, że wywodom Gołowina w wielu razach braknie ścisłości, a polemiczny ton wykładu zaciemnia poniekąd rozumowanie, nie ulega jednak wątpliwości, że gmina wielkorosyjska da się ściągnąć łatwo z tej wysokości, na której ją starali się postawić niektórzy — bardziej może poeci niż ekonomiści — jako wzór do przyszłego rozwiązania agrarnych stosunków wogóle. Nie da się ściśle udowodnić, że gmina jest najstarszą formą władania — przynajmniej według istniejących dokumentów; fikcją jest jakoby w gminie na

pewnej wspólności opartej, można znaleźć przyszły ekonomiczno-rolny ideał, szczególnie przy istniejącym jej ustroju, tembardziej w takiej formie nie może ona być zbawieniem współczesnego społeczeństwa zachodnio-europejskiego — jak utrzymuje Laveleye.

IDYLLA NA TRONIE.*'

Pragnę dać czytelnikowi jedną kartkę z licznych miłostek Katarzyny II.

Carowa przebywała właśnie smutne dni przymusowego osamotnienia. Zmartwienie to miało swoje źródło w niepowodzeniu miłosnem. Ostatni jej kochanek, generał-major Iwan Korsakow okazał się niegodnym łaski, jaka spadła na niego w 26 roku życia. Katarzyna II. nie chętnie darzyła łaską starszych wie-

*) Źródła:

Źródła dziejowe T. XVIII. Część I. Polska XVI. w. T. III. Warszawa 1902.

Archiw J. Z. Rossii. Część III. T. III. Akty o hajdamakach. Kijów 1876.

Archiw J. Z. Rossii. Część VII. T. II. Kijów 1890.

Akty Jużnoj i zapadno-j Rossii. T. X. Dopełnienie k tomu III. S. Petersburg 1878.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej z archiwum Bernardyńskiego we Lwowie. T. IV. Lwów 1873.

Akta grodzkie i ziemskie. T. XI. Lwów 1886. T. XII. Lwów 1887.

V. Helbig Georg : Russische Giinstlinge. Tiibingen 1809. Przekład rosyjski (Ruskaja Starina, Apriel, 1886) nie zawiera wszystkich faworytów.

kiem. Otóż Iwan Korsaków zakochał się w siostrze feldmarszałka hr. Rumiańcowa-Zadunajskiego. Katarzyna zakochaną parę wysłała na wygnanie do Moskwy, gdzie z, czasem tworzyła się cała kolonia zdegradowanych kochanków i nieszczęśliwych kochanie.

Działo się to w r. 1779.

Po tym smutnym wypadku pozostała na razie bez wybrańca.

Drobna ta na pozór okoliczność cały dwór wprowadziła w niepokój. Pytanie: kto zastąpi miejsce Korsakowa, było na ustach wszystkich, A nie była to rzecz małej wagi: od wybrańca zależał często kierunek polityki, zależał spokój na dworze, zależało panowanie tej lub owej kliki. Każda przeto klika starała się podsunąć swego człowieka, zależnego poniekąd od siebie, ażeby w ten sposób utrzymać się przy władzy.

Potiomkina, jednego z najbardziej wpływowych kochanków Katarzyny II. nie było w Petersburgu: on „urządzał” wówczas tak zwaną Noworosję, prowincję, która powstała w znacznej części z pałanek dawnej Siczy Zaporoskiej. Chodziło przeto o to, ażeby skorzystać z jego oddalenia i wszechmożny wpływ da-

Russkaja Starina, Mart 1894. N. Szirajew: Bałowień szczęstija.

Prince Potemkin (Vie du) feld-Marechal au service de Russie etc. Paris. 1808. (par M-e de Cernville, publiee par L. M. P. Trauchant de Laverne).

Poczet elektorów Lwów 1845.

G. Jesipow: Putieszestwije impieratrycy Jekatieriny II. w jużnuju Rossiju w 1787 g. Kijewskaja Starina 1891, Apriel. Vie de Catherine II. imp-ce de Russie t. t. 2. Varsovie 1798.

Russkij Archiw 1874 T. II. 179. Lord Malsbiury o Rossii w carstw. Ekater. II. 1779.

wnego kochanka zastąpić innym. Trudną to było sprawą. Człowieka można było znaleźć, ale nie tak łatwo znalazłby się ktoś, ktoby posiadał zręczność i rozum Potiomkina.

Jednym z najmniej życzliwych Potiomkinowi był generał Tołstoj. Carowa smutne dni samotności spędzała w Peterhofie. W czasie jednej z jesiennych przechadzek w parku (1779) Tołstoj zwrócił uwagę Katarzyny na pięknego oficera gwardji, który właśnie w tym czasie — nie bez racji zapewne — pełnił służbę w pałacu. Piękny błękitny mundur, srebrem naszywany, z ponsowemi wyłogami, bardzo mu był do twarzy. Carowa rzuciła okiem na oficera — i od razu oceniła jego zalety.

Wybór był zrobiony. Współcześni powiadają, że Katarzyna już od dłuższego czasu zwróciła na niego uwagę i czekała na sposobność zamiany kochanków.

Był to Aleksander Łanskoj.

Rosyjscy pisarze utrzymują, że przodek jego Franciszek Łanski, byt Polakiem; w XVI. w. wyemigrował z Polski, a przez cara Fiodora Iwanowicza, syna Iwana Groźnego ziemią obdarowany został. Od owego Franciszka Tańskiego miały pójść trzy gałęzie szlacheckie. Najmłodsza z tych gałęzi w XVII. w. posiadała własność ziemską w gub. tulskiej, a w XVIII. w. jednym z jej reprezentantów był Dymitr Artiemjewicz Łanskoj, porucznik pułków kirasjerskich z czasów Elżbiety Piotrówny (1748). Między nim a rodziną podobno wynikł jakiś proces, bliżej nieznany, w którym Dymitr był oskarżony o samowolę i znęcanie się nad krewnymi swego przeciwnika, skutkiem

czego został zdegradowany. W czasie siedmioletniej wojny wszakże nietylko przywróconą mu była odebrana szarża, ale w randze „brygadjera” został komendantem Połocka. Miał on dwóch synów i cztery córki. W chwili, kiedy młodszy Aleksander wstąpił na pole łask i chwały, starszy już nie żył.

Jaką drogą i kiedy mianowicie przywędrował do Moskwy protoplasta rodziny Łanskich, dotąd tego nie wiemy. Samo nazwisko „Łanskoj”. dźwięczy trochę — nie z polska. Zdaje się wszakże nie ulegać żadnej wątpliwości, że jest to ród polski. W XVI. wieku były ciągłe wędrówki z Moskwy do Polski i odwrotnie. Z Moskwy uciekł kniaź Kurbski z pod mocnej ręki Iwana Groźnego i, siedząc bezpiecznie na Wołyniu obwiniał swego dawnego władcę o dzikość i barbarzyństwo. Do Moskwy uciekali Glińscy, przesiadywał tam jeden z książąt Ostrońskich, a na „służbę” chodzili Wiśniowiecki i Daszkiewicz. Spróbowawszy szczęścia za górami i lasami, większość wracała do Ojczyzny, przepraszała króla i już do końca życia po zostawała na usługach Rzptej. Otóż z takimi wichrami wędrował w orszaku nie jeden szlachetka, szukając szczęścia i łaski carskiej.

Czy Łanskoj należał do tej kategorii ? Niewierny z pewnością.

To tylko jest rzeczą pewną, że rodzina ta była polską, a protoplastów jej nie trudno odszukać. Nie należała ona do karmazynów, to też ani Paprocki, ani Niesiecki nie zapisali jej na swoich kartach, a inni ledwie nazwisko wymienili. Znajdujemy je jednak niejednokrotnie zapisane w życiu polskiego społeczeństwa

z pisownią nieco zmienioną, zarówno w języku polskim, jak i rosyjskim.

Zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że nazwisko to — nie w pisowni wszakże rosyjskiej — uformowało się już w pierwszej połowie XV. wieku od posiadłości ziemskiej, od „imienia” ziemskiego. W Krakowskiem i na Rusi Czerwonej spotykamy się często z nazwą „villa” Łąka, Lanka, Łanka, a dziś jeszcze istnieją liczne Łąki i Łączki w okolicy Ropczyc, Starego Sącza, Radomyśla, Mielca, w pow. krakowskim. Zdaje się, że od tych łąk i Łączek uformowało się nazwisko rodowe. Już w pierwszej połowie XV. wieku, staje w sądzie „Advocatus de Dolina” — w transkrypcji łacińskiej — Andrzej Lanczka, zapisany w innym miejscu, jako Łączka. Prawie w tym samym czasie, ale także na Rusi Czerwonej, w ziemi sanockiej, staje w sądzie jako świadek Klemens Lanczki już z pisownią bardziej zbliżoną do późniejszego brzmienia.

Równie jak na Rusi Czerwonej spotykamy nazwisko to i w Wielkopolsce. Jan Lancki „na Glewie” z ziemi Dobrzyńskiej podpisał się jako elektor Jana III.

Słowem była to szlachta rozrzucona szeroko, liczna, rozrodzona. Nie brakło jej nawet na Ukrainie. W r. 1767, w chwili prawie samej wybuchu Koliszczyzny, Wojciech Łański był gubernatorem Moszeńskim. Tu już spotykamy nazwisko w prawidłowej pisowni polskiej.

Z jakiej rodziny, z jakiej miejscowości, z jakiej gałęzi pochodził ów protoplasta Aleksandra Łanskoja, ulubieńca Katarzyny II. — trudno orzec. Zdawałoby się

nieraz mogło, według brzmienia sądząc, że to nazwisko inne, gdybyśmy nie wiedzieli, że bojarowie W. X. moskiewskiego często obce nazwiska przekręcali do niepoznania, bądź wymawiając je po swojemu, bądź też zachowując swoją pisownię. Przedewszystkiem nie posiadali osobnej litery na ą, następnie o wymawiali często jak a, a l jak ł. Tak n. p. hetman koronny Lanckoroński przeobrażał się u nich na Łanskorunskij i t. d. Stąd też łatwo taki Łacki, Lanczki, Łański mogli przerobić według własnej wymowy na — Łanskoj.

O ile ta genealogia i transmutacja są prawdziwe? Nie wiemy. Jest wszakże wobec braku bardziej do prawdy zbliżonych hipotez — prawdopodobną.

Istota rzeczy na większem lub inniejszem prawdopodobieństwie nic nie traci.

Otóż, ów nowo wybrany szczęśliwiec, Alekander Łanskoj, urodził się w r. 1758 d. 8. marca s. s. i miał lat 22 w chwili, gdy stał na warcie w "cesarskim pałacu i zwrócił na siebie uwagę Katarzyny. Początkowe jego wychowanie odpowiadało zupełnie sferze szlacheckiej, z której pochodził i wymaganiom ówczesnej mody, że tak powiem. Umiał tedy ładnie tańczyć i mówić po francusku. Z temi wiadomościami wstąpił do pułku kawalergardów, z którego przeważnie wybierano kochanków do dworu. Kto nie miał szczęścia w tym kierunku — robił karierę wojskową lub urzędniczą. Na Wielkanoc r. 1780 Łanskoj otrzymał tytuł fligel-adjutanta. Był to wstęp do dalszych łask. Taki wypadek nie mógł przejść bez wrażenia wśród społeczeństwa, przyzwyczajonego do intryg dworskich,

osnutych na tle stosunków seksualnych. Wiedziano powszechnie, co ma oznaczać to niezwykle podniesienie się w randze Łanskoja. Oczekiwano niecierpliwie co na to powie wszechmocny Potiomkin.

Łanskoj okazał się jednak człowiekiem bardzo zręcznym i umiejącym się orjentować w sytuacji. Miał przed sobą zadanie nie łatwe : uspokoić go, że mu szkodzić nie będzie, przeciwnie, — za radami i wskazówkami jego pójdzie. Zadanie to spełnił widocznie bez trudu. Wnosić o tem możemy, że stosunku, jaki nawiązał się między kochankiem w dymisji i kochankiem w łaskach. Stosunek ten nie przedstawia się korzystnie ani dla jednej ani dla drugiej strony. Jeżeli mamy wierzyć ludziom współczesnym, to Potiomkin zgodził się nie przeszkadzać nowemu wybrańcowi w drodze do łask i majątków, ale zażądał od niego w prezencie 200 tysięcy rubli. Inni powiadają, że Potiomkin za protekcję kazał sobie zapłacić 900.000 rubli. Było to w zwyczaju ówczesnego społeczeństwa.

Przekupstwo odgrywało wielką rolę nietylko w życiu codziennem, lecz i w polityce. Car Aleksy Michajłowicz, starając się o pozyskanie dla siebie tronu polskiego, posłom swoim w instrukcji nakazał — kupić sobie życzliwe głosy; pieniędzmi zdobył Smoleńsk ; dla pozyskania Chmielnickiego i starszyzny kozackiej, nie żałował olbrzymich, jak na one czasy, „podarunków” w rublach i szubach. Syn jego Piotr za cenę klejnotów żony swojej i „podarunków” w gotówce, ofiarowanych przez wychrzczonego żyda Szafirowa, dowodzącemu armją turecką na Prutem, kupił sobie pokój. Moglibyśmy ilość przykładów zwiększyć

znacznie aż do chwili rozbioru Rzptej. — Ale nie o to chodzi. Nikt ze współczesnych nie miał za złe Potiomkinowi sprzedaż swego wpływu i faworów dworskich. Potężny ulubieniec carowej nie zadowolnił się „prezenterem”, ale później nieco Łanskoj, ażeby łaskawość faworyta w dymisji utrzymać, zmuszony był niejako do kupienia jeszcze u niego majątku ziemskiego za pół miliona rubli. Według innych Łanskoj na rok przed śmiercią był wrogo usposobiony dla Potiomkina i intrygował przeciwko niemu wraz z Woroncewem. Bezborodką i Orłowem, dawnym kochankiem. Być może, bo czuł, że ma pozycję zbyt mocną. Intrygi te jednak nie zdołały obalić wpływu Potiomkina przy dworze petersburskim.

Początkowe układy z Potiomkinem były wszakże na rachunek przyszłości, gdyż Łanskoj nie posiadał takich sum w rezerwie; przyszłość natomiast była bardzo obiecującą. Nowy kochanek otrzymał wraz i tytułem fligel-adjutanta sto tysięcy rubli gotówką — na garderobę i bibliotekę. Katarzyna miała tę dobrą stronę, że kształciła swoich kochanków, jeżeli nie stali na stopniu jej umysłowego rozwoju. Sama pilnie zajmowała się malarstwem, rzeźbą, zbiorem medali, historją i literaturą rosyjską, — brała nawet udział osobisty w wydawaniu satyrycznego pisemka p. t. „Wsiakaja wsia czyna” (mieszanina, wszystkiego po trochu), lubiła przeto o tych przedmiotach rozmawiać.

Każdy kochanek musiał się do jej gustu przystosowywać. Taką drogą poszedł i Łanskoj i wyzykiwał gusta carowej bardzo zręcznie. Nie mogąc na polu historycznem zdobyć większych wiadomości z po-

wodu braku poważnego przygotowania umysłowego, udawał wielkiego amatora sztuk pięknych i począł gorąco zajmować się gromadzeniem obrazów, medali, kamei. Po kilkudziesięciu robotników pracowało nieraz dla niego. A nawet sam próbował podobno rzeźbić na kamieniu, gdyż raz ofiarował swojej ukoronowanej kochance — „si fabuła vera” — kameę własnego rzeźbienia.

Według sądów współczesnych kobiet, był to najpiękniejszy mężczyzna w państwie, a na Katarzynie wywarł wrażenie nader silne. Carowa była zakochaną, jak to mówią po uszy, w swoim młodym wybrańcu. Łaski spadały na niego ze wszech stron. Jako fligeladjutant zamieszkał w pałacu razem z carową i na małą skalę posiadał własny dwór, którego koszt utrzymania ponosił skarb państwa. Do stołu nowego kochanka zasiadało dziennie od 4 do 20 osób. Rocznie kosztowała państwo ta rozrywka carowej przeszło 300 tysięcy talarów, nie licząc prezentów osobistych zarówno dla Łanskoja jak i jego rodziny. Tegoż samego roku został awansowany na kamerhera J. C. Mości, co mu przyniosło równocześnie stopień generał-majora armii. Taki nagły skok w godnościach był zbyt widoczną oznaką łask, jakimi się cieszył. Tłum pochlebców zdaleka i z bliska rzucił się do Łanskoja. W pierwszym rzędzie stanął nasz nieszczęśliwy Stanisław August, który nigdy w upokorzeniu się nie umiał utrzymać miary i granicy: albo kochanek, albo — pochlebca kochanków. On też pierwszy ozdobił pierś nowego ulubieńca gwiazdą Białego Orła i orderem św. Stanisława. Nigdy może częściej niż w tym cza-

sie, Biały Orzeł nie spoczywał na błyszczących od ozdób piersiach rozmaitych parweniuszów. Za przykładem Stanisława Augusta posypały się inne ordery — wątpliwej zasługi — holsztyński św. Anny, rosyjski Aleksandra Newskiego — i wiele innych. Mógł, jak Nowosilców we śnie, powiedzieć o sobie: „senator w łasce, w łasce, w łasce...”.

Nadzwyczajne względy, jakie potrafił sobie pozyskać Łanskoj przy dworze, u carowej i wśród najbliższego otoczenia, zaniepokoiły bliższą i dalszą kamaryllę. Nawet sam Potiomkin począł krzywo spoglądać na młodzieńca, który wszystkich usuwał z drogi. Tręcił jednak na człowieka zręcznego i pełnego taktu. Pochodził on z rodziny szlacheckiej, ogładzonej, kulturalnej, umiejącej utrzymywać stosunki towarzyskie — wbrew swoim poprzednikom, awansującym na wysokie stanowiska z pod-oficerów. Ten takt towarzyski ratował Łanskoja. W intrygi żadne nie wdawał się, nikomu nie szkodził nigdy, względem Potiomkina był ze czcią. W ten sposób uspokoił łatwo potężnego ulubieńca. Wobec dam dworskich zachowywał się z surowością i obojętnością niezwykłą. Ale natomiast cały poświęcił się swojej ukoronowanej kochance. Wszedł on w najdrobniejsze szczegóły życia pałacowego, umiał się wszystkim zainteresować, potrafił stać się potrzebnym przy dworze, a nawet niezbędnym. Miękością i łagodnością swego charakteru zjednał sobie otoczenie. Z żądaniami łask, wbrew swoim poprzednikom, nie narzucał się nigdy, a otrzymując je, okazywał się tak słodkim i wdzięcznym, że zadziwiał wszystkich, a najwięcej może samą carowę. Wogóle jako

typ, jako charakter, tak się znacząco różnił od swoich poprzedników, że sympatje carowej dadzą się zupełnie usprawiedliwić.

Taktyka, z jaką osobiste swoje sprawy prowadził na wielkim dworze, nadawała mu przewagę nad innymi do tego stopnia, że oparł się wszelkim intrygom, zdążającym do zastąpienia go nowym wybranym. Dla carowej był nie tylko kochankiem, ale potrafił się stać przyjacielem i towarzyszem codziennych jej rozrywek. To też w awansach i łaskach postępował tak szybko, jak nikt przed nim nawet Potiomkin. W lutym 1794 r. otrzymał stopień generał-adjutanta Jej cesarskiej Mości — najwyższą godność dworską. Przedtem już był szefem korpusu kawalergardów i szefem smoleńskiego pułku dragonów. Stopień generał-adjutanta Jej cesarskiej Mości dawał mu nadzwyczajne znaczenie i przywileje. Obowiązany on był mieszkać w tym samym pałacu, w którym przebywała carowa, i obejmował w nim urząd komendanta. Regulaminowo generał-adjutanci zmieniali się co 8 dni, a przy tej uroczystości carowa wręczała każdemu, jako godło władzy, buławę marszałkowską, obwiązaną błękitną morową wstęgą i naszywaną złotem przykryciem, nad którym wznosił się czarny dwugłowy orzeł. Carowa zwykle sama wybierała sobie dyżurnych generał-adjutantów. Taki wybraniec zasiadał zwykle do stołu carskiego i był najbardziej zbliżoną osobą do Katarzyny.

Oczywiście i Łanskoj korzystał także z tych przywilejów, stając się coraz bardziej potrzebnym, jako towarzysz codziennych stosunków. Do polityki nie

mieszał się prawie zupełnie i w ten sposób uspokoił swoich przeciwników; zadowolnił się jedynie rolą kochanka i z tej roli nie wystąpił nigdy, przystosowując się do gustów i upodobań carowej. Starał się być nieodstępnie przy jej boku i był zawsze gotowym na każde skinienie. Carowa okazywała się wzruszoną tytułowymi dowodami jego czułości i przywiązania i nie ominięła sposobności¹, aby swego pięknego kochanka pokazać nawet koronowanemu „braciom”. Nie tylko tedy miała go przy sobie w pałacu, ale jadąc na spotkanie się z królem szwedzkim Gustawem III. do Fridrichshave, wzięła z sobą Łanskoja. Oczywiście grzeczny król ozdobił piersi wybrańca carowej orderem Gwiazdy północnej.

Katarzyna przebywała okres prawdziwie miłosnych upojeń. Ślady tego pozostawały w listach jej do Grimma. Wprawdzie z nauką i wiedzą mało miał wspólnego, ale był to człowiek próżny, pochlebny i nie gardzący wcale materjalnym zyskiem, spływającym na niego od ukoronowanej przyjaciółki. Nie tylko dla zwierzeń miłosnych przed Katarzyną II. odkrywał swoją duszę; chętnie także, jako komisjoner carowej w nabywaniu przedmiotów sztuki, odkrywał również przed nią swoją kieszeń. Spełniał jej polecenia, kupując obrazy i rzeźby i — kazał dobrze płacić za pośrednictwo.

Przed nim to Katarzyna wypowiadała swoje uczucia miłosne, swoje zachwyty nad nowym kochankiem. „Ten młody człowiek — pisała o Łańskim — nie tylko posiada rozum i takt, lecz również bardzo łatwo zapala się do rzeczy pięknych i duszę ma go-

racą. Ażeby dać Panu pojęcie o tym młodym człowieku, powtórzę tylko, co Orłów w gronie swoich przyjaciół powiedział: „zobaczcie, jakiego dzielnego człowieka ona z niego urobi”.

A Łanskoj robił wszystko, ażeby tę pochwałę usprawiedliwić. „W ciągu zimy pisała w innym liście — pożerał on formalnie poetów i poezję; na drugą zimę począł czytać historyków”. Niezbyt wszakże ta lektura musiała mu przypadać do smaku, gdyż wkrótce zakochana para oddała się sztukom pięknym, biorąc sobie za przewodnika dzieła słynnego włoskiego znawcy — Algorotti'ego. „Nie oddając się badaniom naukowym — chwaliła się carowa - my zdobywamy dużo wiadomości i lubimy, zajmować się tem tylko, co najbardziej nas kształci i uczy: budujemy zatem, sadzimy drzewa, jesteśmy dobroczynni, wesołego usposobienia, uczciwi i miękkiego serca”.

Wspomnieliśmy już o tem, że Łanskoj dla przypodobania się carowej udawał wielkiego miłośnika sztuk pięknych, — chociaż zamięłowanie do tego mogło się w nim rozbudzić bez trudności. W każdym razie szedł on na rękę jej upodobaniom prawie z dziecinną naiwnością. To nie mogło nie wzruszać ukoronowanej kochanki. Pisała tedy do swego nadwornego dostawcy i powiernika Grimma: „Generał Łanskoj strasznie pragnie posiadać główkę Greuze'a. Jeżeli Panu uda się znaleźć małą kopię na emalii, będzie on skakać jak kózka, barwa jego twarzy, zawsze piękna, ożywi się jeszcze więcej, a z oczu podobnych zawsze do dwóch pochodni, posypią się iskry”. Oczywiście na takie entuzjastyczne listy Grim nie mógł być obo-

jętnym: pochlebiał i spełniał polecenia. Nie było to wcale rzeczą trudną wobec tego, że carowa nie żałowała wcale pieniędzy na wyszukiwanie i kupowanie różnych drobiazgów artystycznych. Usłużny Grimm nie uchylał się także od pisywania czułych listów do Łanskoja. Bawiło to zarówno sprytnego Niemca, jak i zakochaną carową. Pisała tedy: „Generał Łanskoj cieszy się jak dziecko, gdy otrzymuje listy od Pana. Jest on dumny z tego i chwali się przedemną: do mnie pisze a do pani — nie”. Prawdziwa sentymentalna sielanka XVIII, wieku, przeniesiona z literatury na daleką i chłodną północ. Carowa przyznawała się nawet przed Grimmem, że Łanskoj zrobił z niej swego sekretarza i dyktuje jej listy swoje.

Wobec takiego wzajemnego stosunku, wobec zachwyty miłosnego, któremu poddała się Katarzyna z wiarą i oddaniem się pensjonarki, nic dziwnego, że Łanskoj utrwał swoje stanowisko na dworze ukoronowanej kochanki.

Ale niewidzialna i nie przeczuwana przez nikogo zbliżała się katastrofa.

Łanskoj nie należał nigdy do atletów, imponujących siłą fizyczną. Szczupły, wątły, miał coś kobiecego w swoim temperamencie i budowie. Na zdrowiu zapadał często. Dwa wypadki, które wkrótce nastąpiły jeden po drugim, wstrząsnęły słabym organizmem. W roku 1781 uderzył piorun w dworzec Carskosielski i dotknął Łanskoja, wycisnąwszy na nim znak swój gorący; a w r. 1783 spadł z konia w obecności carowej i piersi mocno sobie nadwęgżył. Nie mogło to pozostać bez wpływu na zdrowie,

ale miało ten dobry skutek, że zbudziło u carowej litość i wzmocniło uczucie miłości. „Ja mu codziennie mówię — pisała do Grimma — że ród jego z natury dobry, on zaś w całym rodzie jest najpiękniejszą perłą-’.

Nad wybrańcem losu przeznaczenie pisało już również swój wyrok ostateczny — bez odwołania. 25 czerwca 1784 r. Łankoj życie zakończył.

Jaka była rzeczywista przyczyna jego śmierci ?

Tu z prawdą łączy się zbyt często legenda, która nieraz przybiera charakter oszczerstwa lub plotki. Nieżywy lew przestaje być strasznym. Jedni tedy opowiadali, że Potiemkin przez swoich zauszników i przyjaciół otruił Łanskoja, jako rywala zbyt niebezpiecznego ; inni powiadali, że w jednej z wycieczek konnych do Carskiego Sioła, zając, wyskoczywszy nagle, przestraszył konia Łanskoja, że koń przestraszony wysadził z siodła jeźdźcę, skutkiem czego Łanskoj wkrótce życie zakończył. Dodają przytem, że carowa cały ten wypadek oglądać miała z balkonu. Inni szli w swoich domysłach jeszcze dalej, opierając je na opowiadaniu dra Sobolewskiego, przyjaciela Łanskoja i przybocznego lekarza. Sobolewski miał opowiadać innemu kolesi-lekarzowi, jakoby Łanskoj „był Herkulesem przy pomocy środków podniecających”. Z początku zażywał małe dawki, a gdy te skutkować przestały, uciekał się do większych. Nadmierne używanie tych środków miało pociągnąć za sobą chorobę, na którą życie zakończył.

ę Ile w tych opowiadaniach było prawdy, — trudno orzec, zdaje się wszakże nie ulegać żadnej wąt-

pliwości, że chorobą, która przyprawiła o śmierć Łanskoja, była szkarlatyna.

Katarzyna nadzwyczajnie odczuła śmierć Łanskoja. W trzy miesiące po tym smutnym wypadku, opisała go szczegółowo w liście do powiernika swego Grimma. Nazywa ona chorobę Łanskoja gorączką plamistą (*fièvre maligne et pourpree*) która rozpoczęła się bólem gardła 19. czerwca. Tego samego dnia, Łanskoj, widząc się z Katarzyną, oświadczył, że ma przecucie ciężkiej choroby, z której już się nie podźwignie. Katarzyna uważała te przecucia za urojeńia, które starała się wybić mu z głowy. Po czwartej popołudniu Łanskoj poszedł do siebie. Ale widocznie trapił go jakiś niepokój, bo w godzinę potem wrócił do Katarzyny. Carowa była w ogrodzie. Po niedługiej przechadce wspólnej oboje wrócili do pokoju. Łanskoj uskarżał się na niedomaganie, mimo to prosił jeszcze o zagranie z nim w karty. Krótco grali. Mimo całego wysiłku Łanskoja, Katarzyna spostrzegła, że jest cierpiącym i poradziła mu położyć się do łóżka. Wezwany doktor skonstatował puls nierówny. Nazajutrz rano choroba się wzmogła. Doktor zażądał konsultacji. Stan gorączkowy zwiększał się. Nazajutrz rano Katarzyna, zaniepokojona tym stanem, posłała do Petersburga po swego nadwornego lekarza Weikarta. Gdy tylko zawiadomiono ją, że lekarz przyjechał, poszła natychmiast odwiedzić chorego. Znalazła go w stanie silnego gorączkowego podniecenia. — Doktor, odwoławszy carowę; na stronę, szepnął do niej: „niedobrze; zdaje się, że on ma gorączkę tyfoidalną i umrze”. Słowa te zdawało się przeraziły Katarzynę

ona wierzyła jeszcze w siłę młodości i w jego budowę fizyczną. Nikt nie śmiał wyjaśnić i przestrzedz carowej skąd ta siła pochodziła. Brutalny Niemiec skostatował tylko beznadziejny stan chorego.

Tymczasem choroba robiła postępy. Łanskoj nie chciał przyjmować żadnego pożywienia, żadnego lekarstwa, natomiast pił dużo wody. Pozwolił sobie puścić wszakże krew i moczył nogi w zimnej wodzie. Nazajutrz twarz mu cała spuchła i koniec nosa zbiełał. Przyjaciół jego, dr. Sobolewski, kazał pić dużo chłodnej wody i jeść gotowane winne jagody. Z drem Weikartem chory nie chciał się widzieć. Zdawało się, że środki zaaplikowane przez dra Sobolewskiego, przyniosły nieco ulgi, ale ku wieczorowi już gorączka się wzmogła, a nazajutrz wystąpiły na ciele i twarzy ciemne plamy. Jeszcze dwa dni niecałe męczył się chory. Przypuszczano nawet, że nastąpi kryzys ku lepszemu. Katarzyna często odwiedzała chorego z oznakami niezwykłej życzliwości. Łanskoj stracił nadzieję wyzdrowienia i opowiadał carowej o tem, jakie porobił rozporządzenia na wypadek swojej śmierci. Były to ostatnie chwile przytomności. Pod wieczór wzmogła się gorączka. Chory począł się rzucać, gniewać, wołać wszystkich po imieniu i tracił siły widocznie z każdą chwilą. Katarzyna nie odstępowała od łóża umierającego aż do ostatniego tchnienia. Nigdy jeszcze wobec nikogo nie okazywała tyle czułości.

Jaka to była choroba? Niech medycyna rozstrzygnie. To tylko jest pewnem, że Katarzyna dostała, skutkiem czuwania przy chorym, zapalenia gardła, i jak pisała do Grimma, ledwie sama nie umarła. „Choro-

ba jej przypadła równocześnie ze śmiercią Łanskoja,, tak, że musiała położyć się do łóżka. Puszczono jej, — zwyczajem ówczesnym — krew, i, jak powiadają,, sprawiło to ulgę. Rozpacz jej i smutek były szczere. Sama, leżąc w łóżku interesowała się każdym szczegółem pogrzebu, wydawała osobiscie niektóre dyspozycje, wypytywała o wszystko, co ją interesować tylko mogło. Smutek jej zdawał się być bezbrzeżnym. Gdy tylko uczuła ulgę w swojej chorobie, napisała natychmiast do Grimma: „Kiedym ten list rozpoczynała, byłam szczęśliwa i wesoła ; dni moje płynęły tak prędko, że nie wiedziałam, gdzie się one podziewają. Teraz już inaczej — głęboki smutek mną owładnął... znikło szczęście moje! Zdawało mi się, że nie przeżyję straty najlepszego mego przyjaciela. Myślałam, że on będzie podporą mojej starości. Był to młodzieniec, którego ja sama wychowałam, wdzięczny, z łagodną, miękką duszą, uczciwy, który się cieszył każdą moją radością, a smucił mojemi smutkami. Pisząc do pana o nim — płaczę. Nie mogę ani spać, ani jeść. Nie wiem, co będzie ze mną, wiem tylko, że nigdy nie była tak nieszczęśliwa, jak od chwili, gdy mój najdroższy, najlepszy przyjaciel opuścił mię na zwsze”.

Słowem, śmierć Łanskoja wywołała takie zamieszanie na dworze, że wszyscy potracili głowy. „Chytry dyplomata Bezborodko — powiada pisarz rosyjski — pierwszy wpadł na trop właściwy i dla pocieszenia carowej sprowadził Potiomkina, który nieco przypro- wadził do równowagi rozpaczającą Katarzynę”.

Łanskoja pogrzebano w miasteczku Sofija, tuż obok Carskosielskiego pałacu. Nad grobowcem jego-

w r. 1785, września 25 st. s. założono kamień węgielny pod cerkiew Kazańskiej Matki Boskiej, którą poświęcono 8. marca st. s. 1790 r. w rocznicę urodzin Łanskoja. Niezależnie od tego w parku Carsko-sielskim naprzeciwko pałacu Katarzyna kazała na jego pamiątkę postawić obelisk z różowego marmuru, który ozdobiła najrozmaitszymi sentencjami.

Ale los prześladował Łanskoja i po śmierci. Powiadają, że złodzieje wyrzucili ciało jego z grobu, a kosztowności zrabowali. I obelisk nie miał szczęścia. Paweł I., który z rozkoszą zemsty niszczył wszystko, co mu przypominało znienawidzoną matkę, nie przebaczył i obeliskowi. Kazał wszystkie napisy na nim zniszczyć, pozostawił tylko jeden : „wielka jest radość duszy uczciwej widzieć cnotę i zasługę, słusznie powszechnymi pochwałami nagrodzone."

Do czego to się odnosiło ? Trudno zgadnąć. Cnotą Łanskoj nie słynął, a zasług nie miał żadnych. Ale miłość ma swoje prawa. Powiadają, że carowa po jego śmierci wdziała nawet żałobę, a u stóp pomnika widziano ją jeszcze w parę lat po śmierci klęczącą i zalaną łzami. Na uczczenie jego pamięci carowa kazała wybić medal. Na jednej stronie tego medalu był portret Łanskoja z profilu, otoczony napisem: „Aleksander Dmitrijewicz Łanskoj, generał-porucznik i generał-adjutant". Na drugiej zaś stronie piramida, otoczona czterema topolami, na jednej ze ścian tej piramidy litery A. Ł. w monogramie, u góry zaś napis : „na pamiątkę przyjaźni."

Wszystko to świadczy, jak głęboką była miłość Katarzyny,

Przyjazd Potiomkina zdołał jednak doprowadzić carową do jakiejś takiej równowagi. Znaczyło to, że trzeba było jej dać nowego kochanka. Udało się to zaledwie po roku od śmierci Łanskoja. W tym czasie pisała do swego powiernika Grimma, że w jej sprawach domowych „zapanował spokój i horyzont rozjaśnił się,” zawiadamiając go, że „zadała gwałt sobie” i znalazła „nowego przyjaciela”, „człowieka bardzo zdolnego i godnego nosić to imię”, ale dodała nie bez cynizmu samozadowolenia : „i dawni przyjaciele nie opuszczają mnie”. Nowym wybraniecem był oficer gwardji Aleksander Jermołow, protegowany Potiomkina. Ile ten zapłacił za protekcję ? Niewiadomo. Wkrótce carowa przekonała się, że nowy wybraniec był człowiekiem „ograniczonego umysłu” — mówiąc grzecznie — a pokłóciwszy się z Potiomkinem, dostał dymisję.

Katarzyna długi czas nie mogła zapomnieć Łanskoja. Jeżeli wierzyć Chrapowickiemu, przybocznemu sekretarzowi Katarzyny, to jeszcze w roku 1792 widział on własnoręczną notatkę na biurku carowej z prośbą, ażeby na wypadek śmierci, pochować ją na Sofijskim cmentarzu, w cerkwi Kazańskiej Matki Boskiej — to znaczy tam, gdzie był pogrzebany Łanskoj.

Carowa kochała się często, ale kochała, zdaje się, raz tylko.

ZAMEK W KIJOWIE.

Kiedy zbudowany został zamek kijowski, zwany także litewskim albo litewsko-polskim — nie wiemy. Dotychczas braknie zupełnie dat pewnych, na podstawie których można byłoby ustalić fakt założenia zamku kijowskiego. To tylko jest rzeczą pewną, że nie był zbudowany w okresie do-mongolskim. Wskazuje na to wyraźnie sama nazwa — zamek. W książęcej epoce Rusi nieznano tego wyrazu; nie posługiwano się nim, a miejsca obrotne nosiły prymitywny charakter — okopów ziemnych, wałów, niekiedy często-kółów, ostrokołów, parkanów, wogóle „grodów”.

Obronnym punktem w powyższym znaczeniu był Kijów oddawna, nieomal od czasu pierwszych książąt normańskich. Za Jarosława już był „grodem” t. j. miejscem obronnem mocnem. Gdy w r. 1036. Pieczyngowie obiegli Kijów, miasto już miało taki „gród”, w którym zamknął się Jarosław z drużyną, a wyszedłszy z tego „grodu”, uszykował wojsko do walki na polu „wnie grada”. Zwyciężywszy wrogów, na miejscach zwycięstwa, w rok później, założył metropolję kijo-

ską, kościół Św. Zofii. Tegoż roku (1037) powiększył okopy, otaczające Kijów, czyli „założył gród wielki” i zamknął go słynną Złotą bramą, w której była cerkiew Zwiastowania Najświętszej Marji Panny. Gdy tedy „gród” Włodzimierza obejmował zaledwie dzisiejszy kwadrat między cerkwią św. Andrzeja, Św. Bazylego, wrotami Batyja, a cerkwią Dziesięciną, „wielki gród”¹ Jarosława szedł szczytem wyżyny od cerkwi św. Michała, prawie równą linią aż do Złotych wrót, stamtąd wzdłuż Pańkowszczyzny aż do późniejszych wrót lwowskich, potem wzgórzem po nad doliną Kożemiacką aż do dzisiejszej cerkwi św. Andrzeja. Był przeto dwa razy przeszło większy od „grodu” Włodzimierzowego. Wysokie nasypy ziemne, zamykające wejście do miasta, do siedziby księcia i ludności posiadały wielkie przykopy, zaopatrzone w bramy, przez które komunikowano się z „grodem”, z miastem. Jak wielkie były te wały, te nasypy, te ogrodzenia, daje nam pojęcie o tem Wereszczyński, biskup kijowski, Mówi on, że było właściwie dwa zamki w Kijowie czyli „grody” — „jeden podle drugiego, dwu braci rodzonyc. i Kija i Szczyka, które stoją i teraz jeszcze puste, z ziemie wałami ogromnemi usypane, z niemałym też kosztem i przewagą ludzką ledwieby ich usypał grabarzami za pięćkroć sto tysięcy czerwonych złotych”. (Sposób osady Nowego Kijowa 1595). Jeszcze w końcu XVI. w., po tylu klęskach i zniszczeniach przedstawiały się tak imponująco. Ze słów Wereszczyńskiego widzimy, że utożsamiał on okopy z zamkiem — co pośród naszych pisarzy zdarzało się bardzo często, dając powód do fałszywych

wniosków. Żaden wszakże z pisarzy, piszących o Kijowie — Berliński, Siementowski, Zakrewski, Maksymowicz, Pietrow, Żurawski (Krzyżanowski) i inni, którzy przygodnie historją Kijowa zajmowali się, nie zwrócili należytej uwagi na ten ustęp Wereszczyńskiego, w którym on mówi o „wspaniałych” zamkach Kija i Szczyka i o okopach pozostałych po nich. Czy to był wymysł Wereszczyńskiego ? Bynajmniej. Było to powtórzeniem opowiadań i legend miejscowych, które go doszły i zapisane zostały. Inaczej trudno sobie te słowa wytłumaczyć. Wiemy, że za czasów Włodzimierza tam nic nie było, żadnych budowli; Jarosław wyłączył także Z a m k o w ą g ó r ę od ogrodzenia, od otoczenia ścianą. Było to rzeczą zupełnie naturalną : potrzebował już więcej miejsca, więcej przestrzeni niż góra zajmowała. Wystarczała na zamek, nie wystarczała na gród wielki. Zaniechaną przeto została tak samo jak wojewodowie Aleksieja Michajłowicza zaniedbali zameczek, a Piotr wielki zaniechał stary gród kijowski i przeniósł go na Peczersk, do fortecy. Cała ta ewolucja nie tylko nie zaprzecza istnienia odrębnej siedziby na górze zamkowej, ale ją potwierdza poniekąd. Prawidłowych poszukiwań nikt na tej górze nie robił, ale część jej stanowi właność prywatną, część zajęta pod cmentarz. Otóż przekonano się, że cały szczyt tej góry na głębokości prawie 2V₂ metrów, posiada pewne uwarstwienie różnych stopni kultury; początku wieku żelaznego i kultury greckiej, nieokreślonej ściśle, lecz sięgającej VI. — VIII. w. Wspominam o tem mimochodem tylko. Mniejsza tedy o Kija, ale było tu siedlisko ludzkie ze śladami wyższej kultury.

W czasie zdobycia Kijowa przez Batego (1240) jeszcze śladu nie było „zamku”, jako punktu obronnego, cytadeli, miejsca, gdzieby się skupiać miała obrona. Baty rozpoczął zdobywanie Kijowa od góry, nioszącej za czasów Jarosława nazwę Perewiesiszcza — zawieszano tam siecie, w które zwierzęta łowiono — i od miejsca, zwanego „ogrodami” m. w. od linii cerkwi św. Michała do Złotych wrót. Naprzeciwko św. Zofii, m. w. przy wylocie dzisiejszej ulicy Sofijskiej, były laskie wrota, Ztąd rozpoczęło się oblężenie. Bito taranami we wrota i rozkopywano wał ziemny. Latopis Hipacego nazywa ten wał „ścianą”. Walczono wtedy nie w „zamku”, lecz na „ścianie”, a gdy Tatarzy wtargnęli do grodu, usypano nowy wał koło cerkwi Dziesięcinnej i tu walczone znowu. Słowem, broniono się w okopach. Mnóstwo przykładów tego.

Zniszczono miasto, zrabowano cerkwie, ale nie niszczone wałów obronnych. Nie było komu bronić się za niemi. Dlatego też Wereszczyński jeszcze w końcu XVI. w. widział je i dziwił się wielkości. Na Zachodzie już murowano zamki. Ruś broniła się jeszcze ziemią.

Kiedy Giedymin w r. 1321 zdobył Kijów, jeszcze tam zamku, w pojęciu zachodnio-europejskim, nie było. Po rozgromię tatatarskim miasto przedstawiało ruiny. Latopisiec Woskreseński wyraźnie zapisał: „mieszkańcy rozbiegli się w dalekie strony, po górach i lasach, a niektórzy ukryli się w pieczarach ziemnych”, zajmując legowiska pierwotnego człowieka. Rządy tatarskie były zbyt ciężkie. „Metropolita Maksym — pisze mnich Ławrenty — nie chcąc znosić gwałtów tatar-

skich, porzucił metropolię i uciekł z Kijowa, a mieszkańcy wraz z metropolitą przesiedlili się do ziemi Suzdalskiej".

Nie było komu budować zamku i bronić go. Powoli jednak, w 20 lat po owej ucieczce Maksyma i mieszkańców Kijowa do Suzdała, miasto zaczęło się zaludniać, a w r. 1321 już stawiało czoło Gedyminowi, który podstąpiwszy pod miasto, miesiąc cały oblegał je i zdobyć nie mógł. Aż po miesiącu dopiero Kijowianie, naradziwszy się ze sobą, bramy mu otworzyli. Bychowiec powiada, że „uczciwie do grodu wjechał”¹¹, a nasz Strykowski — że „przez gród do zamku kijowskiego wjechał”. Znaczyło to niewątpliwie, że przez miasto do grodu — prawdopodobnie do Włodzimierzowego ogrodzenia — wjechał. Miejsce obronne nazywał zamkiem.

Kijów przechodził potem różne koleje i losy. Zdobył go Olgierd i osadził syna swego Włodzimierza. Włodzimierz „nie chciał uderzyć czołem” W. X. Witoldowi, stracił przeto „stolec kijowski”, usunął się do głuchego zakątka Kopyła, a miejsce pod koniec XV. w. zajął Skirgajło Olgerdowic. „Biegał do Moskwy — pisał Latopisiec — i przebiegał swoją dziedzinę”. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w tym okresie mógł dopiero powstać zamek kijowski. Albo go zbudował sam Skirgajło, albo z polecenia Witolda, który nie tylko umacniał granicę swoją od Tatarów, ale i Kijowem mocno się interesował, metropolitom kijowskim nie pozwolił rabować cerkwi, a wzmacniał panowanie litewskie, rozdając „panom” swoim ziemie około Kijowa.

Pierwszą wzmiankę o zamku kijowskim spotykamy w latopisie Gustyńskim. W 1419 r. Edyga z ramienia Tamerlana zdobył i zniszczył monaster Peczerski, splądrował miasto Kijów, ale „z a m k u zdobyć przecie nie mógł”. Gdy Michał Zygmuntowicz w r. 1442 zdobył Kijów, już bliższym był prawdy Strykowski, kiedy mówił, że „owładnął z a m k i e m i miastem (grodem) Kijowem”.

Po śmierci Symeona Olełkowicza (1471) księcia kijowskiego, król polski Kazimierz zmienił księstwo kijowskie na województwo i osadził na nim Marcina Gasztolda (1471 — 1480). Za czasów jego rządów już zamek istniał, Ambroży Cantarini, poseł Rzeczy Weneckiej do Persji, przejeżdżał przez Polskę w r. 1473 i dwakroć był w Kijowie — jadąc do Persji i z powrotem. Z „panem Marcinem” widział się osobiście, był u niego na obiedzie wraz z bratem Marcina biskupem kijowskim i odjechał bardzo zadowolony. Obiad miał miejsce w „zamku”, który jest „cały z drzewa”. W owym zamku mieszkał i „pan Marcin” (1474). Potem idą głuche wieści. Dopiero za dzierżenia zamku i Kijowa przez Fryderyka Glebowicza, księcia Prońskiego (1544 — 1551), dowiadujemy się dużo szczegółów co do zamku samego i jego położenia.

W roku 1545 odbyła się rewizja zamku kijowskiego i pozostał opis tej lustracji. Wogóle odbywały się co pewien czas lustracje zamków pogranicznych i dzięki temu zwyczajowi nieco szczegółów o kijowskim zamku pozostało. Jednym z takich rewizorów był Michał Litwin, wysłany jako komisarz do lustracji zamków, przez sejm w r. 1544; i prawdopo-

dobnie lustracja z czasów Prońskiego przez niego uskuteczniła została. Gwagnin, pisząc w swojej *Sarmacji europejskiej*, wydanej w 40 lat po lustracji za Prońskiego, o województwie kijowskim, wspominał o Kijowie. „Niedaleko miasta nad Dnieprem — miasto w owym czasie było na Padole — stoi dość mocny zamek, budowany z dębów, kamienia i ziemi”. Wiadomość ta wszakże sięga o wiele wcześniej niż rok 1545, gdyż rewizja Prońskiego zna tylko zamek „sosnowy”. W tym samym czasie piszący Wereszczyński mówi o zamku w ruinie. A zatem przed rewizją 1545 r., o wiele lat wstecz, istniał już zamek w Kijowie.

Lustrator z r. 1545 pisze: „zamek kijowski, prawie na nowo zbudowany od dziesięciu lat, za sprawą horodniczego pana Iwana Służki”. Z tej lustracji dowiadujemy się, że był „budowany z drzewa sosnowego, ciosanego”. Posiadał 133 „horodni”, z których każda miała prawie 4 sążni długości, „blankowanie,, dobre, grubemi dranicami kryte, „pomosty” dla broniących zamku ludzi, na słupach, w drzwi zaopatrzone. W obwodzie swoim miał 15 wież sześciokątnych, o ścianach w zrąb ciosanych, a tylko jedna wieża była czworokątna. Wszystkie wieże posiadały pomosty do rzucania pocisków z góry, górne i dolne strzelnice. Ściany zarówno wież, jak i otaczające zamek, były gliną lepienie aż do blankowania, na dwie piędzie grubości, od ziemi jeszcze grubiej. Zamek przedstawiał jakby odrębne miasteczko: posiadał dom piętrowy z drzewa, zapewne na mieszkanie dla wojewody przeznaczony, szpichlerz na skład prochu i saletry-

szopę na działą, dziesięć sążni długości, już w czasie lustracji pochyloną nieco, pięć mniejszych budynków na składy żywności, trzy cerkwie wschodniego obrządku. jedną rzymsko-katolicką, zegar wybijający 24 godziny. studnię 30 sążni głęboką, dwa domy cerkiewne — Peczerskiego i Pustynnego monasteru, domy kilku ziemian, między innemi Hornostajów i Rotmistrza, 30 domków dziesiętników, a nieco niżej zamku, na stokach góry, ku dzisiejszemu Padołowi schylonej, były stajnie dla koni i browar. Do tego zameczku, otoczonego dokoła wieżami i ścianą drewnianą, wiodły dwie bramy: jedna wojewódzka, północna, mająca wyjście dzisiejszym wąwozem Hłuboczyskim na Padół, na Żytni targ, a druga południowa — rotmistrzowa albo drabska, wiodąca między dzisiejszą cerkwią św. Andrzeja a cerkwią Dziesięciną ku dzisiejszej ul. Włodzimirskiej, na stare miasto. Prócz bram, była także furtka, na Padół, zamknięta zawsze, a klucz od niej znajdował się w horodniczego. Wąwozem, dzielącym dwie góry t. j. zamkową i Szczykawicę, płynął w owym czasie potoczek, zwany Hłuboczycą, zasilany drugim potokiem mniejszym, Kijanką. Na Hłuboczycy, w tem miejscu, gdzie góra zamkowa oddzielała się od Szczykawicy, był jak się zdaje młynek, na potoku zaś Kudraweć — drugi, który tylko zamek w mlewo zaoopatrywał. Od bramy wojewodzińskiej była bardzo kręta droga na Padół, którą obowiązani byli utrzymywać i poprawiać mieszczanie kijowscy: w zimie przerabowali ją, ażeby komunikację ułatwić. Zamek od bramy Drabskiej był najslabiej broniony, gdyż dotykał płaszczyzny pochylej, dla tego też przed bramą

był rów głęboki, przez który rzucony most wiszący podnoszono i spuszczano łańcuchami. Ten most i bramę opatrywali ludzie, należący do monasterów świętego Spasa Peczerskiego.

Nie będę opisywać i wyliczać, jakie posiadał w owym czasie działą do obrony zamek kijowski, jakie miał zapasy prochu, ołowiu, kul lanych żelaznych i kamiennych, dość, że bywał strzeżony dobrze. Jedna straż, mieszczańska, stała od bramy wojewódzkiej a druga, silniejsza, od bramy rotmistrzowskiej albo drabskiej czuwała. 10-ciu drabów w dzień i w nocy, przechadzało się po blankowaniach i nawoływało do czujności. Oprócz tego była stała straż mieszczańska na Padole przed bramą wjazdową, a druga polna, czuwająca od Złotych wrót.

Władzy wojewodzińskiej, koncentrującej się w zamku podlegało całe miasto, opłacając różne podatki bądź w naturze, bądź pieniędzmi. Przedewszystkiem wszyscy mieszczanie obowiązani byli w razie niebezpieczeństwa stawić się zbrojno pod rozkazy wojewody. Mieszczanie brali podatek „na ratusz” od wyszynku gorzałki, od woskobójni, od osadnictwa na ziemi miejskiej. Od każdego, kto „siadał”, brano 4 albo 5 groszy. Natomiast „pomierne” od zboża pobierano na kościół św. Trójcy.

Na wojewodę szły pobory bardzo rozmaite. Przedewszystkiem kupcy, przyjeżdżający do miasta drogą lądową, płacili od kopy po dwa grosze, a od Wyszogrodu, bez względu na to, jaką drogą przybywają, płacili po 4 gr. Kupcy, wędrujący z karawanami z Turcji, z Ordy, z Moskwy, płacili od kopy po ,

Z różnych sfer.

®

dwa grosze, a przytem „pokłony”, jeżeli z Turcji jedwabiami dawali, jeżeli z Moskwy — sobolami. Rzeźnicy dawali od jałowicy po groszu „na zamek”, rybnicy, którzy z obcych włości wędrowali za połowem ryb, z Mozyrza, Mohyłowa, Rohaczowa, Rzeczycy i łowili niżej Kijowa, dawali dziesiątą rybę, a gdy liczyć nie chcieli, układali się od każdej „kom ahy” osobno, niekiedy po 10 kóp groszy; od solonych po 3 gr. od beczki, od jesiotrów -- dziesiąty jesiotr, a gdy dziesięciu nie było, to z każdego jesiotra grzbiet dawano, od beczki jesiotrzyny po 6 groszy, bielega szła wszystka na wojewodę. Z bobrowych gon na Dnieprze, Rosi, LJdaju, dawano do zamku połowicę. Rzemieślnicy raz na rok, na Boże Narodzenie, dawali kolendę po 2 grosze, oprócz tego łucznicy — łuk, szewcy — po parze butów, kowale — po siekierze, strzelnicy — po 10 strzał, rymarze, kuśnierze, krawcy robili dla wojewody daremnie, co kazano. Oprócz tego płacono kapszczynę od piwa i gorzałki, od każdego waru. Szły także na zamek pobory od przyjezdnych kozaków — grosz od soli i in. Nawet winnic nie brakło w Kijowie — były dwie; jedna przed zamkiem na górze Szczykawicy, czyli jak Wereszczyński pisał Szczykawce, druga — na Wyszogrodzie. „Ale pożytku z tych winnic mało — pisze lustrator — wina nie tłoczą, winogrona tylko bywają”.

Od tej rewizji zamku przez pół wieku prawie głucho. Żadnych szczegółów. Napotykamy tylko luźne uwagi. Eryk Lassota, który zawadził o Kijów w podróży swojej do Kozaków, szeroko rozwodzi się nad wielkością obronnej pozycji Kijowa, pisze o jego wa-

łach, cerkwiach w ruinie, nawet powtarza legendy popowskie o zamurowaniu przez W. X. Włodzimierza w cerkwi św. Zofii żony swojej — chyba przed powstaniem jeszcze cerkwi! — ale o zamku kijowskim ani słowa. Heidenstein, sekretarz Zygmunta III. i Stefana, w swoich *Dziejach* zapisuje bardzo smutną wiadomość: „nad miastem panuje zamek z drzewa, ale nie wart nawet nazwy zamku. Zgnił prawie zupełnie i zaniedbany.” A Michał Litwin pisał o nim, że „jest znakomitą fortecą”.

W takim stadjum upadku zamku kijowskiego, oljął biskupstwo kijowskie Wereszczyński (1580 — 1599) człowiek rozumny, przedsiębiorczy, ruchliwy, patrzący dalej, niż inni senatorowie w przyszłość Rzptej. Budził drzemiące pod wpływem dobrobytu państwo polskie, nawoływał do kolonizowania rycerstwem pustyń ukraiennych, do walki z Tatarami i Turkami wspólnie z Moskwą, w celu złamania ich potęgi, — słowem, prawie proroczo patrzył w przyszłość, dostrzegając niebezpieczeństwo, które w pięćdziesiąt lat niespełna po nim przyszło. On zastał Kijów i zamek w ruinie. „Zamek kijowski dzisiejszy — pisał — jest nie tylko pusty, ale na poły zgniły”. Począł więc wołać na gwałt. Radził przedewszystkiem stary — jak mówił — zamek, czyli okopy i wały wielkksiążęcej epoki, wzmocnić basztami tnurowanemi, a gdyby to było niemożliwe, z powodu braku kamienia i wapna w pobliżu, bodaj z drzewa wystawionemi, a wały uzbroić działami i hakownicami. Za Prońskiego było jeszcze około 30 dział — część zabrali kozacy Nalewajki, część niewiadomo gdzie się podziała. Nawoły-

wał do opatrzenia samego zamku, „który jest na kopcu dosyć pięknie wyniosłym, albowiem sam kopeć teraźniejszego zamku, jest na wyższym w sobie jako wierzch ratusza krakowskiego, a wszcz i wzdłuż jako jest zamek w sobie krakowski z przygródkiem wszystkim". Otóż, przez porównanie, mamy po raz pierwszy określoną wielkość zamku kijowskiego. Na przeciwległej górze, rozdzielonej tylko wąwozem głęboczyckim, zwanej przez Wereszczyńskiego Szczykawką, od siedziby tam legendarnego Szczyka, biskup kijowski, dopatrzył się jeszcze resztek wałów i okopów tego księcia. Góra ta, czyli, według Wereszczyńskiego, „zamek", Szczyk, zwana już była wówczas wraz z przedłużeniem do Kudrawca Biskupią górą, gdyż należała, na mocy nadań królów polskich do katedry biskupów kijowskich. Była niebezpieczną dla zamku kijowskiego, raz z powodu zbyt małego oddalenia, a następnie dla tego, że zamkowa góra miała naturalne pochylenie ku Szczykawce, tak, że widać było wszystko, co się w zamku dzieje. Ażeby ją uczynić nieszkodliwą dla zamku kijowskiego, Wereszczyński radził założyć na niej drugi zameczek — biskupi. Tym sposobem uniknęłoby się niebezpieczeństwa dla Rzeczy i pozyskałoby się większą obronę miasta. Przeznaczenie nie pozwoliło ziszczyć się tym planom, ale echa nawoływań biskupa kijowskiego nie przeszły bez pożytku, bodaj względnego.

Gdy w r. 1601 dawny zameczek litewsko-polski zgorzał doszczętnie, Zygmunt III., na mocy zobowiązania do budowania zamków obronnych (*pada corwenta*), postanowił kijowski zamek odbudować, a

konstytucją sejmową tegoż roku wzywał do współdziałania w tej robocie poddanych województwa i mieszkańców Kijowa obowiązanych do stawiania zbrojnie przy wojewodzie. Prawdopodobnie w ciągu kilku lat po konstytucji sejmowej 1607 r. powstał ze zgliszcz na nowo zamek kijowski. Przebywali tam Stanisław Żółkiewski (1622), Janusz Tyszkiewicz (1636 — 1649; i Adam Kisiel (1649 — 1653), a po nim powstała nowa nazwa góry zamkowej — Kisielówka, „Kisieliw horodok”. Jerlicz, Rusin, w swoim *Latopiscu* zapisał pod dniem 6-go listopada; „Pan wojewoda Kisiel na województwo kijowskie zjechał, z którym obywatelów tegoż województwa nie mało było, co daj Boże szczęśliwie i pokój od bezbożnych ludzi, które pragną jak bestje, łakome wilcy, krwi ludzkiej, nie znając bojaźni bożej”. Kisiel, zjechawszy na województwo „w zamku kijowskim zamieszkał w pustkach, nie bez strachu i odwagi zdrowia”. Nie sprawdziły się życzenia Jerlicza. Nie długo trwała władza Kisiela. Był on rzeczywistym wojewodą kijowskim ostatnim i ostatni z ramienia Rzptej na zamku siedział. Przyjechawszy, darmo czekał na czołobitność Chmielnickiego, do której hetman kozacki zobowiązał się. Już był wyruszył do Białej Cerkwi, gdy dano mu znać, że Chmielnicki jedzie. Nawrócił przeto i w zamku wspólnie naradzali się nad ułożeniem rejestru Kozaków. Wyjechawszy w grudniu 1649 r. na sejm, Kisiel wrócił dopiero w początkach maja 1650 r. Zjechał także Chmielnicki, pragnąc dowiedzieć się, co postanowiono na sejmie warszawskim. Ale ze złożeniem „pocziwości Kisielowi, jako wojewodzie tych krajów, nie spie-

szyl". — Czuł już potęgę i nie rad był uchylać czoła przed wojewodą. Może czekał na pierwszeństwo ze strony Kisiela. Dość, że były kwasy wzajemne. I dopiero w tydzień po przyjeździe „rozbójnicki hetman” na zamku się stawił. Ale bardzo butnie i groźnie. Przyjechał z pułkownikami i setnikami, za nim wtargnęło 2.000. czerni. Kozacy z bronią w ręku otoczyli zamek. Nie brakło nawet przyjaciół, Tatarów; 200 łuczników stanęło gotowych na skinienie Chmielą do rabunku i morderstwa. W takiej asystencji hetman kozacki wysłuchał sprawozdania sejmowego. Zanosilo się na burzę. Kisiel jak zwykle, słodkimi słowami upoininał Chmielnieckiego do posłuszeństwa, do zaniechania buntów i swawoli. Hetman kozacki znał już na pamięć Kisielowe frazesy i może w głębi duszy śmiał się, że do niedawna jeszcze potężna Rzpta, groźna całemu Wschodowi i Kozakom, pragnie zdobywać pokój nie z bronią w ręku, lecz frazesami o miłości chrześcijańskiej. Powoli nastąpiło uspokojenie stron obu. Kisiel i Chmielnicki kilkakrotnie jeszcze mieli narady na zamku kijowskim, o których szczegółów żadnych nie posiadamy. Wreszcie 22. maja 1650 r. hetman kozacki opuścił Kijów. Kisiel został i zwyczajem wojewodów czynił sprawiedliwość na zamku, wieszając dla postrachu złoczyńców i rabowników. Była władza, ale nie było siły. Po wyjeździe Kisiela z zamku i Kijowa i po rychłej śmierci już tylko byli nominalni wojewodowie.

Pamięć Kisiela pozostała jednak w tradycji kozackiej i ludowej. Jako pośrednik między Rzptą a kozakami był popularny, a krótkie rządy jego w Kijowie

nie pozostały bez wrażenia. Od chwili, kiedy go nie stało, gdy zamek począł rozsypywać się w gruzy, ludność miejscowa górę zamkową przezwala Kisielową lub Kisielówką.

Zamek kijowski posiadał jedną wielką wadę — jak i cały ówczesny Kijów — brak wody. Kijowianie ratowali się — trunkami. Żartuje sobie z tego rubasznie Wereszczyński. „Używają — pisze — brahy miasto piwa, uparzonej z prosa, która mało co jest lepsza od pomyj gorzałczanych albo schyłków piwnych z drożdżami zmieszanych. A gdyby i tego zabrakło — dawnoby pozdychali”. A dalej: „gdyby onego piwa kozie nalał w gardło nie doczekałaby trzeciego dnia”. Gorzałką kijowską, chociaż „dyabłu się godzi”, „upijają się na każdy dzień, bidę swoją ciesząc”.

Paweł z Alepo, opisujący podróż patriarchy Makarego do Kijowa i Moskwy w r. 1653, widział jeszcze zamek „na wierzchołku góry”, ale interesowały go pieczary i święci ugodnicy — poskapił przeto opisu. W r. 1651 chwilę tu gościł Janusz Radziwiłł — ale już zamku śnać nie uważał za centrum obronne, bo się rozłożył na dzisiejszym Starym Kijowie i jarosławowe nasypy poprawiał, na wypadek, gdyby się wypadło bronić. Drewniany zameczek już nie wystarczał. Wielkość dział i technika wojskowa czyniły go nieużytecznym. Był tylko środowiskiem administracyjnym — i to nie długo.

Z tego czasu pozostał nam jedyny rysunek, który może dawać bardzo niedokładne pojęcie o samym zamku i jego położeniu, jest to epizod z wojen kozackich połowy XVII. w. — zdobycie Kijowa przez J.

Radziwiłła. Nieznajomy autor tego rysunku skoncentrował akcję wojenną na Padole i z tej racji dał widok perspektywiczny na cały Padół i tak zwaną „Górę”. jest to nie plan, lecz rysunek, pod względem artystycznym bardzo słaby, ale pod względem topograficznym dający pojęcie o położeniu główniejszych punktów współczesnego Kijowa. Z tego powodu ma znaczenie historyczne.¹; W dalszych poszukiwaniach pamiątek polskich w Kijowie, będziemy zmuszeni wracać niejednokrotnie do tego szkicu. Otóż, w perspektywie bardzo prymitywnej z Padolu, z Oboloni, z kąta jej dotykającego Padolu, widać zamek kijowski, zmodyfikowany o tyle, o ile potrzeba było przystosować się do nowych wymagań wojny. Jest on bardzo odmienny od tego, który istniał za czasów księcia Prońskiego. Wież owych sześciokątnych, blankowania, bram niema wcale. Wszystko to w ciągu jednego stulecia zgniło i runęło. Zostało tylko to, co było wewnątrz zamku: trzy cerkwie i kościół, dom o ile domyślić się wolno wojewodzin, piętrowy, niedaleko bramy wojewodzińskiej, kilka domków urzędników zamkowych, grupa drzew — oto wszystko. Zameczek ten, otoczony zwykłym ostrokołem, który w górnej części posiada otwory podobne do strzelnic. Nasuwa się pytanie: czy to jest obraz prawdziwy, czy zmyślony? Logicznie rzecz biorąc, nie ulega żadnej wątpliwości, że prawdziwy. Czy ścisły — to inna sprawa. Od rysunku wolnoręcznego nie można żądać dokładności to-

¹ Zamieszczony w Pamiatn. Komissii dla razbora drewnieli aktów, Kijów 1848.

pograficznej, ale nie można również przypuścić, ażeby rysownik, mając przed sobą widok miasta, które chciał zachować dla potomności, fałszował rzeczy widziane. Zameczek kijowski był zatem w połowie XVII. w. w takim stanie niewątpliwie, jakim go nieznany malarz przedstawił. Z dzisiejszego stanowiska, nie miał on żadnej wartości obronnej, już był historją, symbolem władzy i panowania. Gdyby go murowano z kamienia byłby przetrwał do naszych czasów. Ale życzeniom biskupa Wereszczyńskiego nie pozwoliły losy spełnić się. Gnił, butwiał powoli, rozsypał się w gruzy kościół, w ruinę poszły cerkwie, na miejscu starych domów powstały nowe i miejsce, zajęte niegdyś przez zameczek, zabudowywać się nowem osadnictwem poczęło.

W roku 1654 Kijów przeszedł pod panowanie Moskwy, na mocy aktu poddania się Bohdana Chmielnickiego wraz z wojskiem zaporoskiem pod „mocną ręką” Aleksieja Michajłowicza. Tegoż samego roku Moskwa osadziła tu swego wojewodę, kniazia Fiodora Siemionowicza Kurakina. Lichy zameczek polski nie przedstawiał dla nowych panów żadnej wartości obronnej: był i za mały i za ciasny. Przenieśli się oni do starego Kijowa, w okopy i wały Włodzimierzowe i Jarosławowe, poczęli je rozszerzać i budować nowe forty. Jak ta robota postępowała, ile każdy z wojewodów carskich zbudował nowych „wywodów” (baterji), ile sążni usypał wału, jakimi miejscowościami je prowadził — to już do historii polsko-litewskiego zamku nie należy, raczej do historii Kijowa wogóle. W lustracji wojewody Iwana Rzewskiego (1661 r.) już nawet na-

zwa zamku nie została wspomniana. Zdaje się, że go nazwano poprostu „ostrogiem”, a dawne ściany dębowe i sosnowe zastąpiono wałami ziemnymi.

Późniejsza lustracja, także już moskiewska, z roku 1682, o zamczku ani wspomina; zdaje się, że w owym czasie utworzyła się tam osada zamiejska, wyłączona zupełnie z rejonu fortecznego. Miejsce, gdzie on istniał niegdyś, lustrator nazywa Kisielową górą. Tyle pozostało wspomnienia o tym wojewodzie, który godząc Rzplą polską z kozaczną, żadnej strony nie zadowolnił.

Wkrótce i ta zniknąć miała na zawsze. Widzieliśmy, że wojewodowie kijowscy przenieśli fortecę w stare okopy wielkoksiążęcej epoki, wyłączwszy z nich szczyt góry, „kopiec” — jak mówił Wereszczyński. — Ale czas biegł szybko. Sztuka wzajemnego mordowania się zdobyła nowe działa, nowe środki obronne, wyszukiwała innych niż dawniej były, dogodniejszych miejsc, pod fortece. Młody car, Piotr Aleksiejewicz, nie był zadowolony z fortecy na Starym Kijowie. Za mało tam było miejsca. Sztuka inżynierska nie mogła rozwinąć swoich zdolności i wymagań. W r. 1706 forteca została tedy przeniesiona na Peczersk i rozpoczęło się nowe budowanie. Pamięć o zamczku kijowskim zaginęła zupełnie.

Opisawszy krótkie dzieje tego zamczku, wypada nam powiedzieć jeszcze słówko o topografii jego, określić miejsce gdzie on stał i stosunek tego miejsca do topografii otoczenia.

Zobaczmy, jak niegdyś, od czasu kiedy mamy pierwszą lustrację zamku, nazywano tę górę i jakie nosiły

nazwy wzgórza, otaczające zamek, jakie komunikacje, istniały między starym Kijowem Włodzimierza i Jarosława a Padołem, a może będziemy mogli oznaczyć dokładnie topografię zamku.

Rewizja z czasów księcia Prońskiego mówi wyraźnie o „górze zamkowej”, wyróżniając w ten sposób tę właśnie górę od innych. „Góra zamkowa” — pisze lustrator — dosyć wysoka i przykra, a w pobliżu jej są inne góry, także wysokie”. Jakież to góry? Położenie ich określone wyraźnie. „Od północnej strony za bramą Wojewodzińską przyległa góra nosi nazwę Szczukawicy” — u Wereszczyńskiego Szczukawka, u Rozwidowskiego Biskupia góra. Od południa zaś — notują rewizorowie zamku — za Drabską bramą, tylko przez rów, po koniec mostu, dokąd człowiek kamieniem rzucić może, przyległa góra, równa zamkowej, na imię Klin (Klinek, Kliniec). „A druga tamże, dalej nieco, wyższa od niej, nazywa się Wzdychalnica, ale ta może być kopaniem znizona”. „Z trzeciej zaś strony, od zachodu, od cerkwi Zbawiciela fSpasa/ przylega góra równie wysoka jak Zamkowa”¹⁾ Z tego szczegółowego wyliczania gór, otaczających zamek kijowski, łatwo domyślić się, że lustratorom chodziło o bezpie-

Dla wyjaśnienia należy podać trochę szczegółów. Owa wspomniana góra „od zachodu” nosi dziś nazwę Kudraweć i ciągnie się od doliny Kożemiackiej na zachód od dawnego żydowskiego cmentarza (z XVI. w.), niedaleko wrót Lwowskich. Lustratorowie (z 1545 r.) na tym miejscu zaznaczają cerkiew Spasa (Preobrażenia gospodnia). Badacze starożytności rosyjskich Maksymowicz, Petrow, a nawet najbardziej drobiazgowy

czeństwo zamku, o trudność jego zdobycia. Radzili przeto Wzdychalnicę obniżyć, od Szczekawicy usypać osobny wał, a Klinek (Kliniec), jako mały, w rachubę brany nie był. Ale to są określenia, pozwalające oznaczyć położenie samego zamku. Według tych jasnych i nieulegających żadnej wątpliwości wskazówek, góra, na której stał zamek nosiła nazwę Z a m k o w e j g ó r y, a sam zamek nazywano według Rozwidowskiego W y s o k i m z a m k i e m k i j o w s k i m. Wereszczyński pisał również, że „zamek jest na kopcu dosyć pięknie wyniosłym” i nazywa go „zamkiem Kija”, gdy drugi, „zamkiem Szczyka”, leżącym na przeciwległej górze od północy Szczykawicy — nazwa i dotychczas utrzymała się. Za czasów Wereszczyńskiego „Szczykawka” była osadzona Żydami.

Zważywszy przeto, że góra Zamkowa od Szczekawicy wąwozem, od Kożemiaków wielką doliną, od starego miasta mostem zwodzonym oddzieloną była; że do połowy XVII. w. nie było przejazdu ze starego Kijowa na Padół dzisiejszym zjazdem koło cerkwi św. Andrzeja, gdyż Paweł z Alepo powiada wyraźnie, że „jadąc na Padół, trzeba było wjechać w jedno wrota zamkowe (drabskie) a wyjechać drugimi (wojewódzkimi)”, — łatwo już określić położenie zamku. Stał on na górze zupełnie odrębnej, stanowiącej całość sa-

z pośród nich i ścisły Zakrewskij nie znają tam żadnej cerkwi Spasa. Metropolici Kijowscy mieli tutaj swoje letnie siedziby prawie do końca XVI w., być bardzo może, że i cerkiewkę jakąś pod wezwaniem Spasa zbudowali dla podręcznej służby bożej. Gdy ziemie te donatywą Zygmunta III., przeszły w posiadanie biskupów kijowskich, wówczas i cerkiew drewniana znikła powoli. Jest to nic innego, tylko domysł.

mą dla siebie, a z Klinem i Wzdychalnicą tyle tylko miał wspólnego, że tworzył część wyżyn kijowskich i posiadał szczyt, „kopiec” tak odosobniony jak Szczukawica, Wzdychalnica, Klin i Kudrawiec. Góry nosiły nazwę kijowskie, od czasów Nestora, tylko pojedyncze szczyty ich, wierzchołki, nazywano każdy inaczej. I dziś podobno część dawnej góry zamkowej nazywają Wzdychalnicą, dawniej pisano Uzdychalnica. Być bardzo może, że w XVI. i XVII, w. cały „kopiec” zamkowy, całą górę zamkową nazywano Wzdychalnicą, z czasem jednak dla kopca ustaliła się najprzód nazwa Góry zamkowej, a później Kisielówki, tak że Wzdychalnicą nazywano tylko szczyt przyległy, bliżej Dniepru położony, przylegający do Klina, a zatem zbliżony do dzisiejszego wzgórza, na którym stoi cerkiew św. Andrzeja. Klin zabudował się, rozkopano go — i zatracił swoją nazwę historyczną.

Na cecorskiem polu.

Kartka ze wspomnień.

Było to w roku pańskim 1875 w styczniu. Miałem interes do Soroki nad Dniestrem. Jechałem od Baru. W Mohylowie nocleg. W owym czasie podróże takie odbywały się końmi. Wybrałem się tedy na tygodniową wycieczkę należycie zaopatrzony, czwórką dobrych koni w lejc. Muszę się przyznać, że miałem zawsze chętkę oglądania różnych osobliwości po drodze, kupowania starożytności, monet — słowem co się traci. Ponieważ interes mój wymagał koniecznie pomocy człowieka miejscowego, obznajmionego z tajemnicami lokalnemi, zaangażowałem sobie na kilkundniową podróż Imć pana Ruwima. Imię tylko zapamiętałem i postać. Był to stary poważny Żyd, z wielką siwą brodą — tak zwany faktor miejscowy z Mohylowa. Zręczny, sprytny, obrotny, wszystko wiedział, wszystkich znał. Sesje z p. Ruwimem zajęły mi dzień cały. Na noc nie chciałem wyjeżdżać. Przenocowałem więc w zajezdnym dornu z tym zamiarem, że naza-

jutrz razem z Ruwimem w dalszą drogę, wprost do Soroki udamy się. Dawne domy zajezdne miały zwykłe ściany najdziwniejszymi obrazkami ozdobione. Nie tyle dziwnymi co do treści, ile co do wykonania. Były to tak zwane bohomazy w jaskrawych kolorach, przedstawiające rozmaite zjazdy monarchów, bitwy, jakieś sentymentalne spotkania, a wszystko to miało myszkę XVIII, i początku XIX. w. Najczęściej Napoleon I. lub Aleksander I. figurowali w czerwonych lub zielonych mundurach, albo na apokaliptycznych koniach. I podpisy odznaczały się nie mniej humorystyczną powagą jak same obrazy. Wodząc okiem po tej galerji, zatrzymałem się nad bardzo ładnym i rzadkim portretem Kościuszki, rytym na kamieniu, współczesnej roboty, w ogromnie krzyczących złocistych ramach. Postanowiłem go kupić, tem chętniej, że już w karczmie Wendyczańskiej, po drodze, kupiłem kilka bardzo dobrze zachowanych rzymskich monet.

Właśnie wszedł gospodarz do obrachunku.

W czasie rozmowy spytałem go nagle:

— Kto to panu te ramki do obrazu robił?

Wskazałem na Kościuszkę.

Gospodarz jął długo i szeroko opowiadać. Pokazało się, że robił je żydek mohylowski stolarz, który wszystkie ekonomiczne żony w sąsiedztwie zaopatrywał w meble i w ramy dla wszystkich świętych.

— Niech mi pan to sprzeda.

— Nu? a obraz?

— Można z obrazem — chociaż on mi wcale niepotrzebny.

Trzymałem się, niestety, metody przyjętej przez wszystkich zbieraczy.

Po długich dysputach na ten temat, że na całym Podolu nikt takich ram mieć nie będzie, bo artysta dawno już umarł, zdecydował się wreszcie ustąpić mi to arcydzieło za rubla.

Zapłaciłem rubla, kazałem zdjąć obraz ze ściany, nożem delikatnie podniosłem szkło i wysunąłem portret Kościuszki z ram.

Gospodarz przypatrywał się, co to dalej będzie.

Wyjawszy portret, owe piękne ramy, tak wysoko cenione przez gospodarza, wręczyłem mu wraz ze szkłem.

— Nu, pan przecie kupił.

— Kupiłem... ale podaruję panu, gdyż nie mogę zabrać z sobą,

Portret zaś Kościuszki, zwinąwszy w rulonik? schowałem do mego podróżnego kuferka.

Żyd długo cmokał i kiwał głową, a wątpię, czy zrozumiał o co mi chodziło.

Ruszyliśmy wreszcie w dalszą drogę z Ruwimem.

Podróż była nie bez przygód. Ciekawość moja je wywołała. Chcąc zrobić koniecznie coś inaczej niż wszyscy, zapragnąłem jechać wzdłuż Dniestru.

Ruwim, doświadczony człowiek, bez ogródek powiedział :

— Na co panu szukać nieszczęścia? Tfu na niego! Tfu!

— Dla czego ?

— Jakby tam dobrze było jechać, toby wszyscy jeździli.

— Dla czegoż źle? — nalegałem.

— Proszę pana... w niektórych miejscach rzeka nie zamarza zupełnie — w innych przeręble porobili i ryby łowią... Czy to tak trudno o biedę — co?

Trafiło to do mego przekonania i zaniechałem projektu.

Ale miałem inny w pogotowiu. Prawy brzeg Dniestru jest bardzo malowniczym. Widziałem z miasta, że się tam wiją jakieś drożyny nad przepaściami, zapragnąłem tedy brzegiem rzeki dostać się do Soroki.

Ruwim i teraz oponował. Tłumaczył, przekonywał, że tam dobrej drogi niema, że droga nad przepaściami idzie, że co zimy są wypadki śmiertelne. Ale młodość jest odważna, bo nie zna niebezpieczeństwa. Pojechaliśmy tedy już dobrze po obiedzie. Droga z początku była, ot sobie, tylko ciężka, z góry na górę. Co kilkadziesiąt kroków sanie potraçały o kamienie. Nareszcie — bęc ! — i wylecieliśmy wszyscy w śnieg. Nic nam się nie stało. Konie oswojone zatrzymały się przy uderzeniu sanek, my wstaliśmy, otrzęśli śnieg z futra, wsiedli i pojechali dalej.

Widziałem, że Ruwim był niezadowolony.

— Pan bidy szuka —; zauważył sentencjonalnie.

Droga coraz była gorszą. Wązka, górzysta, z zatokami.

— Prędko dojedziemy do Soroki? — spytałem go ?

— Jak tędy pojedziemy, to daj Boże rano.

Zamilkłem. I Ruwim milczał. Jechaliśmy milcząc, znowu może godzinę. Ja rozglądałem się po okolicy cudownie pięknej, zawiniętej jak w całun w jasną,

Z różnych sfer.

iskrzącą się do słońca powłokę śnieżną. Zachodzące słońce kładło różowe blaski po szczytach gór. Z prawej strony piętrzyły się wzgórza, z lewej strome spadły biegły aż do Dniestru, a dołem sinawa płaszczyna rzeki wiła się, jak wstęga i w mglistej dali ginęła. Byłem zadowolony, że wybrałem tę drogę. Śliczna, daleka perspektywa zimowego krajobrazu, pozwala długo nasycać się widokiem.

Piękne wrażenia przerwane zostały nagle.

Zjeżdżając z góry, sanie poszły w zatokę, uderzyły o kamień — i znowu wszyscy razem znaleźliśmy się na śniegu. Tym razem sytuacja była groźniejszą. Uniknęliśmy nieszczęścia dzięki — szczęściu. Sanie nasze wywróciły się na prawą stronę, pod górę. Gdy wstałem ze śniegu i począłem się otrząpywać, spojrzałem na lewo. Mimowolnie dreszcz mię przeszedł. O krok jeden od sań zwieszała się prostopadle przepaść, pewnie na jakie 150 albo 200 metrów, wprost do Dniestru. Niegdyś była w tym miejscu barjera, ale jako ślad po niej sterczały tylko dwa słupki na dwóch kończynach przepaści.

Ruwim stał milczący przed saniami i na mnie patrzył.

— Za pozwoleniem pana, ale ja dalej nie pojadę.

— Dla czego ?

— Ja chcę żyć... ja mam żonę i dzieci...

Namyślałem się, co robić, a Ruwim ciągnął dalej.

— Teraz dzień, a co będzie w nocy?

Widząc moje wahanie się dodał:

— Rano ludzie kości nasze zbierać będą.

I ja miałem dosyć wrażeń. Nie chciałem dla wrażeń tracić życia.

Naradziwszy się wspólnie, ujechaliśmy jeszcze kawał drogi, znaleźliśmy jakąś drożynę boczną i wyjechali pod górę w kierunku stepu. Dobiliśmy wśród kopnej drogi do traktu, a później konie różnym kłusem równą drogą ruszyły do Soroki. Już noc zapadała, gdyśmy z Sorockiej góry zjechali do miasta. Licha, uboga mieścina, niegdyś na trakcie tatarskim, dziś w kącie siedzi. Jedyną jej sławą były jarmarki na woły, na które zjeżdżali się kupcy z lesistych okolic Podola. I tutaj dzień jeden i dwie noce spędziłem, delektując się miejscowymi produktami Mołdowanów: mamałygą, bryndzą, we Lwowie zwaną „majową” albo „węgierską” i kwaskowatym winem, przypominającym Szwajcarskie, a zwane „wymorozkiem”. Wino, trzy kopiejki litr czyli kwarta, naturalne, czyste — doskonały materiał do wyrobu prawdziwego Burgunda. Nikt tu nie fałszuje wina, bo nieopłaci się. Fałszowane drożej kosztuje niż naturalne.

Mieliśmy wracać do Mohylowa, tak zwanym traktem, wielką drogą, łączącą Sorokę z Mohylowem, wiodącą stepem. Jeszcze w Soroce wspomniałem memu Ruwimowi, że niedaleko Mohylowa musi być przy drodze wielki słup kamienny. Przypomniałem sobie, że pomnik cecorski widziałem w albumie Napoleona Ordy. Czemuż dziś taki rysownik się nie znajdzie! Ileżby to pamiątek mógł uratować od zapomnienia. Nawiasem powiedziawszy, gdy przed ośmiu laty zwiedzałem siedliska kozackie od Kijowa do Czechrynia

100

Subotowa i szukałem towarzysza rysownika, — nikogo nie znalazłem.

— Wypytałem ludzi — mówił jeszcze w Soroce Ruwim o ten słup. Jest, jest — niedaleko traktu.

— To mi go pan pokażesz — rzekłem.

— Dobrze.

Rano około 8-mej wyjechaliśmy z Soroki. Mróz był siarczasty co się zowie. Droga równa, gładka, jak po stole. Ogromna śnieżysta płaszczyna stepowa tak była przepojona słońcem, że błyszczała jak szkło, migając złocistymi i srebrzystymi promykami, jakby ktoś na niej brylanty rozsypał.

Nie wiem, jak długo jechaliśmy, dość, że Ruwim odezwał się :

— Tu będzie karczma... Trzeba się zatrzymać ja zapytam, gdzie to ten „słup” stoi. Już ze dwadzieścia lat, jak w tej stronie nie byłem. Dobrze nie pamiętam.

Dojechaliśmy wreszcie do owej karczmy. Stała samotna przy gościńcu wśród bezbrzeżnej, białej, iskrzącej się płaszczyny śniegowej. Wyglądała z daleka, jak kopica siana na stepie. Przy niej ani ducha żywego.

Wysiedliśmy z sań i poszli do środka,

Ot, karczma, jak tysiące innych — lepsza trochę od innych. W wielkiej frontowej izbie na prawo, w rogu było okratowane grubemi drewniariemi sztachetami sanctuarium arendarza. Mówiąc zwykłym językiem, była to komórka wielkości 2 i pół vdo. 3 metrów w kwadrat, od spodu deskami oszalowana, z góry w kraty zaopatrzona, a wiodły do niej równie nie-

wybredne drzwi, na hak wewnątrz zamykane. W komórcie owej stała beczka z wódką, zydelek, na którym pan arendarz mógł przesiadywać, przy beczce szeregiem ustawione różnej wielkości naczynka blaszane i szklane dla wymiaru gorzałki, a na półeczce do ściany przypiętej, leżały bułki i obwarzanki. Tu, gdy bywało dużo a głośnych gości, pan arendarz zamykał się, odbierał pieniądze przez kraty — naprzód, — a potem wydzielał każdemu według chęci kupującego, a swojej sprawiedliwości — przepalankę.

Ażeby czemś upozorować nasze wejście, kazałem dać furmanowi kieliszek gorzałki, dla siebie dwa jaja na twardo, bo innych nie było, trochę soli i usiadłem przy długim, a wąskim stole przy oknie stojącym. Ruwim rozmawiał z arendarzem, ja rozglądałem się po wielkiej sali kasynowej, przeznaczonej dla przypadkowych gości. Uwagę moją zwróciły dywaniki, którymi ściany pod oknami, na wysokości siedzenia były obciągnięte. Były to tak zwane kilimki w desenie wschodnie, o łamanych liniach, w dwóch kolorach czarnym i żółtym wyrabiane. Robota gładka, delikatna, czysta. Nić mocno skręcona, była podobną raczej do konopnej lub lnianej niż wełnianej.

Widziałem, że arendarz w czasie rozmowy z Ruwimem spoglądał na mnie z ukosa, jakby chciał sobie zdać sprawę z osoby mojej i przyczyny niezwykłej ciekawości.

Wreszcie zagadnął:

— To pan chce ten „słup” widzieć ?

— Tak jest.

Zamilkł i brodę gładził.

— Niedaleko przy drodze rzekł od niechcienia.

Pan arendarz mówił łamanym językiem rosyjskim, Ruwim jeszcze po polsku. Należał do starej generacji Żydów.

Z kiepską malowniczą arogancją, oparty o szynkwas, pan arendarz rzucał spojrzenia z ukosa na mnie.

Ażeby przerwać milczenie, spytałem:

— Pan nie wie, na co ten „słup” tam postawiony ?

— Nie. Stoi sobie — to stoi, niech stoi.

— A co ludzie starzy gadają o nim ?

— Nu, co mają gadać ? Nic. Słup — to słup, co tu gadać.

Żle, myślę sobie. Nic z niego nie wydobędę. Postanowiłem zagadnąć z innej beczki:

-- Starzy ludzie pisali, że na tych polach kiedyś wielka bitwa była.

— Dlaczego nie, może była. Kto to pamięta.

Nagle odskoczył od szynkwasu i z radością zawołał :

• A zoj! A zoj! Tak jest ! Starzy ludzie zawsze prawdę mówią. Była bitwa... Tu kiedyś chłopcy z Sawek bili się o grunty... Tak się bili — aj, aj.. Pokłóli się widłami, porąbali się siekierami. Sam sprawnik z Soroki przyjeżdżał...

— I tyle tylko mówią ?

— Nu, albo to mało?

Taki mnie smutek i gorycz ogarnęły, że już dłużej rozmawiać z Żydem nie chciałem.

Rozpląciłem się i — pojechaliśmy. Nie wiem

czy dłużej jak godzinę jechaliśmy. Spoglądałem ciągle na lewo, czy nie zobaczę owego „słupa”. Nareszcie w mgle słonecznej dostrzegłem niewyraźne kontury niby budynku jakiegoś, niby dzwonicy.

— Panie Ruwim, czy to nie „słup” z daleka widać ?

Ruwim kołnierz barankowy odchylił trochę i w oślepiającą jasność śniegu, w dalekiej perspektywie mgłą zakończoną, wpatrywać się począł.

— Tak, to wun, wun — odrzekł.

Jechaliśmy dalej, a ów „słup” coraz wyraźniej rysował się na jasnym tle połyskującego śniegu.

— A jakże się do niego dostać ?

— To sztuka!

Istotnie nie mała to była sztuka. Kazałem wolno jechać i patrzyłem, czy gdzie drożyny jakiej nie obaczę, ażeby można było dostać się do owego „słupa”. Ani śladu !

Biała, jasna, błyszcząca aż do oślepienia pokrywa śniegu była wszędzie jednaką. Cisza stepowa wisiała dokoła nas tak wielka, że zdaje się byłoby słychać lot ptaka w powietrzu. Dwa tylko punkty odciły się w jasności śnieżnej : kolumna, której kształty stawały się wyraźniejsze, i niewielki dębowy lasek, który żółtą barwą tworzył wybitny kontrast ze śnieżną płaszczyzną stepową. Przekonawszy się, że dojazdu niema do „słupa”, kazałem furmanowi zatrzymać konie.

— Nu, a teraz co ? — zapytał Ruwim zdziwiony.

— Pójdziemy piechotą do „słupa”.

Nie bardzo podobał mu się ten projekt, ale widząc, że ja z sanek wysiadam, wysiadł także.

Od drogi do pomnika było kilkaset kroków.

Śnieg był tak nawalny, że literalnie brnęliśmy po kolana posuwając się powoli naprzód. Stawałem, wypoczywałem chwilę i znowu szedłem. Młodość moja pokonywała łatwo przeszkody. Ruwim ledwie się włókł, ale czuł się w obowiązku iść za mną.

Gdyśmy stanęli u stóp wielkiej mogiły, na szczycie której stał pomnik, Ruwim odezwał się:

— Nu, dosyć! Co pan jeszcze zobaczy? Trochę kamieni i nic więcej.

Zamiast odpowiedzi, poszedłem naprzód.

Stojący na szczycie mogiły pomnik przedstawiał się jako czworoboczna kolumna ścięta. Podnóże jego otaczały ciernie, które rosły bujnie i znaczną część mogiły pokrywały. Przedarłszy się przez nie, stanąłem wreszcie u stóp pomnika i począłem przyglądać się jemu. Rozpadał on już się w gruzy, ale widoczne jeszcze były kontury. Na fundamencie z dzikiego, miejscowego kamienia, wznosił się duży czworobok z cegły, na jakie trzy metry wysoko. Na szczycie brzoza, zwykła towarzysząca ruin, już była zapuściła korzenie. Obszedłem pomnik dokoła i szukałem napisu. Nie było go już niestety - pozostały tylko ślady: wklęsnięcia w murze, przeznaczone widocznie na tablicę z napisem. Ale tablicę już wyrwała złośliwa ręka dzikiego człowieka.

I to było wszystko, co na Cecorskim polu pozostało z chwały polskiej.

Stojąc na szczycie mogiły wśród ciszy i jasności

stepowej, wodziłem wzrokiem po tem smutnem polu bitwy. Nieco na zachód - - daleko na płaszczyźnie śniegowej, migały żółte kity oczeretów i bladym szafirem połyskiwało zwierciadło rzeczki. Na prawo nieco żółciły się, nieopadłe jeszcze liście młodego dębowego lasu.

Nie było wówczas tego lasu - pomyślałem. - Gdyby był — nie byłoby klęski, bo stałby się on może oparciem dla nas.

Otóż i ciekawość moja była zaspokojona. Z wielkiej sławy i poświęcenia się jednych, z warcholstwa drugich, nic nie pozostało więcej nad kupę rumowisk.

W milczeniu wycofaliśmy się tymi samymi śladami z pod pomnika i wsiedli do sanek, Z milczenia mego musiał odgadnąć Ruwim, że nie prosta ciekawość wiodła mnie przez te śniegi.

Gdyśmy już ruszyli, odezwał się.

Nu, niech mi pan powie, co to jest takiego ten „słup”?

Opowiedziałem mu pokrótce smutne dzieje pomnika. Siedmdziesięcioletni starzec pamiętał lepsze czasy. Opowiadanie moje wywołało widocznie w jego umyśle szereg wspomnień, szereg myśli, nieujętych w żadne rozumowanie, umiał się tylko zdobyć na wykrzyknik :

Aj-aj-aj-aj! — Co się dzieje na świecie...

Odtąd Ruwima, pola Cecorskiego i Mohylowa już nie widziałem.

Z wycieczek po kraju.

Iskorost'.

Przyjechałem do Iskorosti w samą porę obiadową — taki głodny, że gotów byłem wołu zjeść. Zajeżdżam do pierwszego lepszego zajazdu, który mi się porządniejszym od innych wydał. I tu zastałem córkę i matkę tylko. Gospodarz domu jeździł po świecie.

Powitały mię obie z pewnem zadowoleniem. Każdy podróżny coś przecie kupić musi, a zatem da coś utargować. Taki jest a nie inny powód zadowolenia.

— Macie co jeść ? — spytałem na wstępie.

Obie spojrzały na mnie zdziwione.

— jeść? Nie... a cóż pan chce?

już mi się ten akcent mocno nie podobał.

— Nie o to chodzi, czego chcę, ale co macie?

— Śledzia można...

— A bodaj cię siarczyste pioruny! — pomyślałem. Już trzeci dzień na wszystkich popasach, noclegach, przystankach, słyszę tę samą propozycję.

— A co więcej ?

— Więcej ? — Znowu ten sam akcent zdziwienia. Zdawałoby się, że tu ludzie nic innego oprócz śledzia nie jedzą.

— Może pieczeń jaką macie ?

— Nie.

— Może „łókszynę” ?

— Nie.

— Może jaja ?

— Buły... ale wczoraj na jarmarku sprzedali.

— Cóż wy macie u licha ? — zawołałem zniecierpliwiony.

— Śledzia można...

Odwrociłem się gniewnie i zacząłem chodzić po izbie. „Bałabusta” czuła się w obowiązku pocieszyć mię w tym smutku.

Ot, jakby pan był wczoraj przyjechał... zariwały kurku.

Nadzieja jakaś błysnęła we mnie.

— No, to dobrze... możecie ją ugotować.

Żydówka zrobiła kwaśną minę.

— Już ugotowana...

— Czemuż milczycie? Dawajcie ją.

— Koły nema...

— Jakto — nema?

— Przyjechał pisarz z Wańkowicz — taj zjedli.

Masz tobie babo knysz ! I co tu robić w takiej pozycji? Kazałem nastawić samowar, dać szklankę śmietanki, ale pokazało się potem, iż herbata miała zapach czosnku, a śmietanka była zwykłym koziem mlekiem. Skorzystałem z dwugodzinnego odpoczynku koni i poszedłem oglądać miasto. Licha to i uboga

mieścina. Cała prawie rozrzucona na płaszczyźnie, tylko głęboką doliną płynie Usza, a ponad nią sterczą wszędzie występy czerwonego granitu. Niepokaźna ta miejscina ma jednak swoją historję, związaną z początkowemi dziejami Rusi. Nestor zapisał ją w swojej kronice jako Korosteń, siedzibę jednego z książąt drewniańskich, z którym walczył naprzód Igor, a potem żona jego Olga, matka Światosława. Powtórzył on normañską bajkę -- przepraszam zwolenników antinormañskiej hipotezy — o tych wróblach, którym mądra Olga czyr do ogonów przywiązać kazała. Wróble rozleciały się do chat i wznieciły pożar. Wszystkie nestorowskie legendy znają tutejsi mieszkańcy i chętnie bawią niemi znudzonego i głodnego podróżnego. Na Uszy są także tak zwane kąpiele Olgi. Są to pionowe występy skał granitowych, które utworzyły w wodzie rodzaj wanien, stojących jedna przy drugiej. Zbliżone podobieństwo do wanien, owych naturalnych rezerwoarów, zrodziło prawdopodobnie legendę o kąpielach Olgi, której imię było od dawna w tej okolicy popularne. Zupełnie tak samo zbliżone podobieństwo raf podwodnych morza Bałtyckiego do ruin budowli, zrodziło podanie o miastach, zapadłych w morze, powtarzane stale przez rybaków.

Wypadek zrządził, że w tydzień po pierwszej mojej bytności w Iskorosti, wróciłem znowu do tego ustronia cichego i zapomnianego dziś a niegdyś siedziby księcia drewniańskiego, walczącego o swoją niepodległość z drużyną normañską, o czem „niewiadomy kniżnik” wiele ciekawych rzeczy napisał.

Zajechałem do tego samego zajazdu nie bez ra-

cji. Jadąc ku Mozyrzowi, wypytywałem wszędzie po drodze o starożytności — "monety, wykopaliska, broń. Panna Małka zapewniła mnie, że dostanie dla mnie jakieś bardzo stare pieniądze, takie stare, że „one już teraz do niczego”. Jestem jednak, tego przekonania, że to z jednej strony był manewr tylko : złapania i przytrzymania głupiego goja na drugi popas. Jakoż istotnie wróciwszy, zastałem rosół, łókszynę i pieczeń, a nawet dostałem pod sekretem dobrej wódki — szabasowej. Co zaś do monet starożytnych, to nie poszło tak łatwo, jak mi się zdawało. Posyłałem pannę Małkę w różne strony bez ceremonii, obiecując napiwek. Zawsze jednak zręcznie tak umiała wykręcić się, że albo owego ktosia w domu nie było, albo wyjechał na jarmark, albo żona w skrzyni stare pieniądze zamknęła i w goście z kądzielą poszła. Obiecywała mi najsolennie, że u młynarza z pewnością dostanie, bo wie dokumentnie, że reperując łotoki, wykopał cały garnek pieniędzy. Poszła do młynarza i — takie to już moje szczęście — i tutaj nie dostała. Opowiedziała mi z wielkim żalem, że młynarz istotnie pieniądze wykopał, ale przed godziną może zajechał do niego sędzia, który gdzieś przewąchał o tych pieniądzech, i zabrał je wszystkie. I cóż było robić wobec takiego „pechu” — jak się to mówi z kiepska po galicyjsku.

Nagrodziłem sobie brak monet przyjemnem spotkaniem.

Gdym wrócił z wycieczki do łazienek Olgi, zastałem izbę pełną włościan. Siedziało ich kilkunastu przy dużym stole, na którym stały dwie flaszki wódki,

leżał chleb, trochę soli i ryba suszona, produkt rzek poleskich, a ulubiony pokarm Poleszuków. W izbie panował gwar, wrzawa, czarka krążyła od jednego do drugiego. Były w tej gromadzie i kobiety, bardzo wymowne widać i wybitny udział biorące w traktamencie. Przypatrywałem się tej scenie swobodnej uczty, ożywionej, nie krępowanej obecnością obcych osób. Co chwila ktoś wstawał, nalewał kieliszek, zwracał się do sąsiada lub sąsiadki, kiwał głową stojąc, wypowiadał jakąś orację na temat życzeń długiego życia, zgody, pojednania, szczęścia i, wypiwszy w końcu, oddawał w ręce inne, a sam zabierał się do ryby i do chleba. O ile z rozmowy wnosić mogłem, chodziło o niedopłaconego komuś rubla. Wytoczyła się o to sprawa przed sąd, która kilkunastu ludziom dzień czasu z życia wyrwała. W sądzie okazano chęć do zgody dobrowolnej - i oto właśnie zapijano tę zgodę.

Wszyscy byli ubrani w proste kasztanowate siermięgi chłopskie, białe konopne spodnie —, jednym słowem, przedstawiali się jako typowe postacie włościańskie. Kilku z nich posiadało jednak fizjognomie i wyraz twarzy jakiś odrębny. Ja stałem na uboczu i przysłuchiwałem się debatom. Rzecz była już ku końcowi. Jeden z gości podniósł się i rzekł po rusińsku :

— No, kumie Bołsunowski, chodźmy już.

W tej chwili przypomniała mi się cała sprawa bojarów zamku Owruckiego w walce ze starostą Wielnickim. Wszyscy obecni w tej izbie, jak się przekonałem wkrótce, byli Bołsunowscy. Każdy z nich miał tylko inne imionisko: jeden nazywał się Supru-

nem, drugi Karpenkiem, trzeci Krzywoszyją. Wspólne niegdyś rodowe nazwisko pozostało tylko ozdobą, pamiątką, którą rzadko kiedy ze wspomnień rodzinnych wyciągano. Krótko mówiąc, byli oni na drodze do zupełnego schłopienia.

Ow „kum Bołsunowski”, którego nawoływano do wyjścia, był chłopem już po piątym krzyżyku, łysy, z kędziorami tylko w niższej części głowy, sztywny, prosty. Gdy powstał z za stołu, zbliżyłem się do niego i zapytałem po polsku :

— A panowie skąd ?

„Kum”, którego imienia przez ostrożność nie wymieniam, odpowiedział mi po rosyjsku, z lichym akcentem :

— Z niedaleka... z Bołsunów.

Widocznie, żeśmy wzajemnie byli dla siebie ciekawi, bo zawiązaliśmy dość ożywioną rozmowę — on mówił po rosyjsku, ja po polsku. Ja udawałem, że po rosyjsku nie mówię, on że — po polsku. Począłem mu opowiadać o jego protoplastach o Bołsunowskich, Wałkowskich, Lewkowskich, Baranowskich, Wyhowskich, o ich sporze o szlacheckie przywileje. Okropnie mu te wiadomości zaimponowały. Patrzył we mnie szeroko otwartymi oczyma i powtarzał od czasu do czasu :

— Tak, tak... prawda..., tak było...

— Toż wy jesteście dobra polska szlachta — rzekłem w końcu.

Bołsunowskiemu łzy w oczach stanęły. Pochylił się ku mnie gwałtownym ruchem, rękę moją uchwycił i pomimo oporu, całować począł.

— Ja widzę, że pan nasz... nasz... — odezwał się po polsku.

Szukał wyjścia z swego fałszywego położenia.

— Bo to widzi pan, nie z każdym mówić można... Kto jego wie, co u niego w duszy kipi... Pan prawdę mówi... Było dawniej inaczej... My jesteśmy dawna, stara polska szlachta.

— Oczywiście... przyznano wam przecie szlachectwo na podstawie waszych dokumentów.

— Tak... tak... To niedawno tak wszystko się zmieniło... jeszcze ojcowie nasi byli unitami.

Dodać muszę, że rozmowa ciągle szła po polsku.

— Powiedzieć mi, macie wy dotychczas jakie stare dokumenty ?

— A jakże, proszę pana... są... na pergaminach... pieczęcie zawiesiste... Chowamy to... kto wie...

— Moglibyście je pokazać ?

— Można... nawet dać można... niech pan przeczyta... Proszę tylko napisać do Łohińskiej wołosti... wprost do mnie... ja sam panu przyszlę...

Zaręczam czytelnikowi, że rozmowę z Bołsunowskim powtórzyłem dosłownie, opuszczając te wszystkie uczucia, wrażenia, wspomnienia, które z ust starego Bołsuna wysuwały się półsłówkami i świadczyły, że dotąd pod rusińską siermięgą, pod dźwiękiem moskiewskiego języka, pod „prawosławnym” nalotem, żyje jeszcze polskie serce i polska krew płynie.

Żytomierz.

Od Żytomierza do Owrucza ciągnie się właściwe Polesie, a na wspomnienie Polesia mimowoli przychodzi na myśl pokrewna i sąsiednia Litwa, którą tak sympatycznie W. Pol opisał w „Pieśni o ziemi naszej”. Kraj bogaty obfitością pierwotnej natury:

Ryby, grzyby i wędliny
Lny dorodne, huk zwierzyny,
Kawał chleba w czoła pocie |§fl
A na pański stół łakocie.

Ślady polskiego panowania, wpływów i polskości zanikają jednak coraz bardziej. Do lasów, wśród których żył i mnożył się najbardziej konserwatywny drobno-szlachecki element, wkrada się topór żyda i Moskala, niszczy je, rąbie, a na te złomy i ruiny przychodzi wędrowny Czech i zakłada swoją osadę. Przed tym pochodem tak zwanej cywilizacji, żywioł drobno-szlachecki, który niegdyś był osią życia tego zakątka, jego siłą i potęgą, rozprasza się po świecie i wynaradawia pod wpływem stosunków i prądów.

W naszej terminologii historycznej nazwa Pole-
Z różnych sfer.

sia. tak samo jak i Podlasia pozostaje niewyjaśnioną, dzięki temu, że brzmienie tych nazw odpowiada ogólnemu charakterowi kraju. Stąd też zdaje się, że źródłosłów „las” jest najbardziej do prawdy zbliżony. Sądzę wszakże, że nie *l a s* lecz *L a c h* posłużył w tym wypadku do utworzenia nazwy tego kraju, a raczej znacznej jego połaci. Przedewszystkiem przechodzenie *ch* na miękie *dż*, i szczególnie w nazwie *Lach*, było na porządku dziennym — że tak powiem językiem dziennikarskim, — a następnie Nestor, ów „nieznany kniżnik”, jak go tytułują niektórzy dzisiejsi historycy rosyjscy, a szczególnie rusińscy, za karę, że Ukrainę-Ruś pozszywali ze strzępków etnograficznych, „Jadżką ziemię” umieścił tuż pod samym Kijowem, jeżeli *Lachowie* byli nie plemieniem, lecz warstwą panującą, jak chcą niektórzy historycy, to kto wie, czy po przesunięciu ich na zachód, kraju nie nazwano *P o - l a c h i ą*, lub *P o - l e c h i ą*, tak samo jak sąsiadujący z *Lachami* *P o d - l a c h i ą*. Robię tę uwagę mimochodem, rozstrzygnięcie i zbadanie pozostawiając historykom.

Żytomierz, jako miasto, posiada dotychczas jeszcze charakter polski. Z wierzchu, dla pozłoty coś błyszczący moskiewskiego. Sądy, urzędy, sprowadzeni z głębi Rosji Moskale, jako robotnicy i kupcy, nadają powierzchownie miastu charakter moskiewski, bo język rosyjski ustawicznie rozlega się na ulicy. W istocie rzeczy kolonizacja moskiewska jest dotychczas jeszcze bardzo słaba. Żydzi, drobna szlachta, mieszczenie, służba — wszystko to dla oka mówi lichym moskiewskim językiem i daje złudzenie zmoskwiczenia kraju.

W istocie wszakże tak nie jest. Mnóstwo mieszczan i drobnej szlachty zagonowej, nawet takiej, która z unii zmuszoną była przejść na prawosławie, ku zgorszeniu rusyfikatorów, mówi po polsku. W mieście mnóstwo rodzin zamożnych stale mieszka, przedkładając tanie i spokojne życie miejskie, nad kłopoty wiejskie. Trochę tylko kupców moskiewskich napłynęło, którzy handlują głównie futrami, rybą, kawio-rem, „ikonami” i zajmują się „podriadami” czyli dostawami dla wojska i urzędów. Urzędnicy Moskale, łapownicy i złodzieje, łatwiej poro zumiewają się ze swoimi niż u nas nawet z żydami. Prawdę powiedziawszy, dobry Moskal starczy za trzech żydów. Z tej to racji w głębi Rosji, mało który żyd się utrzyma.

Samo miasteczko, z wyjątkiem miejscowości nad Teterewem, położone na równinie, wśród sadów i ogrodów. Pominąwszy śródmieście, gdzie się skupia cały handel żydowski, Żytomierz wygląda jak wielka wieś. Tylko szerokie, długie, równe ulice nowego miasta, wskazują już na nowsze osadnictwo według planów moskiewskich. Kilka kościołów ocalało jeszcze, resztę zabrali nasi przyjaciele na cerkwie. Dopiero wpatrując się w robotę moskiewską na miejscu, przychodzi się do pizeświadczenia, co to za podły, przebiegły i zręczny ów rząd moskiewski !

Kłamstwo dla niego jest chlebem powszednim jest bronią w walce tak dobrą, jak każda inna, nie zaś jakimś ujemnym przymiotem moralnym. Historycy moskiewscy i ich wychowawcy ciągle nam zarzucają, żeśmy cerkwie prawosławne odbierali od Rusinów. Fałsz najwierutniejszy. Sto przykładów mógł-

bym wyliczyć z pamięci, kiedy Polacy budowali cerkwie — wspomnę tylko Lubomirskich i Potockich — ani jednego faktu nie znalazłem w dokumentach, żeby cerkwie na kościoły przerobione zostały. Po wprowadzeniu unii oddawano je w ręce zarządów i duchowieństwa unickiego — to zupełnie co innego. Taką drogą przeszły w Kijowie do unitów cerkwie św. Zofii, św. Michała i inne. A Moskale, którzy tak dużo mówią o swojej tolerancji religijnej - jest to tolerancja lisa dla kur, — dopóki nie złapie i nie zje — ileż oni kościołów polskich przerobili na cerkwie! Tam, gdzie nie mogli tego uczynić, z kościołów robili stajnie, magazyny, koszary, szkoły — co mogli. Proszę się przejechać przez całą Ukrainę i Wołyń, szczególnie Wołyń a w każdym miasteczku najpiękniejsze gmachy — dawne polskie, największe cerkwie — z dawnych kościołów. Czego jeszcze nie zdołali zużytkować — to poszło w ruinę. Oprócz ziemi, Moskale zabrali cały nasz kapitał cywilizacyjny, cały nasz dorobek umysłowy i na tych zrabowanych skarbach zbudowali swoją potęgę. Cerkwie i ich monastery uposażono polską ziemią i majątkiem, ich dzisiejsze szkoły i uniwersytety polskimi funduszami powstały i niebyłyby powstały nigdy, gdyby nie polskie pieniądze, polskie zbiory, polskie biblioteki, bo Moskale nie kochają się w naukach.

Biblioteka Załuskich poszła do Petersburga, i z niej utworzyła się najbogatsza biblioteka w Rosji; galeria obrazów Stanisława Augusta - jest dzisiejszą galerią petersburską; biblioteka kijowska — biblioteką wileńską, zbiory numizmatyczne, zoologiczne w Ki-

jowie — przeszły z Wilna. Uniwersytet kijowski powstał za pieniądze polskie. Dopiero od chwili, kiedy polscy pedagogowie przeszli do szkół moskiewskich, rozpoczął się rozwój umysłowy Rosji. Nie mówię o Wilnie, ale w Charkowie i Kijowie, a nawet w Odesie, najlepsze siły profesorskie były polskie lub przez polskich profesorów kształcone. Może kiedy ten przedmiot znajdzie wdzięcznego historyka — a zasługuje na to.

Tak, bije nas ta ręka, którą myśmy sami wzmocnili.

Ruch umysłowy w Żytomierzu niezmiernie mały. Miejscowego prawie niema; jest tylko jedna licha księgarnia, w której polskie obok rosyjskich książek dostać można i jedna antykwarnia większa - - także mieszana. Naturalnie, oprócz beletrystyki, mało co więcej tam dostanie. Polacy, zamieszkali tutaj, zaopatrują się w książki w Warszawie. Jedyne okaz sztuki i stylu moskiewskiego, stoi pośrodku rynku, pomnik Aleksandra II. — z napisem: „męczennikowi”. Zamęczyli go socjaliści, których „rownoapostolny” Aleksander III. zamiast przebaczyć po chrześcijańsku, po chrześcijańsku dusił, t. j. przemocą do nieba wyprawiał. Ten oryginalny pomnik, na świadectwo głupoty ludzkiej wystawiony, a przypominający budowę mały pawilonik vis-a-vis cukierni Brzeziny, we Lwowie stoi pośrodku placu w najludniejszej dzielnicy miasta.

Oprócz pomnika, wzoru sztuki moskiewskiej, Żytomierz posiada jeszcze hotel, dzierżawiony przez Moskala, noszący głośnie nazwę: „Grand-hotel”.

Miałem zajechać do Miquel'a, gdzie wyborną ku-

chnię i czystą pościel znaleźć można, ale ponieważ o 2-giej godzinie w nocy przyjechałem wązkotorową kolejką z Berdyczowa, uślužny dorożkarz ulokował mię w „Grand-hoteiu”. Nocowałem tam jedną noc tylko, a właściwie mówiąc, skrobałem się przez całą noc. Brudy niesłychane ! Uciekłem z łóżka na kanapę? z kanapy na fotel — nic nie pomogło. Gdy nazajutrz gospodarz zjawił się z rachunkiem, przejrzałem go pilnie:

— Pan zapomniał tu jeszcze jedną pozycję wstawić — zauważyłem.

Już porwał za pióro, gotów do pisania. Nie mógł sobie przypomnieć tylko, co opuścił, więc ku mnie pytającym spojrzeniem patrzył.

— Pan nie policzyłeś za pluskwy... — rzekłem słodko.

O, taka bagatela... Pamiłujcie! Etawo nie szcztajem...

— Zawsze to dla gości... oszczędność — wtrąciłem.

Pomimo to wszystko, wyniosłem się od uprzejmego Moskala, gdyż mię tak rozkosznie ulokował, że w dodatku do pluskiew, miałem w sąsiedztwie jeszcze generałową moskiewską, która sprzedawała żydom las, kłócąc się z nimi i łając ich aż do rana.

W drodze do Owrucza.

Od samego prawie Żytomierza w głąb Polesia droga bardzo jednostajna i smutna. Odbiera się takie wrażenie, jak gdyby się jechało wśród ruin. Istotnie, wyrąbanie gwałtownie lasów, możnaby nazwać ruiną Polesia. Gdzie-niegdzie widać większą grupę leśną, ale dobrze podniszczoną i karłowatą. Ocalały jedynie większe sosny, na których przymocowano barcie. Tu obyczaj zwyciężył nawet chciwość żydowską, bo sosny z barciami stoją tylko na świadectwo ruiny. Z początku, za Krosznią zaraz począwszy, zjawiają się także pojedyncze, później parami na jednej sośnie, a wreszcie grupami sterczą na oazach, ocalałych po większych lasach, a dziś stojących samotnie wśród pola. Zdaje się, że gdyby nie pszczoły, które rok rocznie przyzwyczaiły się wylatywać i wracać do swojej barci, i te sosny padłyby ofiarą chciwości.

Moczarowata latem, niedostępna na wiosnę, a czysta i gładka w zimie wiedzie droga w głąb Polesia. W lecie mało ożywiona. Tylko bryki żydowskie krążą między Żytomierzem a Owruczem, w zimie natomiast ruch wielki : na Polesie wiozą wapno, z Po-

121 155,

lesia — klepki, gonty, smołę, grzyby, dziczyznę. Za moczarami następują piaski, za piaskami laski i moczary. Zupełnie tak, jak u Krasickiego :

A za małą górką phsek,
A za piaskiem znowu lasek.

Tak wędrując wjeżdżamy w samo serce dawnej szlachty okolicznej do wsi Waśkowicz, sąsiadujących z Bołsunatni, na uboczu nieco stojącemi. Do niedawna roilo się w tym zakątku od szlachty zaściankowej. Sami siebie nazywali oni „szlachtą okoliczną”, dlatego zapewne, że siedzieli okolicami, grupami w kraju. Dobra, stara ruska szlachta, która z jednaką ochotą służyła Rzeczypospolitej i hulala na Niżu. Z niej wyszli Teterowie i Wyhowscy, ona dostarczała żołnierza najlepszemu Chmielnickiemu i kozakom, z pośród nich wychodzili najzuchwalsi awanturnicy na poszukiwanie chleba i przygód, a później już na początkach XIX. w. aż do drugiej jego połowy, przez koligacje i urzędy wybieralne powstawało z ich łona bundziuczne szlacheckie państwo pańszczyźniane. Niejeden terazniejszy panek ukraiński i podolski pochodzi z niezbyt dalekich protoplastów, którzy w postołach za pługiem chodząc, swoje „obrubne ostrowy” na żyto i owies orywali.

Waśkowscy i Bołsunowscy wspólnie z innymi długie dziesiątki lat prowadzili spór ze starostą z Wielelnik, który ich jako bojarów zamkowych, chciał użyć do robót różnych. Oni nie przeczyli, że są bojarami, ale bojarami równymi szlachcie, bo posiadają nadania za swoje „wysługi” z XV. w. od gospodarów

litewskich i królów polskich i jako właściciele ziemi do robót zamkowych nie chcieli chodzić. Złożyli na to dokumenty i proces wygrali, ale już praw swoich szlacheckich w całej pełni używać nie mogli, gdyż Rosja zagarnęła resztę Rzptej. Zapoznałem się z tą szlachtą w Iskorosti tam przeto słówko o niej powiedziałem.

Trzeba wiedzieć, że droga, prowadząca w głąb Litwy, na Iskorost do Owrucza jest tylko jedna trakt pocztowy. Kto inaczej pragnie się tam dostać, musi jechać przez Łuniniec, bądź przez Kijów i Czerlichów, okazywszy ogromny kawał kraju, zdążać tam koleją. Droga to daleka i nieciekawa. Wolałem wybrać równie długą co do czasu, ale ciekawszą dla lego, że prowadziła przez środek kraju. Ów szumnie nazwany trakt pocztowy jest lichą niezwirowaną drogą, na której tylko w głównych punktach t. j. w Żytomierzu i Owruczu są jakie takie zajazdy, a co ważniejsza jeść można dostać. Zanim się człek od jednego punktu do drugiego dostanie, musi sakwy podróżne dobrze wyładować szynką, chlebem, sardynkami, serem czym można i co się w podróży nie psuje. Inaczej z głodu zginąć można.

Co do mnie, pod tym względem nie miałem pojęcia, ani o Polesiu, ani o kochanej Litwie, to też gdyby nie jajecznicą, byłbym mojej podróży nie opisał z pewnością.

W Waskowiczach zatrzymałem się przy karczmie przydrożnej, ażeby napoić konie. Była to tylko karczma z pozorów. Od czasu wprowadzenia monopolu, wszystkie karczmy żydowskie skasowano jednym po-

ciągnięciem pióra, nie troszcząc się bynajmniej o to, co się stanie z ludźmi pozbawionymi chleba. Ostatecznie, musi się ganić wyzysk żydów, należy się bronić od niego, ale odebrać im środki do życia bez pardonu — to zbyt po moskiewsku. Żydzi po wprowadzeniu monopolu, ze swoich siedlisk i karczem nie ruszyli się — jak gdyby w oczekiwaniu, że wszystko zmienić się może ku lepszemu.

Wszedłem do izby z ciekawości. Stół przy oknie na całą długość izby, lawy przy ścianach — wszystko to dowodziło, że niegdyś było tu pełno ludzi, którzy na tych ławach, przy tym stole sosnowym siadywali. Dziś pusto. Żywej duszy niema. Rodzina żydowska, mieściła się w sąsiednim alkierzu. Były tam tylko matka i córka — ojciec powędrował widocznie za zarobkiem. Zacząłem się rozglądać po kątach. W przepierzeniu oddzielającym alkierz od wielkiej izby niegdyś szynkownej, dojrzałem w kącie pompkę ssącą do piwa i wielki lewar, używany do wyciągania gorzałki z kufy. Leżało to w kącie, jak gruz nieużyteczny. To mnie naprowadziło na myśl, że mam przed sobą właśnie skasowaną karczmę.

— I wam odebrali karczmę? — spytałem „bałabusty”.

Spojrzała na mnie z ciekawionem okiem, usiłując zgadnąć, skąd mogę o tem wiedzieć.

— Nu — rzekła powolnie patrząc mi w oczy. A pan skąd wie?

— Wiem.

Żydówka westchnęła.

— Powiedzieć wy mnie, z czego wy żyjecie?

Bałabusta zaczęła głową kiwać.

— Oj- oj — co to za życie... Nu, trzeba żyć... Pan Bóg wie, co robi.

Zdziwiłem się tej rezygnacji prawdziwie wschodniej. Żydówka, jakby zrozumiała moje zdziwienie, odpowiedziała przypowieścią. Stała pośród izby i uśmiechnięta smutnym uśmiechem mówiła powoli:

— Nu... pan wi... Pan Bóg nikomu umrzeć nie da... Pan wi, była taka skała... nu, kamień wielki, ale taki wielki, że go nikt nigdy z miejsca ruszyć nie mógł. Ale czego ludzie nie zrobią? Podsadzili pod niego proch i kamień rozleciał się w kawałki. Nu, jak wun się rozleciał, aż patrzą pod nim jakieś małe robaczki.

Spojrzała na mnie, jak gdyby chciała zapytać, czy rozumiem, a potem dodała:

— Widzi pan — zdawało się, że ten kamień taki ciężki i wielki, że wszystko wydusi, tymczasem nie. jak Pan Bóg nie dał zginąć tym robaczkom, tak i nam nie da.

Doprawdy, jest to wiara wielka i wruszająco głęboka, jakże ten naród nie ma być przywiązany do religii swojej, kiedy ona jest dla niego wszystkim — państwem, narodowością, wiarą w przyszłości nadzieją w smutku.

Przejdziemy jednak od poezji do życia i powtórzmy sobie pytanie: z czego oni żyją? Każde głupie i podle prawo pociąga za sobą podle następstwa. Człowiek, któremu się krzywda dzieje, dąży wszelkimi siłami do zmniejszenia jej następstw. Czyż żydzi mogą robić inaczej? Nie. Oni muszą prowadzić walkę

O życie bezwzględna, zażartą, ze szkodą innych. Odepchnięci od karczmy, rzucili się do handlu we wsiach. Niema literalnie wsi, gdzieby nie było szyl-du z napisem: *Mielocznaja lawoczka*, albo *Tabacznaja laśóczka*.

Dawniej dla załatwienia drobnych swoich potrzeb, chłop jechał do miasteczka, dziś ma wszystko na miejscu. Handel jest po największej części wymienny, najniebezpieczniejszy ze wszystkich form. Kto miał większy kapitał, włożył go w handel drzewny, bydłem, smołą. Słowem każda gałąź opanowana przez żydów, a dodać trzeba, że wszędzie panuje taka sama demoralizacja, jaka panowała w karczmie. Chłop, co tylko posiada w domu, niesie do żyda na wymianę lub na sprzedaż. To też dawniej, siedząc w karczmie, rujnował tylko chłopą, a dziś rujnuje kogo może, byle żyć.

Zresztą, reforma monopolu wódczanego nie zmieniła wcale stosunku chłopą do żyda. W tak zwanej „monopolce” czyli w sklepie, gdzie sprzedają wódkę, pić nie wolno. Co chłop ma robić? On przyzwyczajony pić w towarzystwie. Nie Wydzie przeto na środek drogi i nie wypije gorzałki. Idzie więc do sąsiedniego żyda, do dawnej karczmy. Tam nie wolno sprzedawać wódki, ale wolno pić. Zasiadają więc całe gromady za stołem, zjawia się chleb, ryba, sól, a potem gorzałka kupiona przez żyda w „monopolce”, rozprowadzona wodą i sprzedana włościanom. Niechże kto skontroluje żyda i chłopów. Pierwszemu wolno mieć gorzał-

kę na własny użytek, a drugi kupił w rządowym sklepiu.

Tandem, powtarza się dawna historja, z tą tylko różnicą, że eksploatacją chłopą zajmuje się pośrednio rząd sam.

Rok 1897.

Śląsk austriacki.

L

Przebudzenie się.

Dałem tytuł niewłaściwy tej idei, z którą pragnąłbym zapoznać czytelników. Nie znaczy to bynajmniej, abym sądził, jakoby czytelnik, któremu kartki moje w ręce wpadną, dopiero odemnie dowiedzieć się mógł o tej pracy, jaką cicho, poważnie i spokojnie prowadzi społeczeństwo śląskie w celu wzmocnienia i uświadomienia siebie. Pragnę tylko nieuprzedzonemu czytelnikowi wskazać niejako mój punkt patrzenia.

Z podróży mojej na Śląsk, z pobytu zarówno wśród ludu, jak i wśród pracowników, wyniosłem to przekonanie, że Śląsk nie potrzebuje ani odradzać się, ani przebudzać się, gdyż przez cały długi sześciowiekowy okres obcych rządów, iskra życia narodowego nie wygasła w nim nigdy. Z braku państwowej podstawy do życia nie miało ono możliwości rozwinięcia się i wydania tych owoców, jakie praca myśli i ducha ludzkiego wydaje. Porównałby je można

do siły żywotnej, spoczywającej niewidzialnie w najdrobniejszym ziarnku; ona nie potrzebuje odradzać się, bo żyje, potrzebuje tylko odpowiednich warunków, aby żywotność swoją objawić.

Ze Śląskiem działo się wprawdzie inaczej — o tyle inaczej, że kielki życia narodowego trzymały się przy ziemi, a te jednostki, które miały siłę rozwinąć się i wzmocnić, pracowały — nie dla swoich. W losie ich, w ich życiu i pracy tkwiły można powiedzieć pierwiastki tragiczne: porównałbym tych wszystkich, którzy dziś noszą jeszcze polskie nazwiska do sokołów oślepionych ręką sokolnika na to, ażeby wzrok straciwszy, z niepojętą i wściekłą zapamiętałością rzucały się na własnych braci.

Nic nie pomogło: — ani napór urzędowej niemyczyny, ani szalone miotane się renegatów, ani rzućcie się oślepionych sokołów na gniazdo ojczyste — idea narodowa na Śląsku żyje, a co ważniejsza umrzeć nie może. Z tym faktem trzeba się pogodzić. Przytuliła się ona przy ziemi-matce, w zagrodzie chłopstwa polskiego, tu, dzięki jego ciepłu i pracy, wyrosła, nabrała siły i dziś z atknęła zwycięski sztandar nad piastowską strzechą. Te same ręce chłopskie, które budowały Polskę, dziś zakładają nowe zręby i podwaliny pod stary gmach.

Nie chcę badać ani genetycznie, ani historycznie postępu tej idei na Śląsku, której nadałem miano przebudzenia się. Ja stoję na gruncie chwili dzisiejszej — chwili, w której ta idea żyje, rozwija się, potężnieje co dnia niemal — nie w imię jakiejś agitacji, uporu

narodowego lub złudzenia, lecz w imię praw przynależnych do życia - każdemu społeczeństwu.

Tak więc stoimy wobec zjawiska dziejowego, nawskroś nowożytnego, ale bynajmniej nie odosobnionego. Zrozumieć tego nie chce tylko garstka urzędników niemieckich, kupka mieszczaństwa napływowego, której się zdaje, że prowadząc agitację przeciwko narodowości polskiej na Śląsku, broni jakiegoś cywilizacyjnego posterunku i — smutno powiedzieć — renegaci polscy. Duchowe ich powinowactwo na całym świecie jednakże ma podstawy moralne; czy noszą oni przeto tytuł „baszy tureckiego” u Bułgarów i Serbów, czy wysokiego „czynownika” w Rosji czy wreszcie „szczerego Rusina” — wyrzekającego się jednak języka swego na korzyść „braterskiej” Moskwy, opłacającej, braterstwo rublami — wszędzie i zawsze stają oni po stronie tego porządku, który im ułatwia wygodną egzystencję materialną.

Owem zjawiskiem dziejowej, jest rozbudzone poczucie narodowościowe tam i tu, gdzie je uważano za wygasłe, lub gdzie rozbudzenia się jego nie przewidywano. Jest ono jedną z największych i najpiękniejszych zdobyczy XIX. wieku. Można je uważać za wykwit indywidualizmu, który jest tem dla jednostki, czem świadoma idea odrębności, rozsnuta na tle prawnopństwowym, dla nowożytnego pojęcia narodowości.

Już począwszy od wielkiej rewolucji podstawa i istnienie nowożytnego państwa stale się zmienia, a jedną z najwybitniejszych zmian jest powolne odnawianie się maszyny administracyjnej w najobszer-

niejszym znaczeniu. Władza od jednej warstwy przechodzi powoli do wszystkich, składających te lub owe społeczeństwa. W jednym miejscu zwyciężył dawno prąd demokratyczny, w innym żywioł konserwatywny trzyma się jeszcze u góry, a fala nowego życia rozbija samą siłą ewolucji starą rudę europejskiego ustroju państwowego.

Nikt tych prądów nie wywoływał, one przyszły same, jako rezultat sił, pracujących w pewnym społeczeństwie lub narodzie jako akt sprawiedliwości państwowej. Uderzał on w życie tak samo, jak fala uderza o brzegi morza z większą lub mniejszą siłą, jak płynie woda w korycie rzeki. Zasługa ludzi jest tylko w tem, że potrafili ująć te prądy i zużytkować na pożytek powszechny.

Skutkiem tego nastąpiło tak zwane „odrodzenie się” Włoch, Grecji, Bułgarji, Serbii, rozpoczął się w tym samym kierunku ruch narodowościowy wśród Słowian, budzi się do życia samodzielne Armenia, a nawet Prusacy — nie Bismarkowcy wprawdzie — wołają o prawa do życia, języka, literatury. Tkwi w tem zjawisku myśl prosta, jasna i logiczna: jak człowiek, kiedy wyrośnie i dojrzeje, szuka warunków samodzielnego życia tak samo czyni naród, tak nawet odrębne społeczeństwo, rzucone nieraz jak statek wśród obcego żywiołu i narażone ustawicznie na utratę życia.

Politycy — szczególnie rosyjscy — używali bardzo zręcznie idei narodowościowej za sztandar agitacyjny, łudząc narody pozbawione samodzielności, a pragnące jej, jak fata morgana nieobitych żeglarzy.

Z różnych sfer.

Wyzyskali oni i wyzyskują te idee dla własnych celów państwowych, pracując w ten sposób nieświadomie, lecz w imię konieczności dziejowej, nad rozbiciem własnego potężnego ogromem państwa, zlepionego nie siłą prawa, lecz nadużyciem prawa.

Śląsk wystąpił na arenę życia narodowego tylko pod wpływem rozbudzonej świadomości. Na szczęście nikt tu nie agitował (w dzisiejszym pojęciu), nikt nie bałamucił niedojrzałymi hasłami skupionego w pracy społeczeństwa — obyż ono i nadal zdrowym swoim rozumem potrafiło usunąć od siebie nieproszonych pomocników, nieproszonych gości, narzucających się przyjaciół, roznosicieli światła, które kopci i swędzi, siewaczy wielkich myśli, którzy ciągle mówią ludziom o chlebie, a karmią trucizną — niezgody wewnętrznej.

Zaznaczyłem powyżej zupełnie nowożytnie zjawisko dziejowe: dojrzewania i uświadamiania narodowego i wskazałem niejako przyczyny tego zjawiska. W każdym jednak takim społeczeństwie działają także przyczyny miejscowe, które zbliżają i oddalają u-rzeczywistnienie się pewnego faktu dziejowego.

Jakież mogły być przyczyny uświadamienia narodowego na Śląsku, które wywołały poczucie łączności szczepowej i narodowej w tej części dawnej Polski, która — jak się wszystkim zdawało — padła łupem polityki krzyżackiej?

Na pierwszy plan wysuwają się dwa czynniki doniosłego znaczenia: brak szlachty i religia.

Zastanówmy się nad niemi chwilę. Brak szlachty, czyli jeżeli się to komu lepiej podoba, właścicieli wielkiej własności ziemskiej, jest zjawiskiem bardzo

charakterystycznym na Śląsku austriackim. Ginęła ona powoli — polską własność ziemską drogą nie walki, lecz kupna, zagarniali Niemcy, ażeby z kolei ustąpić miejsc chłopowi polskiemu. Mniejsza z tem, jakimi liniami ewolucja ta odbywała się ; dość, że się odbyła. W obecnej chwili można powiedzieć, iż jest tylko trzech wielkich właścicieli ziemskich : tak zwana Kamera Arcyksiążęca (dobra lenne dawnej Rzeczypospolitej), obejmujące 13 mil Q baron Larisch, posiada 7 mil •, a książę Sułkowski (Niemiec a la Bukowski) około 3 mil [j. Średniej własności szlacheckiej prawie niema, a ci co są, bankrutują do reszty i wy-sprzedają się. Kilku zaledwie z pośród nich nosi polskie nazwiska, nie dające się zniemczyć, jakby na świadectwo, że można zaprzeć się własnego języka i narodowości, ale niepodobna ich zniszczyć.

Na miejsce zanikającej doszczętnie szlachty, wysunęła się przodem średnia własność ziemską chłopską, wydzieloną z wielkiej lub powstała przez komasację. Nie rzadko też można tu znaleźć osadę chłopską od 30 — 100 i więcej morgów obejmującą, a obok zwykłą własność drobną — nie tak jednak rozdrobnioną jak u nas.

Nie myślę bynajmniej zwalczać cywilizacyjnego stanowiska szlachty wogóle. Nie stworzyła ona wprawdzie państwa nigdzie, ale powoli kierownictwo sprawami państwowymi w swoje ręce ujęła, zdobyła władzę, a działając na korzyść państwa i swoją — na niekorzyść innych warstw ludności działała. To nie są cechy właściwe naszej tylko szlachcie, lecz wspólne szlachcie całej Europy, a nawet śmiem po-

wiedzieć, całego świata, bez względu na to, jak się ta warstwa, dzierżąca władzę, nazywała. Ona stawiała wprawdzie po stronie idei państwowej, ale tej idei podporządkowywała inne warstwy i siłę ich zużytkowała dla niej; ona pierwsza sformułowała pojęcie narodowości i w imię wolności państwowej, rozumianej stosownie do epoki dziejowej, występowała w obrońnię praw narodowych do życia samodzielnego. Gdzie tych praw uznać nie chciano, tam prześladowano ją lub gnębiono — jak w Rosji i w Prusiech. Mniej odporni lub silni stawali się obojętnymi, lub jawnie przechodzili do obozu nieprzyjaciół, jako zwyciężeni. Niewola demoralizuje i upadła — tego chyba dowodzić nie potrzeba.

Te same prawa społeczne, te same przyczyny w większym lub mniejszym stopniu działały także na wynarodowienie się szlachty śląskiej. Nazwałbym je przyczynami natury politycznej. Były jednak inne jeszcze — ekonomiczne, nad analizą których zastanawiać się nie będę. Wszystko to razem wzięte miało ten ostateczny wynik, że ziemię trzeba było z rąk wypuścić. Sąsiedzi przychodzili do posiadania jej, a na szczęście sąsiadami byli chłopci polscy. Oni przeto uratowali polską ziemię. Stało się to, co się dzieje w rodzinie: marnotrawca lub człowiek lekkomyślny musi po pewnym czasie ustąpić majątek pracowitszemu. Nikt nie przypuszczał wówczas, jaki silny związek istnieje między ziemią a tym, który ją kocha i orze.

Gdy zabrakło szlachty, zabrakło wprawdzie obrońców narodowości i praw, ale została ziemia pol-

ska i chłopci polscy. Tam gdzie niema wódza, wojsko rozbiega się do domu i czeka, póki je ktoś zwoła. Wodzem była szlachta. Nie stało jej i nie było komu rozprószonych zwołać. W tej pozornej cichości dojrzała nowa warstwa do życia politycznego i narodowego i wzięła kierownictwo w swoje ręce — bez agitacji, bez nawoływań, bez śladu nienawiści do Niemców. Żał tylko można mieć do nich, że tego ruchu nie rozumieją i wartki strumień życia starają się nawrócić — gwałtem.

Drugim czynnikiem, który przyczynił się do urzeczywistnienia narodowego Śląska była, jak powiedziałem, religia — nie katolicka i nie ewangelicka, obie razem. Siłą działającą w tym kierunku nie był wcale ten lub ów dogmat religijny, ale język, którym się ksiądz posługiwał. Opowiadają, że jakiś podróżnik w Ameryce spotkał w ustronnem i bezludnem miejscu Poiaka, który, acz otoczony obcym żywiołem, mówił jednak bardzo pięknie po polsku. Zapytany jakim cudem, nie słysząc przez kilkadziesiąt lat języka ojczystego, tak pięknie nim władał, człowiek ów pokazał jedyną książkę, którą z rozbicia życiowego uratował — była to Biblia. „Tę książkę czytam zawsze głośno” — odpowiedział.

Słowa z Biblii powtarzał po polsku przez kilkadziesiąt lat zarówno ksiądz katolicki jak i ewangelicki. Oni bez różnicy wyznania — a często nieświadomie, przechowali w sercu polskiego chłopca miłość dla ojczystego języka i dźwiękiem mowy, brzmiącej publicznie już z kazalnicy, przypominali, mu dawne, świetne dzieje i szacunek ku nim budzili. Chłop mo-

dlił się z polskiej książki, czytał *Żywoty świętych Skargi*, *Postyllę* Mikołaja Reja, nie wiedząc może nic o tem, że czyta największych naszych pisarzy, że mimowoli uczy się mówić i myśleć w najpiękniejszej polszczyźnie. To go uratowało. To nadało jego polszczyźnie, tu i ówdzie skażonej germanizmami, cechy oryginalne, archaiczne, a mowa polskiego chłopca na Śląsku dlatego może po dziś dzień zwrotami swemi przenosi nas żywo w najpełniejszy okres naszego życia politycznego i umysłowego.

Tak więc w pracy dziejowej, narodu lub odłamu jego, chociażby ona długi czas nie była dostrzeżoną przez nikogo, czynniki ujemne i dodatnie schodzą się razem i wspólnie wytwarzają nowe prądy życia.

11.

Pionierowie.

Sprawę odrodzenia Ślązka — jeżeli już mamy posługiwać się tym wyrazem — wzięła w ręce nieliczna gromadka ludzi wytrawnych, spokojnych w pracy, świadomie i gruntownie przekonanych o tem, że lud śląski jest kość z kości polskiej, że od kilkunastu wieków, od chwili prawie kiedy istnienie jego zanotowały dzieje, siedzi na prastarych siedzibach Białychobratów. Posiadają oni tę energię czynu, która nie szarpie się bez potrzeby, nie zużywa sił, nie szuka walki z kogucią zaciętością, lecz postawiwszy cel przed sobą, dąży do niego wytrwale, a rozumną wytrwałością łamie przeszkody.

Z żalem muszę powiedzieć, że nie poznałem wszystkich, a nawet nie poznałem wielu; niektórzy przesunęli się niejako przedemną, tak, że ledwie główne linie ich profilu duchowego zapamiętać zdołałem, lecz dla tych, z którymi mnie los zetknął, powziąłem głęboki szacunek.

Wypadek zbliżył mnie najpierw z Dyrektorem

gimnazjum polskiego Parylakiem. Poznałem go w chwili pognębienia i niepewności, kiedy Langhauns, inspektor szkolny dla Śląska, wynajdował pracowicie haczyki urzędowe jeden po drugim, ażeby łeb urwać hydrze gimnazjum Cieszyńskiego. Pan inspektor nie domyśla się zapewne, ile swoim nietaktownym zachowaniem się przysporzył nieprzyjaciół rządowi.

Ale nie o to chodzi. Wszyscy byli pewni, że gimnazjum otwarte zostanie, dary w książkach do Biblioteki szkolnej i do nauki napływały ze wszęch stron, blisko 100 dzieci czekało na rozpoczęcie kursu, rodzice domagali się ustawicznie, kilku błaznów niemieckich z polskimi nazwiskami zrobiło sobie sport z chodzenia do piwiarni i żartowania głośnego na temat gimnazjum. Rusin Stanisławski, redagujący niemiecką gazetę „Silesia”, wydawaną przez Czechę Karola Prochaskę •• prawdziwy galimatias narodowy! — dwa razy na tydzień regularnie przemawiał do swoich czytelników w tonie urzędowo-chłodnym, że z gimnazjum w Cieszynie może jeszcze nic nie będzie, gdyż właściwie potrzebnem nie jest... Zupełnie co innego gimnazjum ruskie, bo przecież przyjaciół Moskwy gdzieś trzeba przytulić.

W takiej atmosferze moralnej Dyrektor Parylak spędzał dni swoje w Cieszynie. Nic przeto dziwnego, że się wydawał pognębionym. Na kierownika młodzieży posiadał on nieocenione przymioty — oprócz doświadczenia pedagogicznego — miękkość charakteru i gorącego ducha polskiego, okiełzanego rozwagą i doskonałym zrozumieniem ogólnego położenia Śląska, do czego stanowisko swoje trzeba było przy-

stosować. Człowiek mniej równy i mniej taktowny byłby na tem stanowisku bardziej szkodliwym, niż pożytecznym.

Ksiądz Londzin, sekretarz Macierzy śląskiej jest młodym człowiekiem, bo zaledwie 32. lata liczącym. Szczupła jego i regularna twarz posiada, powiedziałbym, wyraz niewieści. Gdyby nie spokój tej twarzy i nie energiczne ściśnięcie ust, możnaby go wziąć za młodzieńca. Ksiądz Londzin obdarzony jest nadzwyczajną energią czynu i stanowczością; decyduje się w jednej chwili i zawsze potrafi znaleźć praktyczny punkt wyjścia, nawet wtedy, gdy jest paraliżowany w swoich czynnościach powolnością innych. Wszyscy przewodnicy teraźniejszego ruchu narodowego na Śląsku pracowali zgodnie dla sprawy gimnazjum cieszyńskiego, ale o ks. Londzinie można powiedzieć, że je stworzył. Widziałem akta odnoszące się do gimnazjum w Cieszynie i podziwiałem pracowitość, pilność i wytrwałość tego młodego księdza, stworzonego jakby umyślnie do tej zagmatwanej akcji. Dziś są to już dokumenta historyczne; nie wątpię, że dostaną się one kiedyś w ręce poważne, a dojrzały umysł przyszłego dziejopisa Śląska uczyni z nich jedną z najciekawszych kart budzenia się idei narodowościowej i walki z nią nie państwa, lecz żywiołów i prądów egoistycznych.

Nadzwyczajna jego pracowitość w sprawach publicznych nie przeszkadza bynajmniej wykonywać z wzorową akuracją wszystkich czynności odnoszących się do jego kapłańskiego powołania. Poznałem go na ulicy przed bramą karwińską, kiedy z mie-

szkania swego na placu proboszczowskim, po odprawieniu już jednej mszy, szedł ubrany w komeżkę na naukę. Szedł prędko, gorączkowym krokiem, tak, że tłum ludu, idący za nim, ledwie mógł nadążyć.

W życiu i w domu nie widać nawet śladu zbytku. Kieliszek wina uważa za coś nadzwyczajnego.

Posła Cieńciały poznać nie mogłem, gdyż figielki Langhannsa zmuszały go do ustawicznych podróży między Krakowem, Lwowem a Opawą. Postanowiłem natomiast odwiedzić ks. Fr. Michejdę, którego poznałem roku zeszłego na Zjeździe literatów i dziennikarzy. Nazwisko jego znane dobrze, otoczone szacunkiem i zasłużone na polu pracy uświadamiania ludu i wykształcenia jego fachowego. Ks. Fr. Michejda jest księdzem ewangelickim — a daj Boże, aby Śląsk miał takich księży jak najwięcej.

Wydaje on w Cieszynie „Rolnika śląskiego” wraz z dodatkiem „Przegląd polityczny”. Dla kraju rolniczego, w którym istnieje jedna tylko szkołka rolnicza -- i to niemiecka, pismo to posiada nadzwyczajne znaczenie: nietylko szerzy bowiem wiadomości fachowe, niezbędne w formie przystępnej dla ludu wiejskiego, lecz jest także rozsądnikiem polszczyzny. Co „Gwiazdka Cieszyńska”, redagowana przez ks. Londzina, robi dla ogólnego ukształcenia włościan śląskich, to uzupełnia „Rolnik” w kierunku fachowym. Niedawno ks. Michejda umieścił w dodatku do „Rolnika śląskiego” szereg artykułów o potrzebie gimnazjum polskiego w Cieszynie, owianych duchem takiej prawości obywatelskiej i taktu, że śmiało możnaby je za

wzór wystawić, w jaki sposób prowadzić trzeba polemikę zasadniczą. Jestto walka o prawo umotywowana — bez złości, bez gniewu, bez stronnicych uszczypliwości. Tylko przy takich zaletach umysłowych, jakie ks. Fran. Michejda posiada, możebna jest praca na polu piśmiennictwa na Śląsku. Nie trzeba zapominać ani na chwilę, że jest to społeczeństwo niejednolite pod względem religijnym; większość stanowią katolicy, mniejszość ewangelicy, ale jedni i drudzy są Polakami, czują to doskonale i nie należy walkami religijnymi obniżać wartości pracy, prowadzonej teraz na Śląsku i nie rzucać nieoględnie w łono społeczeństwa tutejszego iskiereki, na którą czyhają pp. Haase, Langhanns i im podobni, aby przy jej pomocy Polaków przerobić na Niemców. Pozwólmy iść do nieba każdemu swoją drogą i wierzyć, że jego droga jest najlepszą. Niech się nikomu nie zdaje, ani na chwilę, że ta lub owa religia czyni obywatela lepszym. Mielśmy w naszej Polsce największych mężów stanu katolików, ale i pośród ewangelików nie brakło tak znakomitych ludzi, jak Rejowie, Gostomscy, którzy pracę i życie na usługi wspólnej Ojczyzny nieśli.

Pojechaliśmy powozem — byłem w towarzystwie dwóch kandydatów na posady profesorskie w mającym się otworzyć gimnazjum — do Nawsia, gdzie ks. Fr. Michejda jest proboszczem. Pogoda sprzyjała nam bardzo — ciepła, słoneczna, cicha jesień patrzyła na nas z pogodnego nieba, z gór piętrzących się przy drodze, ze szczytów Beskidu, których południową panoramę mieliśmy przed sobą. Błado-szafirowe mgły czepiały się wierzchołków tych samych gór, które na

prastarą Chrobację spoglądały niegdyś. Uprzedziliśmy wprawdzie ks. Michejdę telegramem, że przyjedziemy 0 siódmej wieczorem, ale zapomnieliśmy dodać, że przyjedziemy powozem, — skutkiem tego naraziliśmy uprzejmego gospodarza na to, że na dworcu nas czekał, gdy my minawszy dworzec w Nawsiu, wprost na probostwo zajechaliśmy. Skutkiem zatrzymywania się tu i ówdzie, a szczególnie w Bystrzycy u brata ks. Fr. Michejdy, który nam ciceronował przy zwiedzaniu spółkowej mleczarni, spóźniliśmy się.

Siedziba ks. Fr. Michejdy uderzyła mnie ciszą i spokojem. Odsunięta nieco od rzeki Olzy, która szeroką doliną zdążyła do Cieszyna, schowana wśród drzew i sadu tuż obok kościoła, miała w sobie pociągający urok tak pożądanej w życiu naszym ciszy. Pracowita ręka księdza proboszcza nadała czworogrannemu, niekształtnemu budynkowi probostwa cechę poważną tem bogactwem włożonej pracy, które z każdego miejsca widać. Niema tu nietylko jednej piędzi ziemi niepotrzebnej i niezżytej, lecz ani jednego cala przestrzeni, któryby nie nosił śladów rozumnej pracy człowieka. Oprócz drzew owocowych w malutkim sadzie, mury zachodnie i południowe obciążone są szpalerami, a tam gdzie już żadna pożyteczna roślina rosnąć nie może — od północy — wysoki mur dziedzińca kościelnego migoce purpurą i złotem jesiennych liści dzikiego winogrodu.

Cały sposób życia odpowiada prostocie obyczajów i szlachetności umysłu gospodarza domu. Ład, porządek, harmonia we wszystkim. Nie widać tego bezcelowego biegania, które tak charakteryzuje naszą

gospośię, pełną dobrego serca, gościnności — i często nieporządku w domu. Ten ład domowy odpowiadał zupełnie łaadowi i harmonii umysłowej i duchowej księdza Michejdy. Tu, w tym zacnym domu, słyszałem po raz pierwszy głośną modlitwę, wspólnie wysłuchaną przez gości i domowników, o błogosławieństwo rodzinie, społeczeństwu i całemu narodowi polskiemu. Było coś w modlitwie owej dla mnie, przybywszy od tej strony Polski, którą Bolesław Wielki słupami żelaznymi odgraniczył od wrogów, głęboko wzruszającego, rzewnego i podnoszącego ducha swoją biblijną prostotą.

Nie będę opisywał wycieczki pieszej do sąsiedniego Jabłonkowa, asystencji przy kopaniu ziemniaków z próbnymi posiewów, zarządzonych przez tutejsze Towarzystwo roln. i powrotu, boby mi to zawiele zabrało miejsca.

Wyjechałem z Nawsia, pokrzepiony na duchu, silniejszy wiarą w pomyślną przyszłość społeczeństwa, którem kieruje rozum, rozwaga, wyrozumiałość i prawdziwa religijność takich księży, jak ks. Fr. Michejda.

Z kolei udałem się w przeciwną stronę Śląska — ku Boguminowi do Gnojnika, Tam miałem poznać księdza Paździorę, jakoteż nauczyciela ludowego Jana Kubisza, poetę śląskiego.

Ksiądz Paździora nie odgrywa w ruchu śląskim roli wybitnej, jest jednak uważany za człowieka bardzo gorąco oddanego sprawie ludowej i pracującego gorliwie nad podniesieniem jego poziomu wykształcenia. Założył on w Gnojniku Kółko rolnicze — katolickie. Nie wydaje mi się to bardzo szczęś-

wym pomysłem. Wysoko cenię żarliwość religijną i skupianie ludzi pod godłem wiary, tam gdzie lud, jak na Rusi, lub u nas, walczyć musi z falą żydowską. Śląsk jest pod tym względem szczęśliwy — żydów na wsi nie ma prawie, a Polacy na własnej ziemi są zawsze Polakami. Na miłość Boga, nie dzielcie ludzi, ale łączcie !

Plebania leży o kilka minut drogi od dworca kolejowego. Ktoś nam otworzył i znikł tak prędko, że ledwie grzbiet jego na wschodach dostrzedz mogliśmy. Trudna rada. Weszliśmy na wschody i zapukali do drzwi — cisza. Najodważniejszy z nas otworzył drzwi — i ujrzelśmy jakąś postać męzką, tyłem ku nam zwróconą, stojącą przy łóżku i zajętą poprawianiem fryzury. Nie widzieliśmy twarzy słyszeliśmy tylko nawoływanie do cierpliwości: zaraz, zaraz... Był to ks. Paździora. Zwrócił się ku nam z uprzejmym uśmiechem i pierwsze słowa jakie przemówił po przedstawieniu się naszym były : a cóż tam z gimnazjum słychać ? Zdaliśmy sprawę i rozmowa weszła na ogólne tory położenia Śląska, potrzeby oświaty i t. d.

Że to była pora podwieczorkowa, gościnny gospodarz przeprosił nas, że gospodyni w domu niema i jął się sam do znoszenia szklanek. Przedemną postawił mniejszą, przed towarzyszami mymi — większe. Nie wiedzieliśmy co to wszystko znaczy. Tymczasem rzecz miała się bardzo prosto: gościnny gospodarz rozklasyfikował nas na dwie grupy, że tak powiem, na oko. Po chwili wrócił, niosąc dwie butelki. „Wy — zwrócił się do młodzieży — dostaniecie piwo, a pan wino". Zastosowałem się do zwyczaju domowego.

Niewyczerpana gościnność ks. Paździora nie skończyła się na tem. Zmartwiony tem, że gospodyni w domu niema, opuścił nas i znowu wrócił, niosąc suche ciastka na przekąskę. Nie bardzośmy na ciastka spoglądali, bośmy poprzednio na dworcu kolejowym posilili się nieźle. Uprzejmy gospodarz zapraszał do ciastek, ostrzegając jednak, że są twarde i można łatwo zęby połamać, szczególnie, gdy ktoś ma wprawiane. Z całego towarzystwa ja tylko jeden, nie zaniedbując rozmowy, ciastka zmiatałem...

Pokrzepiwszy nie tyle ducha naszego, ile ciało, udaliśmy się piechotą do poety śląskiego Jana Kubiśza, który o parę kilometrów od probostwa mieszkał. Na teraz nic o nim jednak nie będę pisać — poświęcę mu niezadługo trochę więcej miejsca i czasu.

Grobowiec julii w Weronie.

Legenda i rzeczywistość.

Być w Weronie, a nie widzieć grobowca Julii, byłoby to samo, co być w Rzymie, a nie widzieć papięza. Wędrują przeto do tego grobowca zarówno zakochani i szczęśliwi wzajemnością, jak i zdradzeni — młodzi i starzy. Wszystkich prowadzi jeden wspólny, najbardziej może cywilizacyjny czynnik — ciekawość.

Jaka właściwie kategoria ludzi odwiedza ów grobowiec? Przedewszystkiem i najwięcej ludzie wykształceni, ci, którzy bądź czytali dramat Szekspira, bądź widzieli go na scenie, bądź wreszcie treść jego znają skądinąd. Ci wszyscy są już pod urokiem pewnej idei, pod wpływem gorących słów miłości Julii i Romea, poświęcenia się kochanki, odwagi młodego Werończyka, — słowem, przychodzimy tam pełni uczuć i myśli Szekspira, nieraz upojeni własnym szczęściem lub zmęczeni przeżytem już marzeniem. Taki nastrój rzadko pozwala nam wyobrazić sobie inne tło realne, niż stworzone przez wielkiego poetę. Pod wpływem

ogromu uczucia, jakie nas otacza, tracimy zdolność obserwacji i analizy, zapatrzeni jesteśmy zwykle w jeden punkt — w ideę Szekspirowską. Człowiek potrzebuje złudzeń i gotów chętnie uciec, choćby w krainę Snu Nocy letniej, byle tylko wyrwać się z powszedniości codziennego życia.

Znalazłszy się w Weronie, postanowiłem odwiedzić ów sarkofag słynny. Miałem w głowie bajkę Szekspira, wyrażając się językiem krytyków, nic więcej ze sobą, żadnego przewodnika, nawet czerwonego Bedakera. Były po temu racje. Przedewszystkiem czuję pewnego rodzaju wstręt do wszelkich żywych przewodników, bo zdaje mi się zawsze, że jakiś cień obcy i zimny sunie się za mną, a słowa jego robią wrażenie chłodnych kropel wody, spadających na gorące ciało. Z wrażeniem trudno walczyć. Włoski przewodnik jest trochę podobny do kupca na wschodzie, wykrzykującego przed kramem, zawsze jednakim głosem, wszystkie swoje towary. Nie dusza ludzi obchodzi go, lecz pieniądź przechodniów.

Wsiadam tedy do powozu, mówię krótko: Via Cappucini, tomba di Julietta, i jadę — nie wiem nawet, w jaką stronę miasta. Wysiadam — rozglądam się. Wcale nie poetyczne ustronie. Na lewo od drogi widzę obszerny, równy plac, wśród którego stoi długi, parterowy, niziutki budynek. To styl XIX wieku — wykwit cywiliizacji nowoczesnej — koszary wojskowe, długie, sztywne, zimne, bezmyślne. Nie pomyliłem się. Idę tedy w głąb dziedzińca, spotykam tego lub owego, pytam i dowiaduję się, że grobowiec Julii znajduje się tuż za murem, który dzieli jakiś

Z różnych sfer.

mały klaszorek od dziedzińca koszar. Poinformowano mię równocześnie, że ów dziedziniec był niegdyś ogrodem mnichów, ale dla mnichów tak mało miejsca potrzeba ! Zabrano więc ogród na koszary. Z prawej strony od wejścia na dziedziniec, w murze znajduje się furteczka. Otworzono nam i znaleźliśmy się w sanctuarium miłości.

Jest to malutki — nie wiem, jak dokładnie powiedzieć — może dziedziniec klasztorny, na którym zaledwie kilkanaście osób pomieścić się może. Z lewej strony, w głębi, między dwoma wysoko wznoszącymi się murami, wśród czterech cienkich kolumn, zupełnie nowożytnych tak że jeszcze zachowały połysk świeżości, stoi, czy leży, na kilkocentymetrowym podwyższeniu, coś podobnego z kształtu do wanny z lichego, plamistego w ziarnka marmuru. Wnętrze tej wanny wypełnione jest biletami wizytowymi kobiet i mężczyzn najrozmaitszych narodowości. Nie brak na nich napisów — smutnych, lub szczęśliwych, zawsze tylko okolicznościowych. Nie trudno było domyśleć się, że to właśnie miał być grobowiec Julii. Parę krzaków laurów i malutkie krzaczyste tuje trochę melancholijnie zieleniały przy murze. Gdyby nie jasny lazur nieba, wiszącego nad głową, nie odrobina zieleni, myślałbym, że jestem w krużganku kościelnym — trochę ponuro, cicho, jak na cmentarzu. Na jednej ze ścian wisi portret takiego samego pendzla, jakim u nas, po dworach Ukrainy i Podola, malowano w XVIII w. antenatów spanoszonego drobiazgu szlacheckiego. Powiadają, że to ktoś z rodziny Julii, ano, tak być musi, skoro powiadają.

Zjawia się i cicerone, bo we Włoszech każdy jest po trosze ciceronem, i zaczyna prawić o tragicznych losach Julii. Tu, w tym grobowcu — opowiada z żywą gestykulacją — uśpiona lekarstwem, zadaniem przez mnicha, zasnęła, a gdy po pewnym czasie, Romeo z mnichem przyszli, ażeby ją obudzić — już się nie obudziła. Czy może być szczęśliwsza śmierć ! Jedną z naszych bardzo zdolnych poetek, Narcyzma Żmichowska, w kilkaset lat po tragicznej śmierci zakochanej Julii, pisała, że największym szczęściem : „być kochaną, umrzeć młodo”... Julia zasnęła z pocałunkiem na ustach kochanka, z nadzieją, że pocałunek ją obudzi — i wśród tego upojenia zasnawszy, nie obudziła się więcej. Doprawdy, trudno o śmieć spokojniejszą i bardziej poetycką.

Taka legenda unosi się nad grobowcem Julii. Jest ona nawskróś ludzką, tak że, gdyby nawet nie istniała nigdy jako rzeczywistość, gdyby ją tylko twórcza wyobraźnia poety stworzyć miała, to i wówczas nie przestałaby być prawdziwą.

Ale czy to istotnie jest grobowiec Julii ? — zapytałem siebie, rozejrzawszy się dobrze w tem co mię otaczało, wysłuchawszy relacji, suchej i patetycznie wypowiedzianej, mego przygodnego cicerona.

— Czy ten grobowiec zawsze stał na tem samym miejscu ? — spytałem.

— Nie, przenoszono go kilkakrotnie, aż nareszcie stamtąd, gdzie dziś koszary stoją, tu go ustawiono.

Miasto własnym kosztem postanowiło upiększyć go.

Słowa te nasunęły mi pewne wątpliwości, a raczej rozbudziły we mnie ducha niedowiarstwa. W chwili powstania tej legendy miłości, która dała Szeksprowi wątek do napisania jednej z najpiękniejszych tragedji, Werona, Padwa, Medjolan, Wenecja, były w ciągłej walce ze sobą, a żołnierze ówcześni taksamo palili i rabowali klasztory, wywracali trumny i skarbee kościelne, jak i nowożytni obrońcy strupieszających form życia. Klasztor, w którym miał się znajdować grobowiec Julii, leżał w tem miejscu nad Adygą, bezbronny i narażony na swawolę żołdactwa. Czyż podobna przypuścić, ażeby taką samą czcią już wówczas otaczano grobowiec, jaką go otacza nowożytne pokolenie? A w klasztorze — czyżby był tylko jeden grobowiec — Julii — żadnego więcej i ten wśród ciągłych wichrów ocalał? Mogło to zapewne stać, się ale jakież dowód, że ten niekształtny, szorstką, nie artystyczną ręką robiony sarkofag, z najpośledniejszego gatunku marmuru, jest istotnie tym, w którym spocząć miały prochy Julii? Żadnego napisu, żadnego śladu symbolicznego, żadnych szczątków nawet — wewnątrz tej dziwnej trumny wypełnione biletami wizytowemi, wyrzucanemi co roku i co roku napełniane znowu. Co ważniejsza — żadnej ornamentyki na ścianie zewnętrznej. A przecież gdy ktoś bogaty składa do wiecznego spoczynku największe swoje ukochanie, stara się bodaj pamięcią połączyć się z drogą za życia duszą i upiększyć jakoś chłodny i cichy spoczynek. Niepodobna przypuścić) ażeby zrozpaczeni rodzice złożyli wszystko, co najbardziej kochali, w trumnie, wykutej¹ ręką pospolitego

kamieniarza, gdy wszystkie grobowce zamożnych ludzi tego czasu są arcydziełami sztuki.

Przypatrując się sarkofagowi uważniej, coraz bardziej przychodziłem do przekonania, że ten kawał wydrążonego marmuru nie jest wcale grobowcem Julii, że legenda utworzona koło tego imienia, nasunęła myśl uplastycznienia jej o wiele później. Przyjechał do Werony jeden, drugi i dziesiąty sentymentalny cudzoziemiec, który oglądał tragiczną sielankę Szekspira na scenie, i pytał o grób Julii. Przynęcanie czemkolwiek bądź cudzoziemców we Włoszech należy do rzeczy bardzo zwykłych. Każde miasteczko ma swoją znakomitość, coś wyłącznie swego, — jakże wobec tego mogła pozostać obojętną Werona? Miała już arenę Dyoklecjana, miała kościół św. Zenona, przerobiony z jakiejś świątyni pogańskiej i stworzyła sobie jeszcze grobowiec Julii. Mnisi, zapytywani ciągle o ów grobowiec, pokazali wreszcie pierwszy lepszy wyłobiony podłużnie marmur — i ciekawość została zaspokojoną. Dla tej cudownej legendy potrzebne było koniecznie tło realne, widzialne i stworzono je sztucznie, może nawet bezwiednie. Czyż takie legendy i takie ich wcielenie nie powtarzają się ustawicznie w dziejach ludzkości? Niema przeto nic dziwnego, że i ten lichy, wyłobiony marmur, który nazwają grobowcem Julii, stał się tylko uplastycznieniem legendy-Ludzkość pragnie i potrzebuje złudzeń.

Wystarczy zresztą zaglądnąć do tego grobowca. On niema nawet formy prawidłowej. Starożytny grobowiec posiada zawsze górne płaszczyzny krawędzi

gładkie, prostolinijne, ażeby do nich wierzchnia płyta przystać mogła szczelnie. Tu nic podobnego nie ma. Krawędzie są zaokrąglone. Przy jednej ze ścian jest nawet u dołu pewne żłobkowane wydrążenie, które rozmaite podejrzenia narzuca.

Biorąc na uwagę pospolitość roboty i pospolitość materiału, brak wszelkiego ozdobnictwa, brak głównej pokrywy, wreszcie formę tego rzekomego grobowca, przyszedłem do wniosku, że to mogła być zwykła wanna kąpielowa mnichów lub cyster-na na wodę, stojąca przed bramą klasztorną lub wśród dziedzińca, która jako rzecz bez wartości, ocalała wśród wojen, rozgromów i pożóg, wśród rabunków i zniszczeń, nazwana, ot tak przypadkiem, z braku innego pod ręką, grobowcem Julii.

Ale ludzkość potrzebuje do życia pierwiastku idealnego i póki podaj jeden człowiek żyć będzie, nie zabraknie mu tego pierwiastku, bo on tkwi w duszy, jest częścią życia ludzkiego. Czar jego zmieszany z trucizną, jak u Romea i Julii. Tylko potężna siła twórcza ludzkiego ducha potrafi ze słodyczy i bólów miłości wydobyć ów czysty płomień, owo idealne piękno, któremu Bóg pozwolił bodaj raz w życiu oświecić i rozgrzać duszę naszą. Mniejsza więc o złudzenia, jeśli bez nich niema życia.

Opuszczając ów rzekomy grobowiec Julii z głową pełną wątpliwości, mimowolnie przypomniałem sobie zakończenie wiersza Adama Mickiewicza „P o p a s w U p i c i e”:

Odgłos sławy wiejący przez lat oceany,
Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany
Godzien śmiechu uczonych... lecz nim się

[zaśmieje —
Niechaj powie uczony : czem są wszystkie
[dzieje ?

John Murray u Bismarka.

(Eastern Herald Nr. 3965.)

Znałem Bismarka dawno, kiedy jeszcze był niczem, a właściwie był tylko posłem do Rzeszy. Pozналиśmy się w Frankfurcie, zbliżyli się, i jak to zwykle bywa na świecie, rozstaliśmy się na bardzo długo. Od owej chwili, czytałem tylko pilnie to wszystko, co pisano o wielkim Prusaku, o żelaznym kanclerzu, o budowniczym Niemiec.

Teraz, kiedy po pięćdziesięciu blisko latach znowu zawitałem do Europy, — trafiłem na chwilę uroczystości Bismarkowskich. Postanowiłem być u niego i byłem. To co słyszałem opowiadam.

Oddałem odźwiernemu kartę moją i czekałem, rozmyślając nad tem : czy mię przyjmie, czy nie ?

Ku wielkiemu zdziwieniu zaproszono mię natychmiast prawie do gabinetu księcia. Ledwie służący drzwi przedemną otworzył i na progu stanąłem, ujrzałem jak od biurka podniosła się olbrzymia postać ex-kanclerza. Był ubrany w mundur wojskowy, zapięty

na wszystkie guziki. Jednym rzutem oka objąłem całą jego postać. Wyglądał jak dąb rozłożysty. Widać było, że w tym kadłubie, potężnym i wielkim, jak beczka od piwa, a rozrosłem jak cielsko hipopotama, siedzi niespożyta siła fizyczna. Wielka łysa głowa, krzaczaste brwi, wąsy jak u suma, — szare, przenikliwe, badawcze, z odcieniem złości błyskające oczy — wszystko u niego było niezwykle. Powstawszy, oparł się obiema rękoma o biurko] i spojrzenie we mnie utopił.

— John Murray ? — zapytał.

— Tak jest, Excellencyo.

Bismark fotel raptownie odsunął, tak, że zdało mi się, jakby się dom walił, i ku mnie rękę wyciągnął.

— Jakże rad jestem... przypominasz mi pan piękne chwile naszej młodości.

—• Dawne czasy, Excelencyo.

— Dawne... — odrzekł westchnąwszy.

Przyprowadził mię do fotelu, posadził i sam obok mnie usiadł.

— Pan podróżujesz zapewne, jak niegdyś?

— Podróżuję, Excelencjo... Czułem się w obowiązku przypomnieć się Waszej Excelencji.

Nagle ujrzałem, że na ustach jego przesunął się uśmiech.

— Pamiętasz pan nasze rozmowy ? — zapytał.

— O, pamiętam. ,

Niemcy są złączone... — rzekł z dumą, jakby pragnął przypomnieć mi treść rozmów i dyskusji z przed wielu laty.

— Więcej nawet — odpowiedziałem. — bo zdołałeś Wasza Excelencja do państwa zjednoczonego przykuć dużo Słowian... t. j. rozszerzyć niemieckość.

Odpowiedź moja zastanowiła księcia.

— Trudna rada... — rzekł stanowczo, dla nich jedno tylko pozostaje : stać się Niemcami lub Moskalami jak najrychlej.

— Wasza Excelencja o Polakach myślisz?

— Tak jest.

Nagle twarz jego przybrała inny wyraz — jakiś lisi, przebiegły; siwe oczki uśmiechały się złośliwie.

— Pan może masz zamiar ogłosić interview ze mną? — zapytał.

— O, nie ! — odpowiedziałem. Miałem na myśli powitać tylko Waszą Excelencją jako dawnego znajomego.

— Tem lepiej... tem lepiej.. bo możemy mówić otwarcie.

Widocznie sprawiło mu to pewną ulgę. Wyciągnął rękę, pudełko z cygarami wziął i do mnie zbliżył z uprzejmem pochyleniem głowy.

— Excelencji nie szkodzi tytoń ?

— Ja palę namiętnie... ale wolę fajkę.

Zadzwonił na służącego, który mu fajkę na długim cybuchu nałożył i podał. Księżę palić począł z pełnym zadowoleniem. Wśród kłębow dymu zagrzmiął głos jego,

— Interviewy zapowiedziane nużą mnie — rzekł. Muszę ciągle pilnować się, ażeby jak najlepiej myśli moje ukryć.

— Wdzięczny jestem za zaufanie, jakim mnie W. E. obdarza...

— Pan nie bawisz się w politykę i nie robisz polityki... — prawda?

— O, nie.

— Dlatego też z panem mogę mówić otwarcie, jak z dawnym przyjacielem.

— Dziękuję W. Ks. M. Ja też niczem innym nie jestem, jak tylko ciekawym człowiekiem. Przyznać się muszę, że mię interesują bieżące sprawy w wysokim stopniu... Naprzykład teraz — o Polakach znowu cała Europa mówi...

— O Polakach ! — wykrzyknął Bismarck.

Zastanowił mnie ton wykrzyknika, pełen głębokiego lekceważenia.

— Czy W. E, przypuszcza, że oni nie mają przyszłości przed sobą?

— Stanowczo nie twierdzę... — ale — to naród bardzo miękki i bardzo lekkomyślny — rzekł po chwili.

— Cóż to może mieć wspólnego z politycznym istnieniem ?

— Ma — bardzo wiele. W tem są ich wady i zalety. Zalety — towarzyskie, wady — publiczne.

Przyznam się, że nie byłem w stanie zrozumieć tych zarzutów. Przedstawiały mi się one jako synteza myśli Bismarcka o Polakach. Wolałbym analizę. Spostrzegłem, że księżę na kiel wziął słowa moje, a ziałem go z tej strony, że jeżeli coś ma na wątróbce, to wygadać musi. Milczałem więc dyskretnie — i nie

pomyliłem się. Po chwili milczenia książkę znow głos zabrał.

— To dziwny naród... tworzył niegdyś jedno z największych państw Europy, a nie zdołał dotychczas wyrobić w sobie godności, dumy narodowej. Dopóki będzie tego pozbawiony — nie ma dla niego przyszłości.

— Dlaczego? -- spytałem zdziwiony.

— Bo go każdy zwycięży i okiełzna; albo grzesznością i pochlebstwem, albo siłą i knutem.

Dziwnie mi się zrobiło od tych słów, bo zdało mi się, że zrozumiałem politykę Prus i Moskwy. Wszyscy dążą do jednego celu - do zabicia tego narodu, tylko różnymi drogami. — Zaiste pomyślałem sobie — polityka godna Machiawella. Spodlić i poniżyć, aby zgnębić i unicestwić, oto są dwa bieguny tej polityki. Opanowała mnie gorąca żądza sprawdzenia, o ile rzeczywiście domysły moje mogą być słuszne.

Milczałem. Bismarck rzucił na mnie bystre spojrzenie i odgadnął powody mego milczenia.

— Nie wierzysz pan, że tak jest?

— Trudno wierzyć, Excelencjo, szczególnie, gdy się tyle słyszy o dumie narodowej Polaków.

— Małeńkie nieporozumienie — zauważył złośliwie Bismarck — to, co nazywają dumą, jest tylko pychą ludzi próżnych. Duma nie ustępuje — pycha jest tchórzem podszytą.

Nikt o indyku, który chodzi nadęty po dziedzińcu nie mówi, że jest dumnym; podnieś pan tylko kij do góry — wnet przekonasz się, co ta duma warta.

Taką jest duma Polaków teraźniejszych. Oni są próżni poprostu.

— Jakże to sobie wytłómaczyć, że są tak dzielnymi mężami stanu w Austrii?

— Próżność z rozumem chodzi często w parze. Ale dumny człowiek będzie pracować dla własnego narodu lub zginie marnie, gdy nie napotka uczciwych warunków dla pracy: próżny będzie z czystym sumieniem pracować dla innych w tem przekonaniu, że dla swoich pracuje. Nożnaby takich ludzi porównać do psów, które, wesoło poszczekując, ciągną na targ cudze wózki z mlekiem lub mięsem.

— Wasza Excelencja bardzo surowy wyrok na Polaków wydajesz.

Bismarck nie oponował, tylko z pewną siłą i zacięciem w głosie odrzekł:

— Znam ich.

Zamyślił się, brwi nasunął i począł namiętnie fajkę ciągnąć. Miałem takie wrażenie, że myśli skupia i mówić wnet zacznie. Jakoż tak się stało.

— Polskich mężów stanu porównałbym do niewolników i wyzwolenców w epoce upadającego Rzymu. Byli pośród nich genialni ludzie — pisarze, poeci, doradcy, ale im brakło dumy i siły wolnych ludzi, lub też ludzi, miłujących wolność. Im wystarczało bogactwo, używanie, łaska pańska — Ignęli więc do stóp Kaliguli, Tyberjusza, Nerona i ślady ich obuwia całowali. Czy Polacy inaczej robią? Gwałtem, przemocą, przez szeregi takich samych, jak oni niewolników, cisną się do pocałowania tej ręki, która ich policzkuje i mówi, że to robią dla dobra narodu...

choć robią dlatego tylko, ażeby mogli do końca życia przy pełnej misie siedzieć — oni i synowie ich, Podnoszą hasła lojalne, cichej pracy i w imię tego hasła liżą rękę pańską ci wszyscy, których praca polega na spokojnem spożywaniu pracy innych — ubogich, głodnych i ciemnych. Oni w obronie misy, zwłaszcza pełnej, staną zawsze, — w obronie praw — rzadko.

— A przecież — przerwałem Bismarkowi — powstania polskie są próbą obrony praw.

Przeczenie moje zdawało się jeszcze więcej podniecać go.

— Tak, tak — rzekł, — ale potem znalazło się zawsze grono spokojnych obywateli, a z dowodzeń ich i napaści łatwo dała się wyciągnąć nauka moralna : „pocóż gonić za marą wolności i w niewoli można żyć wygodnie”.

Bismarck znowu namiętnie palić zaczął.

— To naród pełen sprzeczności — ciągnął dalej — proszę tylko uważać: Arcybiskup Popiel gospodaruje, jak urzędnik moskiewski, a naród pokornie chyli przed nim czoło. Dawniej, według bajecznej historii Polaków, takich Popielów przynajmniej myszy jadły, teraz będą tuczyć się spokojnie, bo niepokój trawieniu szkodzi. Panowie Górscy, Lubomirscy et tutti quanti, le-dwie car umarł, dopraszają się jak o łaskę o pozwolenie pocałowania tej ręki, która ich bila, w imieniu narodu. Koło polskie w Wiedniu z grzeczności i z polityki słucha detyrambów jakiegoś Czecha na cześć tego, który nawet prawa ludzkie Polakom odebrał — nic dziwnego, skoro na czele reprezentacji kraju,

stoją tacy jak... Wszędzie naród na czoło swojej reprezentacji wysuwa najlepszych ludzi, oni — najpokorniejszych. Jakąż przyszłość taki naród mieć może przed sobą? Żadnej! Dla jawnych, płaszcących się niewolników można mieć litość, ale szacunku — nigdy.

— Wasza Książęca Mość, zdaje się masz w tej chwili na myśli Polaków tylko z Galicji i reprezentację ich we Wiedniu?

— Wszędzie oni jednakowi. To rasa, słaba, miękka, podatna jak środek chleba. Można nim głodnego nasycić, ale nikt chleba do budowy nie używa. I w Prusiech dzieje się to samo. Próżność rozpiera ich wszędzie i rozsadza czasem jak młoda koniczyna brzuchy wołowe. Trzeba im tylko takiej koniczyny jak najwięcej dawać. Rosja niegdyś miała największych przyjaciół, którzy się nazywali Targowiczami; oni trzy czwarte Polski oddali w ręca Moskwie — za nadzieję, dzięki tylko temu, że Moskwa potrafiła ich próżność wyzyskać. Teraz utworzyła się w Austrii i u nas pewna odmiana dawnych Targowiczów, których nazwano Stańczykami. Oni to, dzięki godłu lojalnej pracy i zgody z istniejącym porządkiem rzeczy dziś — oddają bez zastrzeżeń przyszłość swego narodu w nasze ręce. Polakom można odebrać wolność, prawo, język w sądzie i urzędzie, zgnieść ich literaturę, kazać się uczyć nie w rodzinnym, lecz obcym języku i pracę umysłu i ducha nie własnemu narodowi, lecz do cudzej składać skarbnicy — wszystko to przyjmą słowami „jakoś to będzie”, pocieszając się garścią tytułów i karmelkowych koncesji.

W słowach Bismarcka przebiegała zjadliwa ironia.

— W Rosji potrzebni Górscy, Lubomirscy, Czerwertynscy, Radziwiłłowie, Woronieccy, Baranowscy, w Austrii — Tarnowscy, Potoccy, u nas — Kościelscy. Im się zdaje, że są przewodnikami narodu, mężami zaufania cesarza, wielkimi politykami, a oni są manekinami.

— Wasza Excelencja w tak czarnych kolorach przedstawia Polaków, że lituję się nad nimi. Gdyby tak było w istocie, byłby to jeden z najniezwyklejszych narodów na kuli ziemskiej.

— Tak jest. Oni idą do zguby, bo ich mężowie stanu i reprezentanci, uprawiają taką politykę, jaką przed tysiącem lat ich przodkowie uprawiali.

— Jaką? — spytałem mimowoli.

Bismarck nic nie odpowiedział, tylko porwał się gwałtownie z fotelu i do drugiego pokoju wybiegł, Szeroko otwarte drzwi pozwoliły mi widzieć bibliotekę księcia. Księżę zbliżył się do półki, ujął pewną ręką jakąś książkę i do mnie wrócił. Usiadł w milczeniu i począł kartki przewracać.

— Zaraz pana przekonam o tem — rzekł.

Skłoniłem głowę na znak zgody.

— Równocześnie będzie to odpowiedź tym, którzy utrzymują, Jak Delbriik, że komisja kolonizacyjna nie przynosi żadnego poważnego rezultatu. Oni pragnęliby — dodał złośliwie, — ażeby wielkie dzieło dokonało się tak rychło jak sprzedaż cygara, z rąk do rąk, w jednej chwili.

— Bardzo mię Wasza Księżęca Mość zaciekawiasz.

Spojrzałem na okładkę książki — była to „Kronik Helmolda”.

Bismarck czytać począł.

„Morze to (Bałtyckie) nazywa się barbarzyńskim albo scytyjskim, dlatego, że kraje barbarzyńców oblewa. Koło tego morza mieszka wiele narodów, z tych Duńczycy i Szwedzi, których Normanami nazywamy, zamieszkują brzeg północny, brzeg zaś południowy zamieszkują ludy słowiańskie”.

Tu na karcie rękę swoją olbrzymią położył, wpatrzył się we mnie i zapytał ostro:

Gdzież ci Słowianie teraz?

Nie mogłem mu dać żadnej odpowiedzi. Książkę ciągnął dalej :

— Nietylko tworzyli oni całą djecezję Hamburgską, lecz sięgali za Elbę, do najdalszego zakątka Saksonii, zwanego niegdyś Nordalbingią — gdzie są tam Słowianie ?

Książkę karty „Kroniki” przewracać począł.

— Teraz powiem panu dlaczego ich tam niema. Kiedy Słowianie, niezadowoleni z książąt swoich, będących w usługach Niemców, zabili Godszalka, syn jego tak przemawiał do księcia Magnusa : „Wiadomo jest Twojej Jasności, o największy z ludzi, jak wiernie zawsze ojciec mój Godszalk poruczone rządy w kraju słowiańskim na cześć Boga i dziada twego sprawował. Ja też, ojca mego naśladowając, pokornie, z całą wiernością i oddaniem się poleceniom książąt byłem posłusznym...”

Bismarck książkę odsunął i na mnie patrzył.

— Gdzie ci Słowianie ? zapytał znowu. Dokąd ich pokora i giętkość zaprowadziły? Gdzie owi Wagrowie, Obotryci, Kiszanie? Niema ich — dlaczego?

Z różnych sfer.

Bo przedstawiciele ich z wolnych książąt zesłi do roli sług książąt niemieckich; bo kłócąc się i walcząc ze sobą wzywali do robienia zgody tego, który wyzykiwał niezgodę; bo zbyt często schylali głowę, a schylonych biją tylko. Pokora jest dobrym środkiem do zbawienia duszy, ale państwa i narodu nie zbawiła jeszcze nigdy.

Wysłuchawszy to uważnie, spytałem:

— Niech mi Wasza Excelencja wytłumaczy w jakim to związku stać może z kolonizacją?

W bardzo prostym. Moglibyśmy się bez przymusowej kolonizacji obyć, bo Polacy, odziedziczywszy po przodkach swoich wady narodowe, dopomagają nam do niszczenia samych siebie, idąc na rękę polityce, przeciwko nim skierowanej. Wobec jednak mogących zajść wypadków nieprzewidzianych, spieszyć się należy z nabyciem u Polaków ziemi; tam gdzie nie można odebrać, — kupić trzeba. Co to znaczy wydać 14 milionów marek w ciągu ośmiu lat wobec tego, że za sto lat nie będzie Polaków w Prusiech?!

Wasza Excelencja — rzekłem, o ile mogłem najspokojniej — nie bierzesz, zdaje się w rachubę tego, że ta warstwa społeczna, która dotychczas ster polskich interesów dzierżyła, schodzi z pola; że przybywają coraz liczniej nowe zastępy ludu, mieszczaństwa, inteligencji, którzy na politykę „zgody z losem” nie godzą się, walczą z nią i z czasem przyjść mogą do władzy.

Bismarck w zamyśleniu ciągnął dym z fajki i wąsami ruszał, a po tem zwrócony do mnie, rzekł spokojnie:

— Mój kochany panie John Murray, -państwo pruskie pracuje usilnie nad tem, ażeby z chwilą, kiedy dziś przodująca warstwa społeczna polska z pola ustąpi, pozostało Polaków tyle tylko ile jest Serbów w Łużycach.

Zamknął i badał wrażenie, jakie na mnie mowa jego zrobiła.

Po chwili głęboko wzruszony, pożegnałem wielkiego Prusaka. Wracając do domu powoli, zamyślony nad tą polityką, którą się prowadzi w celu zniszczenia, zubożenia i spodlenia całego narodu. Czyż na to wszystkie wysiłki cywilizacyjne służyć mają, ażeby silne państwa i narody zjadać mogły słabe jak dzikie zwierzęta? Na to istnieć mają władza, siła, nauka, sztuka, wszystko, co ludzkość zdobywała w trudzie i znoju, ażeby jedni przerabiali drugich na niewolników i prowadzili do spodlenia?

O, wielka cywilizacja europejska, jakżeś ty mała, jak mała!

Hrabia Józef August Iliński i Romanów na Wołyniu*).

Ilińscy :należeli do starej szlachty ruskiej Wołynia, która się jednak długo na czoło Rzeczypospolitej, nie wysuwała. Byli oni wyznawcami religii obrządku wschodniego greckiego, ale korzystając z praw, jakich

*) Źródła i materiały:

Archiw I. Z. R. Część IV., t. I. Akty o proizchożdenii szlacheckich rodów.

Marek Gozdawa: Zakłady naukowe w Romanowie (nadbítka.)

A, Naruszewicz: Djarjusz podróży St. Poniatowskiego do Kaniowa. Według „djarjusza prawdopodobnym rokiem śmierci Kajetana Ilińskiego" jest r. 1787, nie zaś 1781, jak pisze M. Gozdawa.

Sbornik Istoricz. matierjałow t. IV.

Henryk Olechnowicz Stecki: Wspomnienia mojej młodości. 1895.

Dr. Antoni Rolle: Opowiadania histor. Serja VI.

Hen. Rzewuski: Teofrast. t. II.

Rocznik archeologii i numizmatyki. 1870.

Żychliński Monogr. Ilińskich, herbu Lis. księga XVII.

Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego t. III. Wilno 1857.

Rzeczpospolita wszystkim członkom swego politycznego ciała używać pozwalała, nie zapisali się nigdy na szkodę państwa i narodu polskiego. Kazimierz Iliński, starosta Niżyński, położył swój podpis w r. 1710 na akcie wyborczym Cyryla Szumlańskiego z Szumlan, ihumena monasteru Uhernickiego, administratora episkopii Łuckiej i Ostrogskiej na biskupa łuckiego po ojcu Atanazym Szumlańskim.

Jak przeważna część rodów szlacheckich litewsko-ruskich, tak i Ilińscy z wołyńskich lasów na stepy ukraińskie i podolskie wymykali się za większą wolnością i chlebem, a tu często w awanturach szlacheckich, a nieraz i hajdamackich, udział brali. Życia ukraińskiego od swawoli niepodobna oddzielić. Jeżeli krewkość w owe czasy górę brała, a szczególnie pośród drobiazgu szlacheckiego, to na Ukrainie miała ona szerokie pole do wybuchów i awantur, jakiś Michał Iliński, komisarz dóbr ukraińskich Tyszkiewiczów z Białopola, uczestniczył w hajdamackich rozruchach.

Jakie były przyczyny tego nie wiem, dość, że w grudniu 1737 r. włościanie wsi Białopola i Kasperówki hajdamackim sposobem napadli na miasteczko Czerwone, zrabowali je i zamordowali Felicjana Trzeciaka, „godnego z antenatów swoich w tera województwie człeka”¹. Nie uszło to włościanom na sucho, gdyż wezwany do pomocy towarzyszy pancerny Jan Skulski, pod pretekstem uśmierzenia buntu, zrabował Białopole i Kasperówkę, a wkońcu rozpędził kupę. Posądzony o wywołanie burdy Michał Iliński, został wraz z współwinnymi tegoż roku i miesiąca aresztowany, w sprawie morderstwa Trzeciaka.

Kazimierz Iliński, ten zapewne, o którym wspomnieliśmy wyżej, w r. 1739 instrukcją, posłom wydaną przez szlachtę województwa kijowskiego, wojski kijowski naówczas, polecony został jako godny nagrody za służbę publiczną. Jego też dopiero można uważać za założyciela fortuny tego rodu, któremu przeznaczenie pozwoliło w dziwny sposób zabłysnąć w życiu hr. Augusta Ilińskiego. W czternaście lat później. Kazimierz, starosta niżyński, zaufaniem braci szlachty powołany został do zorganizowania w r. 1754 straży pogranicznej w okolicy Kijowa, na rozgraniczu między Polską a Rosją, gdzie trwały bezustannie awantury hajdamackie. Ordynans, wydany w tym celu przez Adama Mikoła Sieniawskiego, hetmana koronnego, nie przyszedł, zdaje się, do skutku, gdyż szlachta województwa kijowskiego, która w celu samoobrony zorganizowała milicję, przekonawszy się, że z tej milicji pożytku mało, sama prosiła o rozwiązanie jej. Między petentami znalazł się także Kajetan Iliński, starosta żytomierski.

Był on synem Kazimierza (urodził się 1731, umarł 1787). Ożeniony z Rozalią Zielińską herbu Świnka, oprócz dóbr własnych, Kurnego i Sokołowa, w powiecie żytomierskim położonych, posiadał jeszcze dobra w Galicji, gdzie około r. 1770 otrzymał tytuł hrabiowski, którym rząd austriacki, obdzierając ze skóry szlachtę, hojnie szafował. Ale splendorem zajaśnieć miał dopiero syn jego, Józef August, (1766 — 1844). Jan Kajetan Iliński po dwakroć był żonaty. Pierwszy raz z "Marjanną Józefą Wesslowną, wdową po Aksaku, i z tego małżeństwa, oprócz dwóch in-

nych synów, którzy, wyrażając się poetycznie, „utonęli w zapomnienia fali”, urodził się Józef August roku pańskiego 1766. Ponieważ nie piszę genealogii tej rodziny, na kilku powyższych szczegółach mogę poprzestać.

W życiu starosty żytomierskiego historia zapisała jeden wypadek — i to głośny tylko w sąsiedztwie.

Ojciec późniejszego hrabiego i senatora, w r. 1787 zajęczał drogę Stanisławowi Poniatowskiemu, królowi, zdążającemu do Kaniowa dla powitania carowej Katarzyny II. Starosta spotkał króla w pół drogi od Cudnowa, w karczmie, nazwanej Nastynna, wraz z dwoma synami, oraz zawiadomił go, iż o ćwierć mili od Cudnowa czekają na niego obywatele województwa kijowskiego, aby mu hołd złożyć. Jednym z tych synów był niewątpliwie Józef August, który już wówczas 21 lat liczył.

Starosta snąc był hołdownikiem polityki Stanisława Augusta, bo syna nie dawnym zwyczajem do Warszawy, lecz do Petersburga po szczęście wysłał.

Józef August Iliński, późniejszy senator, rozpoczął tedy karierę swoją na dworze Katarzyny II. Mnóstwo Polaków szukało tam szczęścia i powodzenia. Dla drobiazgu szlacheckiego, tak samo jak i dla magnaterji naszej zmieniła się główna droga, prowadząca do łatwej fortuny. Do niedawna jeszcze wszystko to się parło na kresy, na Ukrainę do Braclaw-szczyzny, Podola, gdzie z ekonomicznego chleba dochodzili do magnackich fortun. Jednych nęciły bogate starostwa i fortuna przez małżeństwo, drugich — łatwiej-

szy chleb. Od czasu wstąpienia na tron Stanisława Augusta, poczęto szukać szczęścia w Petersburgu. Szukał go tam także młody Iliński i znalazł takie, jakiego szukał. Sposobność do tego nadarzyła się wkrótce. Po drugim podziale Rzeczypospolitej Katarzyna pozwoliła wysłać delegatów do tronu od nowo-ustanowionych Namiestnictw. — Z gub. Izasławskiej, dzisiejszej Wołyńskiej, wybrano : Antoniego Jabłonowskiego, Sanguszków Hieronima i Eustachego, Michała Lubomirskiego. W tem towarzystwie znalazł się także Józef August Iliński, będący naówczas szefem regimentu swego imienia. Katarzyna przyjęła delegatów z największą wspaniałością, hojnie rozpisując ordery, rangi, podarunki, tytuły. Iliński został wtedy rzeczywistym tajnym radcą i kamerherem — oprócz prezentów i darów. Powróciwszy z delegacji, został przez rządznaczony Marszałkiem szlachty okręgu cudnowskiego — mocno protegowany przez Tutolmina, który jak wiadomo, nie wszystkich protegował.

Spróbowałszy jednak łask dworu, tęsknił do stolicy nad Newą. Miał tam interes ważny — osobisty, — starał się o indemnizację za szefostwo pułku. Jako gładki szlachcic, bywał przyjmowany nawet na prywatnych wieczorach Cesarzowej w Ermitażu. Tu zbliżył się do następcy tronu, późniejszego cesarza Pawła i został jego szambelanem, co mu nie przeszkadzało pełnić urząd marszałka szlachty.

Młody następca tronu był bardzo daleko trzymany od rządów państwa, a nawet od serca matki. Katarzyna II. nie lubiła syna. Jakie motywy kierowały jej sercem — nie tu miejsce mówić o tem, dość, że

niełaska była zbyt widoczną dla całego otoczenia. Powiadano, że Paweł, źle administrował swoim majątkiem, a matka była tego zdania, że kto własnym rządzić nie umie, ten cudzym nie potrafi. Tkwiła w tem pewna racja. Pragnąc się przekonać o tem, jaki istotnie jest stan majątkowy syna, wysadziła pewnego razu komisję, której poleciła zbadać stan rzeczy. Pomimo tajemnicy Iliński zdołał dowiedzieć się o wszystkim, a jeżeli to prawda, to dowiedział się bardzo w porę. Młody książę miał sporo długów. Iliński nie tracąc czasu, obdłużył własny majątek, skupił weksle Pawła, inne własnymi podpisami zamienił, tak, że gdy komisja rewizyjna zjawiała się — interesa znalazła w porządku. Stąd oczywiście wypłynąć miała wdzięczność Pawła i złączyła go jeszcze ściślejszą przyjaźnią z Ilińskim. Następca tronu, uściskawszy szambelana, który mu złożył taki dowód przyjaźni, oświadczył, że teraz, za życia matki, nic mu zrobić nie może, ale gdy zasiądzie na tronie — nie będzie miał nic do odmówienia. Taka krążyła legenda.

Po śmierci Katarzyny II., gdy Nowosilcow zawiadomił o tem mieszkającego w Gatchynie następcę tronu, ten z ulubionym swoim szambelanem pojechał do Petersburga. Sprawdziwszy fakt śmierci, wydał manifest o wstąpieniu na tron i wówczas dopiero zwrócił się do Ilińskiego, przypominając mu obietnicę, 7. zapytaniem : czego żąda? Iliński miał mu odpowiedzieć : „Dla siebie nic, Najjaśniejszy Panie, oprócz prośby, ażebyś Wasza Cesarska Mość i nadal zachował dla mnie swą łaskę; ale proszę za moimi ziomkami”. Istotnie, na Sybirze było jeszcze kilkuset kon-

federatów barskich, a w Petersburgu siedzieli Kościuszko, Ignacy Potocki, Niemcewicz i wielu innych. Cesarz, jakoby pod wpływem tego przemówienia, poszedł do więzienia, w którym siedział Kościuszko i zwiastował mu wolność. Jaką w^rtem wszystkim rolę odegrał Iliński — trudno dziś orzec, to tylko pewna, że na współczesnych rycinach, przedstawiających Pawła w więzieniu Kościuszki, za cesarzem stał młody człowiek — miał to być szambelan Iliński. Tak opowiadano w rodzinie.

Cesarz zwrócił Ilińskiemu to, co był dłużny następcy tronu i obdarował go starostwem ulanowskim, wynoszącym do 4.000 dusz, a będącym poprzednio w posiadaniu Jana Aleksandra Kraszewskiego. Była to chwila największego wzrostu jego w fortunę. W tym czasie nabył także Księstwo Ostrogskie od generała Fersena. Wkrótce też został senatorem państwa, co wówczas miało pgromne znaczenie i powagę. W owym to czasie, zapewne otrzymał także potwierdzenie galicyjskiego hrabiowskiego tytułu.

Skądże się dostał do tego Romanowa, który przez pół wieku nie schodził z ust szlachty wołyńskiej?

Ilińscy wywodzili się wprawdzie, a raczej lubili wywodzić się od książąt na Ilińsku, a Żychliński tę bajeczkę, niczem jej nie uzasadniwszy, powtórzył; nie byli oni wszakże książętami — przynajmniej nie odzyskały się dotychczas żadne dokumenty, świadczące o tytule książęcym, a nawet do posiadania Romanowa, w dzisiejszym powiecie zwiahelskim (Nowogród wołyński, przyszli bardzo późno. Ów *Roma nuova* —

jak go lubił hr. August nazywać — „vulgo” Romanów istniał już XV w., jako „wysługa” Dymitra Aleksandrowicza Iwaszencewicza, nadana mu przez króla Aleksandra. — Od Dymitra przeszedł drogą spadku i działu do syna Aleksandra, od niego do brata Boguchwała, potem do wdowy po nim, „Bohdany z Wieliczków, która sprzedała Romanów d. 16 lutego. 1529 roku księciu Konstantemu Iwanowiczowi Ostrogskiemu, wojewodzie trockiemu.” W rodzinie książąt Ostrogskich zostawał aż do połowy XVII w., mianowicie w r. 1673, ostatni ordynat ostrogiński, ks. Janusz Aleksander Sanguszek, podarował Romanów jakiemuś Ołtarzewskiemu. Wkrótce potem, zapewne drogą sprzedaży, przeszedł do rodziny Ilińskich, a w r. 1767 był już w posiadaniu Jana Kajetana, ojca Augusta.

Gdy los uśmiechnął się do syna darami i łaską cesarza Pawła, Romanów znajdował się już w posiadaniu senatora. Tu właśnie, w tej małej mieścinie, niczem się nie odznaczającej, Iliński w okresie największego rozgłosu i sławy wybudował wspaniały pałac, który był w r. 1816 zaledwie do połowy doprowadzony, a już wielkością swoją tak imponował rosyjskiemu podróżnikowi, baronowi Kampenhausen, że nie wahał się powiedzieć, że „byłby pięknym nawet na mieszkanie cesarza”. Ojciec hr. Augusta rozpoczął tę budowę w miejscu bardzo niedogodnym, bo wilgotnym, a szczęśliwy syn na grubych ścianach dawnego korpusu, wznosił piętro i dodał dwa skrzydła w półkole po 150 łokci każde, a front otoczył 46 kolumnami porządku korynckiego*). już wówczas położenie

*) Pałac ten przed niedawnym czasem zgorzał doszczętnie.

materjalne senatora było fatalne, a jednak budowa pałacu postępowała powoli, tak, że około r. 1840 stanął wreszcie w całej swojej imponującej wielkości. — Był to gmach dwupiętrowy, o stu pięćdziesięciu kilku pokojach, z których dwa salony mozaikowe duże jak rajszula, po 160 łokci długości a 20 szerokości, jeden z nich mógł wygodnie mieścić w sobie 200 osób, a jeszcze dużo miejsca do tańca zostawało. W pałacu znajdowała się galerja obrazów. Były tu : portret ks. Oranii, roboty Van-Dycka, Rycerz Rubensa, Orfeusz Davida, widoki morskie Vernet'a, bitwa rzymska Salvatora Rosy i wiele innych arcydzieł. Ściany pierwszego na zielono mozaikowane, z kolumnami dookoła, dotykającymi ścian, pięć czy sześć okien dużych z jednej tafli, ledwie, że nie na palec grubej, a między niemi przez całą wysokość sali lustra z jednej sztuki, bardzo piękne, w szerokich złożonych ramach. Drugi salon kwadratowy nieco mniejszy na czerwono mozaikowany, miał okna również z jednej tafli, a między niemi także wysokie piękne lustra. Salon ten był otoczony marmurowymi pięknej roboty posągami, z Włoch sprowadzonymi. Do ściany przeciwnej oknom, było przytwierdzone lustro, w szerokich złożonych ramach, tak wielkie, że w miernej wielkości pokoju zakryłoby całą ścianę. Miał to być dar cesarza Pawia, a mówiono, że przyniesiono je z Petersburga na rękach. Sala ta również wysoka jak pierwsza, była używana do wielkich obiadów lub mniejszych balów. I tu i tam były znakomite posadzki, w deseń wysadzone z rozmaitych drzew, między niemi mahoń i heban piękną grały rolę. Między oknami stały kanapy, a pod

lustrami stoły z malachitu, lapis lazuli, porfirów rozmaitych, na rzeźbionych złożonych nogach w stylu odrodzenia. Iliński zakupił mnóstwo pięknych mebli i ozdób pokojowych z rozsprzedaży pałacn Petit Trianon, jakoteż Michajłowskiego dworca w Petersburgu. Wśród porcelany sewrskiej, kandelabrow, rycin, stolów, posiadał także łóżko mahoniowe, po Ludwiku XVI, a serwis srebrny po Marji Antoninie.

Sala czerwona, na ścianie między drzwiami a sufitem, od strony wschodniej, miała mozaikę trochę odmiennego koloru. Plama pochodziła z późniejszego dorobienia, gdyż w tym miejscu niegdyś ściana była ruchoma i otwierała się do grobu pańskiego, będącego przy kaplicy na pierwszym piętrze.

W czasie rezurekcji otwierano tę ścianę i od niej do salonu ustawiano wschody, ubrane w kwiaty, między nimi rozmieszczano dzieci w kształcie żywych aniołków, figury zaś aniołów zawieszano na drutach.

Gdy ksiądz zaśpiewał Resurexit Christus, duża, w grobie leżąca statua drewniana, przedstawiająca Zbawiciela, za pociśnięciem sprężyny wstawiała. Na zakończenie procesja z monstrancją, schodziła po wyżej pomienionych wschodach, szła przez wszystkie salony, rzęsiso oświetlone, zaś przez ogród koło pałacu, przez dziedziniec i wielkie wschody wracała do kaplicy. W parku była górka w kształcie ślimaka, zwana Kalwarją: tu na wielki tydzień ustawiano trzy krzyże, na których krzyżowano trzech najętych żydków, przywiązywano ich, a gwoździe wbijano między palcami, środkowego, który przedstawiał Chrystusa, zdejmowano, żydek niknął a natomiast zjawiała się owa me-

chaniczna statua, którą procesjonalnie do grobu niesiono.

Oprócz dwóch głównych salonów były mniejsze, a wszędzie były piękne meble i mnóstwo bronzów, wszystkie z czasów cesarstwa. W parterze były gościnne pokoje, z przepychem urządzone, które łączyły się z wielkimi. Pokoje te zamieszkiwała niegdyś pierwsza żona senatora, Antonina Komorowska, która wyszła za generała Litwinowa. Apartamenta te, łączyły się szerokimi wschodami z pierwszym piętrem, gdzie mieszkał sam senator. Tu mieściła się także kaplica, a w niej było ośm kapliczek kolorowych, z statuetkami takimiż, po cztery z każdej strony wielkiego ołtarza, a w nich za szkłem leżące woskowe figury świętych, z relikwiami w środku, Św. Fortunata i św. Inocencji, dar papieża Leona XII. Na tem samem piętrze mieściła się także biblioteka.

Ogrodów w Romanowie było dwa, po obu stronach pałacu i drogi, wiodącej ze wsi do kuchni — oba piękne, cieniste, dobrze utrzymane. Oprócz tego na wyspie, na środku stawu, przed pałacem, był ogród kwiatowy z altaną, otoczoną krzakami bzów tureckich. Naokoło wyspy okrągłej stały posągi marmurowe. Przeciągnięty sznur od dziedzińca, a przy nim mały, zgrabny promik z ławeczkami i barjerkami, pozwalał przewozić się samemu na wyspę. Za większym ogrodem, a raczej parkiem, był zwierzyniec, przez daniele zamieszkały, w sporym lasku.

Nie brakło nawet teatru, baletu, opery — co wszystko własnym kosztem utrzymywał. Teatr był w ogrodzie, z drzewa zbudowany, a oprócz tego se-

nator utrzymywał dwie orkiestry, jedną zwykłą, a drugą t. zw. rogową, złożoną z 14 do 20 ludzi. Każdy z nich miał róg — rodzaj trąby prostej, z cienkim końcem, nieco zakrzywionym; rogi te były rozmaitej wielkości i grubości, niektóre z nich miały sążeń długości. Róg taki mógł tylko jedną nutę wydać, przeto trzeba było wielkiej biegłości i nauki, żeby się nie mylić i dąć we właściwej chwili dla zachowania harmonii. Muzykanci owi grali doskonale rozmaite tańce i arje z oper bez żadnej pomyłki. Instrumenty owe były blaszane.

Bogactwo hr. Augusta Ilińskiego, jakkolwiek niezaprzeczone, uważane było wśród braci szlachty za jakiś męt, taksamo jak wszystkie instytucje i fundacje jego w Romanowie. — Rzadko kto mógł wszystko sprawdzić własnymi oczyma. Nie ulega wszakże wątpliwości, że Romanów wszystkie te cuda, o których mówiono, posiadał.¹ Wspomniany już przez nas baron Kampenhausen zwiedził tę miejscinę, stworzoną fantazją polskiego pana, a chociaż to się działo w r. 1316, już ku końcowi świetnej kariery Ilińskiego, godną była jeszcze widzenia. Istniała tam wówczas fabryka sukna, kierowana przez jakiegoś Anglika, który równocześnie zarządzał majątkami Ilińskiego.

Był to gmach ogromny, wypełniony warstatami tkackimi, które jednak nie pracowały przez rok cały, bo w lecie, w czasie żniw, były bezczynne. Zdaje się, że brakło tym warstatom wełny, gdyż składy romanowskie były puste, chociaż Anglik upewniał, że jest jej podostatkem w składach fabrycznych.

Nagle wyniesienie się Ilińskiego w majątność, popularność, sławę i miłość cesarza, wywołało zwy-

kłe w takich razach następstwo : pychę i próżność. Szlachetność wrodzona walczyła z próżnością, a w życiu tego dziwnego i niezwykłego człowieka pozostawały ślady jednej i drugiej. Szlachetność mało kto cenił, bo ona zwykle nie dla wielu dostępna, a śmieszności wpadały w oczy i służyły jako temat do nieskończonych rozmów dla panów braci. Nagła zamożność, która przyszła bez pracy, pozwoliła mu bawić się w królika.

Nietylko więc zakładał z prywatnej szkatuły szkoły, fabryki, budował pałace, sprowadzał całe stadniny koni angielskich i arabskich, ale otaczał się także królewskim przepychem, którego próbkę widzieliśmy w budowie i urządzeniu pałacu w Romanowie. Szkatuła jego była otwarta dla wszystkich, a pałac zaroił się ludźmi. Rozgłos wprowadzał w jego progi wędrowców z całego świata. Znalazł się tam także Tadeusz Leszczyć Grabianka, znany w owe czasy mistyk i Martynista. Przesiadywał on tam w r. 1804 i 1805 — prawie do czerwca, gdyż w sierpniu tego roku już był w Petersburgu. Niedość, że go w majątności swojej Iliński przyjmował jako gościa, ale mu jeszcze wyznaczył ze swojej szkatuły 300 dukatów rocznej pensji. Siedziba tego nowego magnata wznosiła się na bagnach Polesia, a Henryk Rzewuski powiada, że w wewnętrznym przyozdobieniu, w trybie życia, jaki tam Iliński zaprowadził, było coś imponującego w okazałości.

W charakterze hr. Augusta Ilińskiego było niewątpliwie wiele dziwactw — jakaś mieszanina etykiety dworskiej z próżnością łatwo z bogatego pana.

Zbliżony do przepychu dworskiego, pokochał błyskotki i rozstać się z niemi nie mógł przez całe życie. Był to wszakże pomimo to charakter prawy, człowiek uczynny aż do rozrzutności, tylko zbyteczne zamięłowanie do błyskotek czyniło go śmiesznym.

Iliński dwa razy był żonaty — pierwszy raz z Komorowską, z którą się rozwiódł, — drugi — z jakąś francuską, panią Crac, z domu Michelin. Do ślubu jednakże nie doszło rychło. Z początku zamieszkał z nią w Romanowie jako z kochanką. Jezuici zbliżeni do niego ogromnie tem byli zgorszeni, a ponieważ wywierali wpływ na Ilińskiego, nalegali, ażeby zaniechał dalszego skandalu i wysłał tę panią z Romanowa. A gdy usłuchać nie chciał, twierdząc, że bez niej żyć nie może — kazali mu się ożenić.

Ożenił się tedy, ale wkrótce przekonał się, że żona była mu niewierną. Wówczas urządził dla niej osobne mieszkanie na drugiem piętrze pałacu, kazał pokoje kirem obić i tam żonę zamknął. Przy tym apartamencie była długa galerja z kolumnami po obu stronach; przybrano ją w drzewa pomarańczowe i inne kwiaty; dla spaceru pokutnicy kazał senator wybić okienko o jednej zwykłej tafli do kaplicy i pod nim postawić klęcznik, żeby żona mogła mszy i kazania słuchać. Do tego mieszkania były dwa wejścia; jedno strome, wąskie schody prowadziły do owej galerji i do małych pokojów bocznych, przy niej będących; drugie kręcone wygodnie łączyły mieszkanie senatora z pokutnicą. Oba te wejścia były zamknięte na klucz, który Iliński w kieszeni nosił, tak, że służąca nawet nie ważyła się wejść bez jego wiadomości i pozwolenia.

nia. Jezuici uważali, że ta pokuta nie jest dostateczną, ponieważ winowajczyni jest zawsze w pałacu otoczona przepychem i widuje męża. — Nalegali więc na to, ażeby ją wywiózł z Romanowa i zamknął w jakim surowym klasztorze. Wybrano na ten cel Wilno. Mąż odwiózł ją tedy do Wilna, po paromiesięcznem więzieniu w pałacu.

Niepowodzenia nie zrażały jednak senatora, bo w r. 1722 prosił o pozwolenie założenia w Romanowie pensjonatu żeńskiego prowadzonego przez Wizytki, a w rok potem żądane pozwolenie otrzymał. Przed zbudowaniem dla nich klasztoru zamieszkały wszystkie, w liczbie 8, w murach niegdyś instytutu dla głuchoniemych. Siedziały tam trzy lata, zanim klasztor zbudowany został. Stało się to prawdopodobnie około r. 1818, gdyż w tym właśnie czasie klasztor Nawiedzenia N. P. M. konsekrował ksiądz biskup Bożydar Podhorodeński, sufragan łucki. Na czele pensjonatu stanęła matka Marja Cecylia Chołoniewska, a pierwszą mistrzynią była matka Józefa Szadurska. Klasztor niezbyt dostatnio uposażony, przytem zbudowany wadliwie, był powodem ciągłych kłopotów — i z tego zapewne powodu pensjonat nigdy do rozkwitu nie doszedł, a w r. 1830 większa część zakonnic opuściła Romanów i przeniosła się wraz z matką Chołoniewską do Kamieńca Podolskiego, gdzie w klasztorze, zbudowanym przez gubernatora Grocholskiego, mieszkały do r. 1866.

W stosunku do wielkości i przepychu pałacu, który opisaliśmy poprzednio, układało się wszystko. Romanów posiadał wspaniałe stajnie i dużo koni —

wszystko to jednak około r. 1820 było już w pewnem zaniedbaniu. Angielskie i arabskie konie stały bez użytku. Szczególniejszą uwagę zwracał na siebie ogier — rysak angielskiej krwi, za którego hrabia zapłacił nadzwyczajną nawet na dzisiejsze czasy sumę — 40.000 rubli srebrnych. W wozowniach stało kilkanaście karet, wśród których szczególniejszą uwagę zwracała na siebie jedna wysrebrzona o 8 szybach szklanych, wewnątrz aksamitem wybijana, — była podziwieniem włościan i braci-szlachty.

Wspomniałem już wyżej o dziwactwach ilińskiego, które szlachta podchwytywała, żartując z senatora niemiłosiernie. Najlepsze widowisko śmieszności dał on w Żytomierzu w r. 1803, gdy był u szczytu swojej władzy i majątku. W tym roku rozesłani byli senatorowie do różnych gubernij dla t. zw. rewizji. Ilińskiego wysłano do gubernji wołyńskiej. Uroczystości urzędowe skupiły się oczywiście w mieście gubernjalnem — Żytomierzu. Szlachta biegła „z pocztieniem” do senatora, a bale i zabawy uświetniały jego pobyt. Jeden z takich balów odbył się u generała Ferzena, któremu Katarzyna II. darowała Ostrożczynę. Był to bal t. zw. dla senatorów, gdyż w owym czasie znajdował się w Żytomierzu drugi jeszcze dygnitarz, senator Golochwostow, wysłany dla rewizji gubernii podolskiej. Zgromadzenie obywateli było bardzo liczne, sala pięknie oświetlona. W jednym jej końcu ustawiono dwa fotele, skórą zieloną obite, dla senatorów, a po bokach fotelów stały rzędem krzesła dla dam. Bal otworzył Iliński polonezem, z laską w ręku, a po skończonym tańcu zasiadł swój fotel. Golochwostow

zaś przez cały czas przechadzał się po sali i z Rosjanami rozmawiał. Cała rodzina Ilińskiego zjechała się do Żytomierza, aby oglądać go w czasie uroczystej misji. Na balu szczególniejszą uwagę zwracała pani Zakrzewska, późniejsza generałowa Giżycka, ekcentrycznością tpalety. Miała na sobie suknię białą z jakiejś bardzo przeźroczystej materji, na lewem ramieniu ściągniętą i ujętą w piękny fermoar, z prawej zaś strony w dole podniesiony tak, że łydkę widać było. Ów na pół grecki kostjum musiał pochodzić z czasów „incroyables” i „des merveilleusses”, znanych w Paryżu w okresie rewolucji.

Czynności senatora i charakter jego reprezentacji oddawał doskonale satyryczny wierszyk miejscowego poety, Józefa Weleżyńskiego.

Jechał senator
 Jak imperator — złocisty.
 Ile gwiazd w niebie,
 Włożył na siebie — aż był strach.
 Widzieli wszędzie,
 Że ten pan będzie — czekali.
 Poszły karety
 Dla etykiety — wstecz niemu,
 Tu kocz, dróżki,
 Popsute troszki — co żywo,
 Wszystko w spotkanie,
 Na powitanie — wielkiego.
 Każdy biegł z mową.
 Pan kiwał głową — szczególnie, •

Stanął na placu,
 Wszedł do pałacu — z paradą.
 Damy co siły
 Się postroiły — aż lubo.
 Bal wszczął się wielki,
 Był trunek wszelki — do zbytku.
 W bundiucznej minie
 Wziął gospodynię — pan w taniec.
 Z innemi z łaski
 Tańczył, z oklaski — polskiego.
 Że się podrożył,
 Spać się położył — zawczasie.
 By się nie zbudził,
 Pan co się strudził — bał ucichł.
 Co skoczno wbiegły
 Damy, uległy — w swych łóżkach,
 W nocy. — W południe,
 Ubrany cudnie — był na mszy,
 Gdzie go z ambony
 Kapłan uczony — powitał.
 Potem był w Rządzie
 I Głównym sędzie — dla oka.
 Wszystko przezierał,
 Książki otwierał — nie czytał.
 Potem w ratuszu
 W tym animuszu — był także.
 W wieczór nareszcie,
 Był jeszcze w mieście — miał jechać,
 I dnia trzeciego,
 Z trudu wielkiego — wyjechał.

Pisarz współczesny zapisuje: „Prawdę powiedziawszy, hrabia Iliński lekko i grzecznie się obszedł, zamykając oczy na wszystko i usiłując delikatnością Swą wymóżyć poprawę, gdzie mu się zdawała potrzebną. Oglądał wszystkie juryzdykcje, bawiąc dwa tygodnie w Żytomierzu — i wyjechał.

Senator utrzymywał, że mu „sprzykrzyły się te wielości”, a jednak do końca życia, po dawemu senatorował.

Posiadając olbrzymi, co do obszaru, majątek, do tego stopnia, że z Romanowa do Galicji, gdzie także majątki posiadał, jadąc ani razu nie nocował w obcych dobrach, tylko we własnych, przy 14.000 „dusz” pańszczyźnianych, Iliński był zawsze obciążony długami. Zaciągał je na rozmaite budowle, instytucje i cele humanitarne, którymi chciał wślawić malutkie i ubogie z natury swojej miejsce rodzinne. Mając skarby nieprzebrane, które przy dobrej administracji mogłyby być zdwojone, mając w Romanowie do dyspozycji powozy, konie, pałace zbyt kownie urządzone, przepędzał życie w Petersburgu lub Żytomierzu, mieszkając w najętym domu lichy umeblowanym, jeździł w najętym powozie, lichymi dorożkarskimi końmi.

Dziś po całym jego życiu, w którym dobre chęci i zamięłowanie do pompy przeważały zdrowy rozum, nic, oprócz garści anegdot szlacheckich nie zostało. — Na samotnym grobowcu wielkiego niegdyś patnia można śmiało wypisać smutną sentencję filozofa :

„Sic transit gloria mundi”.

Mi



ij,,⁵

I



i

i m r b "v t " t ^ i •

... i : : -

- " ' ^

s

74